

Agnieszka Pietrzyk  
Urodziła się w 1975 roku w Elblągu.  
Ukończyła filologię polską  
na Uniwersytecie Gdańskim.  
Na tej samej uczelni zrobiła  
doktorat z nauk humanistycznych  
w zakresie literaturoznawstwa.  
Swoje teksty publikowała  
w „Twórczości”, „Przeglądzie Hu-  
manistycznym”, „Ruchu Literac-  
kim”, „Akancie”, „Parnasiku”  
i „Gazecie Kulturalnej”.  
W 2008 roku zadebiutowała  
powieścią grozy Obejrzyj się Królu.

## **Pietrzyk Agnieszka**

### **Pałac tajemnic**

Copyright © Agnieszka Pietrzyk, 2011  
Copyright © Wydawnictwo Replika, 2011  
Wszelkie prawa zastrzeżone  
Redakcja  
Magdalena Bandurska  
Projekt okładki  
Czartart  
Izabela Surdykowska-Jurek, Magdalena Muszyńska  
Skład  
Dariusz Nowacki  
Wydanie I  
ISBN 978-83-7674-118-5  
Wydawnictwo Replika  
ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo  
tel./faks 061 868 25 37  
replika@replika.eu  
www.replika.eu

Druk i oprawa: WZDZ - Drukarnia „LEGA”

Któż z nas nie przepada za mrocznymi historiami, któ-  
rych akcja rozgrywa się w tajemniczych starych pałacach,  
otulonych mgłą, owianych jesiennym wiatrem znad poblis-  
kiego jeziora?... Za historiami o ludziach, ich sekretach  
i zbrodniach, opowiadanych przy akompaniamencie desz-  
czu dzwoniącego nieprzerwanie o wiekowe dachy?...

Ja uwielbiam.

I oto taką książkę mam właśnie przed sobą: nowy kry-  
minał Agnieszki Pietrzyk, pod poruszającym wyobraźnię  
tytułem Pałac tajemnic.

Znajdziemy tu i pałac, i zbrodnię, tajemniczą aureę,

dziwnych ludzi oraz pasjonującą kryminalną zagadkę. Autorka prowadzi nas po mrocznych korytarzach w poszukiwaniu jej rozwiązania. Napięcie wciąż narasta. Bo czy gdzieś tam, w którymś z tych ciemnych zakamarków, w jakimś kącie, tuż za rogiem, nie czai się przypadkiem... morderca?...

Podczas lektury denerwowałam się porządnie, a jednocześnie żał mi było rozstać się z klimatem książki. Tak więc każdemu, kto — tak jak ja — kocha się w nastrojowych sensacyjnych historiach, serdecznie tę powieść polecam.

Anna Klejzerowicz, autorka książek

Cień gejszy, Sąd ostateczny, Ostatnią kartą jest Śmierć  
Spis lokatorów pałacu w Ponarach:

Mieszkanie nr 1 — Joanna, urzędniczka, i jej partner Robert, student historii

Mieszkanie nr 2 — pani Blumfeld, samotna staruszka

Mieszkanie nr 3 — Mariusz, drobny gangster, i jego dziewczyna Anka

Mieszkanie nr 4 - Marta, samotna matka, i jej trzy córki, Asia, Krysia i Iza

Mieszkanie nr 5 — Misiakowie, alkoholicy z dwójką kilkulatnich synów

Mieszkanie nr 6 - Firlejowie, Jerzy, profesor uniwersytecki, i jego żona Ada, słynna skrzypaczka

Mieszkanie nr 7 — Alicja Prus, autorka kryminałów

Mieszkanie nr 8 - Nowakowie, Grzegorz, pracownik zakładów mięsnych, jego żona Ewa oraz czworo dzieci, Madzia, Michał, Konrad i Wojtuś

Mieszkanie nr 9 - Adam Kirage, dziwak i samotnik

Mieszkanie nr 10 - Lasoccy, Leszek, nauczyciel historii, jego żona Renata i syn Tomek

Rozdział I

[www.olsztyn.gazeta.pl/kronikapolicyjna](http://www.olsztyn.gazeta.pl/kronikapolicyjna)

Morderstwo w Ponarach

W ostatnią sobotę sierpnia w barokowym pałacu nad jeziorem Ponary została zamordowana rosyjska rodzina. Ofiarami są pięćdziesięcioletni mężczyzna i jego trzydziestodwuletnia żona. Ich piętnastoletnia córka zaginęła. Rzecznik prasowy policji poinformował, że zakończono przeszukiwanie lasu i jeziora. Dziewczynki w tych miejscach nie odnaleziono. Rosyjska rodzina od siedmiu lat zajmowała jedno z pałacowych mieszkań.

Przepuścił ich na pasach, ci w rewanżu skopali jego samochód

Kierowca volkswagena zatrzymał się przed przejściem dla pieszych, aby przepuścić dwóch mężczyzn. Ci, przechodząc przez jezdnię, podeszli do jego auta i kopiąc oraz uderzając rękami, uszkodzili karoserię. Policjanci po chwili zatrzymali sprawców. Dwudziestodwuletni Robert G. i dwudziestoosmioletni Mariusz C. byli pijani. Nie potrafili wyjaśnić, dlaczego zniszczyli samochód.

Policjanci odpowiedzią za ucieczkę aresztanta Komendant policji w Morażu zawiesił w czynnościach dwóch podwładnych. Podczas ich służby zbiegł z aresztu niebezpieczny przestępca Sylwester K, zwany Majorem. Policja nadal poszukuje Majora. Zarzuca się mu porwanie dwóch olsztyńskich przedsiębiorców. Barokowy, biały pałac wyrastał z niewielkiego wzniesienia opasanego lasem. Prowadziła do niego zwirowa droga. Nad gmach wleciały wrony spłoszone przez nadjeżdżający samochód. Kracząc donośnie, opadały w dół, na moment zawisały nad jasnymi murami, po czym ponownie wzbijały się w niebo. Zaparkowałam przy starej kuźni. Wyjęłam z bagażnika torbę na kółkach i ciągnąc ją po nierównościach, skierowałam się do bramy. Za nią znajdował się dziedziniec porośnięty kępami trawy. Rozejrzałam się. Pęknięcia na murze, szczeliny odsłaniające kawałki cegieł, wysokie okna zabite deskami. Od dawna nikt nie dbał o to miejsce. Mimo zniszczeń pałac wciąż olśniewał elementami barokowej architektury. Wokół smukłych kolumn wiły się liście akantu, a ogromne drzwi zdobiła bogata ornamentyka. Przystanąłam, aby przyjrzeć się kartuszom herbowym znajdującym się w bocznej elewacji. Na jednym herbie widniał rok 1743, na drugim 1893. Oba przedstawiały nogę drapieżnego ptaka po lewej stronie i włócznię po prawej. Przy drzwiach zobaczyłam domofon z dziesięcioma przyciskami. Nacisnęłam pierwszy. Nikt się nie odezwał. Przyłożyłam palec do numeru 5. Po chwili usłyszałam dźwięk podnoszonej słuchawki i krótkie pytanie:

-Kto?

Nie byłam pewna, czy to głos kobiety, czy mężczyzny. Pochyliłam się do domofonu i powiedziałam:

10

- Nazywam się Alicja Prus, będę tu mieszkać, nie mam klucza. Proszę mi otworzyć.

Coś zazgrzytało, po czym miły kobiecy głos oznajmił:

- Domofon jest zepsuty. Drzwi otwierają się bez klucza.

Nacisnęłam ciężką klamkę i weszłam do środka.

Drewniane, rzeźbione schody wiły się spiralą ku górze. Były piękne, niestety pokrywała je warstwa piachu. Zaczęłam się po nich wspinać. Wielka torba objęła mi się o poręcz i nogi. Stałam w końcu na pierwszym piętrze. Znajdowało się tutaj mnóstwo gratów. Skreśliłam w lewo i rozglądałam się na obie strony, żeby nie przegapić drzwi z numerem 7. Minęłam mieszkanie numer 5. Kolejne drzwi, bez numeru, były zastawione obskurną szafką, na której leżała butelka po winie. Na następnych drzwiach widniała dziesiątka. Zawróciłam do drzwi bez numeru, pochyliłam się ponad szafką i wsunęłam klucz do zamka. Nie pasował. Usłyszałam kroki. W moją stronę szła młoda, rudowłosa ko-

bieta w zaawansowanej ciąży. Uśmiechnęłam się uprzejmie i pierwsza powiedziałam „Dzień dobry”. Ruda dziewczyna wyjęła papierosa z ust, nosem wypuściła obłok siwego dymu i odezwała się:

- Te drzwi, które próbowałeś otworzyć, należą do piątki. Mieszkają tam Misiaki.

- Mam zająć mieszkanie numer 7. Czy mogłabyś mi pokazać, gdzie to jest? - zapytałam.

Przygryzła papierosa i przez zaciśnięte zęby powiedziała:

- Ja pierdołę, nie zazdroszczę ci. Nigdy nie chciałybym tam zamieszkać, nawet gdyby dziennie płacili mi stówkę.

11

— Dlaczego?

— Naprawdę nic nie wiesz? Przecież w tamtym mieszkaniu zostały zamordowane dwie osoby. Wszystkie gazety o tym pisały i w telewizji nas pokazywali, mnie też. Dziewczyna rozkręcała się. Mówiła z zawrotną pewnością. Słowa wypadały z jej ust niczym z karabinu maszynowego. Zapowiadała się na doskonałe źródło informacji.

— O morderstwie oczywiście wiem, to ono mnie tu sprowadza — oznajmiłam.

Przez chwilę patrzyła na mnie zaskoczona. Następnie przesunęła papierosa w kącik ust i powiedziała:

— Nie rozumiem.

— Zaraz wszystko wyjaśnię, ale najpierw pokaż mi, gdzie jest mieszkanie numer 7.

Prowadziła mnie długim korytarzem, po którego obu stronach stały stare szafy, łóżka polowe, kartony i części zdemontowanych mebli. Wyglądało na to, że mieszkańcy pałacu wystawiali niepotrzebne rzeczy na hol, zamieniając go w klaustrofobiczną rupieciarnię. Ciągnęłam torbę za sobą, bo obok mnie się nie mieściła. Minęłyśmy wielką blaszaną wannę wypełnioną szmatami, butelkami i kartonami, za nią stała pralka Frania, potem były drzwi z numerem 7.

— To tutaj — powiedziała.

Wsunęłam klucz i przekręciłam. Dziewczyna stała tuż za mną. Jej wielki brzuch napierał na moje plecy. Weszła do mieszkania, nie czekając na zaproszenie. Znalazłyśmy się w dużym narożnym pokoju z dwoma oknami, jedno na wprost drzwi, drugie na lewo. Pośrodku stał ładny, okrągły stół, na prawo przy ścianie wersalka i fragment meblów-cianki sprzed ćwierć wieku. Po przeciwnej stronie, pod

12

oknem, umieszczono metalowe, stare łóżko i szafki kuchenne. Na lewo od drzwi zobaczyłam zlew i kuchenkę elektryczną. Zbliżyłam się do okna na wprost. Roztaczał się z niego piękny widok na ogród, za którym przeblyski-

wało lustro jeziora.

Ruda dziewczyna krążyła po pokoju jak tropiące dzikie zwierzę. Nagle przystanąła przy stole i powiedziała:

- Nazywam się Anka, mieszkam pod trójką. Niewiele tu się zmieniło, wymalowali ściany i zabrali dywan. Na pewno był cały we krwi. W człowieku jest sześć litrów krwi, a Wołodia musiał jej mieć więcej, bo był wyjątkowo wielkim facetem.

Otworzyła drzwi znajdujące się przy meblościance i nacisnęła włącznik światła. Stała obok niej i zajrzała do środka. Była to niewielka łazienka z prysznicem i mocno sfatygowanym kibelem. Ścianę do wysokości półtora metra pokrywały stare, popękane kafelki, zupełnie pozbawione fugi.

- Niezbyt tu estetycznie — stwierdziłam.

- A czego się spodziewałaś, łazienek królewskich? Jak chcesz się myć w lepszych warunkach, musisz sobie wyremontować, gmina tego za ciebie nie zrobi.

- Nie będę niczego remontować, szkoda kasy. Zamierzam pomieszkać tutaj tylko kilka tygodni, a potem wracam do siebie.

- Uciekasz przed facetem? — zapytała dziewczyna.

- Nie, przed nikim nie uciekam — odparłam.

Wyjęłam z torby książkę. Podając ją Ance, powiedziałam:

- To jest moje debiutanckie dziełko, kilka kryminalnych opowiadań.

13

Wzięła egzemplarz i wyraźnie podekscytowana zapytała:

— To naprawdę twoje?

Kiwnęłam potakująco głową. Patrzyła na granatową okładkę, na której widniały duże białe litery, składające się w tytuł: Zagadki kryminalne Warmii i Mazur. Zagwizdała na widok mojego nazwiska.

— Jesteś krewną tego Prusa?

— Nie, nie jestem.

Wyglądała na rozczarowaną. Położyła książkę na stół.

— Napiszesz dedykację? — poprosiła.

Pochyliłam się nad otwartym egzemplarzem. Kilkunastoma słowami wypełniłam górną część strony. Na dole wstawiłam datę i pchnęłam książkę w stronę dziewczyny.

Podniosła ją i przeczytała:

— Rudej Ance, bohaterce mojej kolejnej powieści kryminalnej, którą zamierzam napisać w pałacu w Ponarach, autorka, Alicja Prus.

Uśmiechnęła się i podziękowała. Czekałam na lawinę pytań, żadne jednak nie padło. Dziewczyna stała z przyciśniętą do brzucha książką i patrzyła na mnie obojętnie, jakby

nie dotarła do niej treść dedykacji. Zaczęłam więc mówić:  
— Chcę napisać o morderstwie, które tutaj popełniono.  
Przyjechałam do Ponar, żeby zebrać materiały, żeby z wami porozmawiać.

Anka otworzyła książkę i ponownie przeczytała dedykację. Entuzjazm wystrzelił z niej jak z procy.

— Naprawdę będziesz o nas pisać? Super! Ale będzie jazda! Wszystkich to ruszy, nawet pana Adama. Kto by pomysłał, nasze morderstwo będzie w książce.

14

- Na początek muszę dowiedzieć się jak najwięcej o samych ofiarach. Opowiesz mi o nich?

- O ofiarach? Ale ja ich dobrze nie znałam. Mieszkam w pałacu dopiero od stycznia. Tacy Lasoccy czy Nowakowie, oni mieszkają tutaj od zawsze. Z nimi porozmawiaj o ofiarach.

- Z nimi też porozmawiam. Dla mnie ważna jest każda relacja, twoja również. Może się okazać, że zauważyłaś coś, czego inni nie dostrzegli. To co? Opowiesz mi o nich?

- No dobrze, tylko pozwól, że najpierw zrobię siusiu, bo mój maluch znowu kopie mnie w pęcherz.

Gdy Anka zamknęła się w łazience, wyjęłam z torby komórkę, w menu odnalazłam dyktafon i włączyłam nagrywanie. Położyłam aparat na parapecie, obok niego postawiłam kosmetyczkę. Nie chciałam, aby moi rozmówcy widzieli, że rejestruję ich opowieści. Dyktafon mógłby ich peszyć, zaważyć na szczerości. Wyjęłam jeszcze z torby czekoladki, otworzyłam je i czekając na ciężarną sąsiadkę, zjadłam dwie sztuki. Siedziałam przy stole, Anka zajęła miejsce na wersalce. Podając jej pudełko z czekoladkami, zagadnęłam:

- Chłopiec czy dziewczynka?

- Chłopiec. Mój Mariusz taki dumny, że to będzie chłopiec. Kretyn. Jakby zrobienie chłopca wymagało większych umiejętności niż zrobienie dziewczynki.

Wzięła jedną czekoladkę. Zerwała papier przysyłający cukierki i złożyła go w mały kubeczek. Dopiero gdy wyjęła papierosy domyśliłam się, że ten kubeczek ma posłużyć jej za popielniczkę. Zaciągnęła się dymem i zapytała:

- Czy w swojej książce podasz nasze nazwiska?

15

- Tylko wtedy, gdy wyrazicie na to zgodę.

- Mój Mariusz się nie zgodzi, ale ja nie miałabym nic przeciw. To musi być fajne, tak przeczytać książkę o sobie. Zgodziłabym się nawet na umieszczenie mojego zdjęcia.

- To wydawca zdecyduje, czy zdjęcia znajdą się w powieści, ale wydaje mi się, że to dobry pomysł.

- Namów wydawcę, żeby były też zdjęcia. Dam ci fotkę mojego synka, podpiszesz ją Rumcajs, bo tak z Mariu-

szem go nazywamy.

- Najpierw muszę napisać książkę. Liczę, że mi pomożesz. Opowiedz mi o zamordowanych.

Wypuściła dym nosem i zaczęła szybko mówić, jakby chciała dużo powiedzieć w bardzo krótkim czasie.

Relacja Anki z mieszkania numer 3

Ja nie lubiłam Ludmiły i Wołodii Reznikowów, zwłaszcza jej. Z nim jeszcze można było się dogadać, może dlatego, że tak dobrze mówił po polsku, a ona prawie w ogóle. Ale to chyba nie o język chodziło, raczej o to, że ona uważała się za wielką panią, patrzyła na nas wszystkich z góry. Wielka pieprzona Rosjanka, a właściwie Sybiraczka, bo podobno urodziła się na Syberii. W to akurat wierzę, że pochodziła z dalekiej Północy, bo miała taką dziwną urodę. Głównie jej oczy robiły na wszystkich duże wrażenie. Były zupełnie czarne, naprawdę, całkowicie czarne, jak węgiel, i trochę skośne, ale nie takie jak u Chińczyków. Mój Mariusz mówił, że ona ma diabelskie oczy i za te diabelskie oczy powinna trafić do piekła. Muszę przyznać, że była ładna i zgrabna, mimo czterdziestki. Najbardziej zazdrościłam jej śniadej i gładkiej cery, ja jestem blada i piegowata.

16

Mieszkamy z Mariuszem w pałacu dopiero dziesięć miesięcy. Tego mieszkania użyczyła nam moja kuzynka, która na jakiś czas wyjechała na wyspy. Jesteśmy tutaj nowi, ale nikt nie traktuje nas jak obcych. To Reznikowowie byli obcy, a nie my. Wszyscy czuliśmy, że oni do nas nie pasują, może dlatego, że byli Rosjanami. Podobno on urodził się w Polsce, bo jego ojciec tu stacjonował. Chodził do polskiej szkoły, nauczył się języka. Był bardziej przystępny niż ona. Mój Mariusz kilka razy z nim popił. Raz dostał od niego w zęby. Długo nie chciał się przyznać za co, ale w końcu powiedział. Rusek przywalił mu, bo ten po pijanemu zasugerował, że Ludmiła pracowała kiedyś jako tirówka. Nie wiem, czym ona się zajmowała zanim poznała Wołodię, ale chciałabym to wiedzieć. Może faktycznie była kurwą, to nawet pasowałoby do jej zachowania. Jeżeli ktoś wyjdzie z bagna, to podobno później wysoko zadziera głowę. Ludmiła udzielała korepetycji z ruska. Miała wzięcie. Nie rozumiem dlaczego. Przecież to tylko rosyjski. Ludzie z Miłakowa i Morąga przywozili do niej swoje dzieci, ona też jeździła po domach i uczyła. Podobno brała trzydzieści złotych za godzinę. Szok, nigdy bym tyle nie dała.

Przy niej Wołodia wyglądał trochę niechlujnie. Zwykle w rozpiętej koszuli i z kilkudniowym zarostem, często — jak to mawia moja mama — na rauszu. Ale parę razy widziałam go w jasnym, eleganckim garniturze, w butach, które wyglądały, jakby kosztowały ze trzy stowy, oczywiście ogolonego i trzeźwego. Wsiadał wtedy w samochód i znikał na kilkanaście godzin, czasami na dwa dni. Mój Mariusz mó-

wił, że Wołodia jedzie spotkać się ze swoimi ziomalami, żeby zrobić wielki deal. Raz, gdy wrócił w tym swoim eleganckim gajerku, zapytałam go, gdzie był. Nachylił się do

17

mojego ucha i wyszeptał, że załatwiał ważne rodzinne sprawy. Poprosił, żebym nikomu o tym nie mówiła. Musiałam chyba mieć bardzo głupią minę, bo nagle wybuchnął śmiechem.

Byłam w ich mieszkaniu ze trzy razy. Pamiętam, jak weszłam tutaj po raz pierwszy. Przyszłam z kremem do twarzy, który dostałam od kuzynki. Przywiozła mi go z Anglii. Chciałam, aby Sonia przetłumaczyła mi ulotkę z tego kremu. Ja też znam angielski, z pomocą słownika jakoś bym sobie poradziła, ale miałam ochotę zobaczyć, jak mieszkają. Gdy weszłam, Ludmiła siedziała przy stole. Wypełniała jakieś formularze. Owszem, powiedziała „Dzień dobry” i nawet się uśmiechnęła, ale kawy nie zaproponowała. Sonia leżała na łóżku i rozwiązywała krzyżówkę w jakimś kolorowym piśmie. Kiedy tu mieszkali, to przed tym metalowym łóżkiem stał parawan, taka zasłonka w kwiaty, wtedy była do połowy odsunięta. Usiadłam obok Soni. Bez słownika, błyskawicznie przetłumaczyła całą ulotkę. Wyrywała kartkę ze swojej gazety i zapisała na niej tłumaczenie. Zrobiła to z uśmiechem, zapewniała, że dla niej nie jest to żaden kłopot i chętnie służy mi pomocą. Była bardzo miła, w przeciwieństwie do swojej matki. Przez cały ten czas, gdy siedziałam z Sonią na łóżku, Ludmiła ani razu nie spojrzała w naszą stronę, nie zagadała do nas. Patrzyłam na jej profil. Miała włosy upięte w kok, a na ramionach czarny szal. Nie jakiś tam rozciągnięty sweter czy sprany polar, lecz czarny szal z frędzlami. Każda inna kobieta w czymś takim wybrałaby się do teatru, a ona w tym chodziła po domu.

Sonię dało się lubić. Musisz przedstawić ją w książce jako sympatyczną nastolatkę, bo taka właśnie była. Nie

18

miała tak oryginalnej urody jak jej matka, ale też była ładna. Możesz obejrzeć jej zdjęcia na Naszej Klasie. Soni naprawdę mi szkoda. Taka urocza i zdolna, chodziłaby teraz do trzeciej klasy gimnazjum. Chyba wiesz, że jeszcze nie odnaleziono jej ciała. Oczywiście policja podejrzewa, że mogła się gdzieś ulotnić, ale to mało prawdopodobne, bo nic ze sobą nie zabrała, nawet kieszonkowego. Wydaje mi się, że miała dobre relacje z rodzicami. Spędzała z nimi sporo czasu. Prawie codziennie jeździła z matką po zakupy, z ojcem łowiła ryby. Pamiętam, jak zimą razem z Wołodią odgarniała śnieg z dziedzińca. Obrzucali się śnieżkami. Sonia tak szczerze i głośno się śmiała. Widać było, że jest szczęśliwa. Trzeba przyznać, że Reznikowowie dbali o córkę, nie żalowali jej niczego. Miała laptopa, modne



ubrania, chodziła na kurs angielskiego. Od jesieni do wiosny Wołodia woził ją na basen. Latem kąpała się w jeziorze, pływała jak rybka, umiała nawet nurkować. Kiedyś Madzi Nowakównie wpadła komórka do wody. Sonia zanurkowała trzy razy i ją wyłowiła. Po morderstwie Wołodii i Ludmiły policja przeczesała całe jezioro. Aż trzech nurków szukało Soni, ale jej nie znaleźli. Czasami, jak wieczorem stoję na pomoście i palę papierosa, to wydaje mi się, że ona tam leży na dnie i zaraz jej napuchnięte sine ciało wypłynie na powierzchnię.

## Rozdział II

Cztery dziewczynki siedziały pod murem dziedzińca. Za krzesła służyły im pustaki, za stolik pień drzewa. Najstarsza miała nie więcej niż dwanaście lat. Jej pofarbowane na wiśniowo włosy odcinały się ostro od piaskowej barwy muru. Trzymała w ręku komórkę i przyciskała klawisze. Trzy pozostałe wyglądały na siostry, wszystkie miały bardzo jasne włosy i pociągłe blade buzie. Wpatrywały się w starszą koleżankę. Podeszłam do nich i położyłam na stoliku torebkę z krówkami. Blondyneczki spojrzały na mnie zaskoczone. Najstarsza dziewczynka, nie przerywając pracy na komórce, uniosła na moment głowę.

- To cukierki dla was, poczęstujcie się - powiedziałam.

Dziewczynka o wiśniowych włosach podziękowała i wciąż stukając w klawiaturę, sięgnęła po krówkę. Blondyneczki patrzyły niepewnie na siebie. Podniosłam torebkę i przybliżyłam do każdej z nich. Nieśmiało wsuwały do środka swoje wąskie dłonie i wyciągały po jednym cukierku. Wszystkie cichutko dziękowały. Odłożyłam krówki na prowizoryczny stolik i odezwałam się:

- Mam na imię Ala, a wy jak się nazywacie?

20

- Jestem Madzia Nowak, mieszkam z rodzicami i rodzeństwem pod ósemką, a to są siostry Kruczek, Asia, Krysia i Iza, mieszkają z mamą pod czwórką— objaśniła dziewczynka o wiśniowych włosach i rzuciła papieraek po krówce na trawę. Najstarsza z blondyneczek podniosła go i włożyła do torebki. Panna Nowak powróciła do bardzo ją absorbujących operacji na komórce. Uznałam, że czas się oddalić.

Przed pałacem stało sześć samochodów. Z białego opła wysiadł przystojny młody mężczyzna uczesany w kucyk. Miał na sobie gruby ciemny sweter i jasny szal. Gdy mnie mijał, poczułam przyjemną woń kosmetyków. Obejrzałam się i zobaczyłam, jak przechodzi przez bramę prowadzącą na wewnętrzny dziedziniec pałacu. Wyglądał niczym arystokrata wracający do rodowej posiadłości, a nie jak lokator gminnego mieszkania. Wyjęłam z bagażnika laptop i wróciłam na dziedziniec. Cztery dziewczynki nadal siedziały pod murem. Z pałacu wyszła postawna kobieta

o krótkich włosach. Niosła przed sobą dużą miskę z praniem. Skręciła w stronę sznurka przeciągniętego od frontowej ściany do bocznego skrzydła. Oddalała się ode mnie. Patrzyłam na jej szerokie ramiona i masywne biodra. Stała w lekkim rozkroku i postawiła miskę na trawie. Gdy się pochyliła, jej nogi skojarzyły mi się z dwoma filarami podtrzymującymi ciężką kopułę. Zaczęła rozwieszać pranie. Zapewne miała nadzieję, że trochę przeschnie w październikowym słońcu. Spojrzałam na niebo. Ciemna chmura groźnie sunęła ze wschodu.

— Zaraz może padać - zawołałam.

Kobieta nie zareagowała. Gdy wchodziłam na schodki, podbiegła do mnie Madzia Nowak i powiedziała:

21

- Ta pani, która rozwiesza pranie, jest głucha. Nie słyszała, co pani do niej woła.

Podziękowałam za informację i poszłam do siebie.

Ustawiłam laptop na stole i właśnie miałam przejrzeć wiadomości na stronie [olsztyn.gazeta.pl](http://olsztyn.gazeta.pl), gdy ktoś zapukał delikatnie do moich drzwi. To była Madzia Nowak z nieodłączną komórką w ręku.

- Moja mama zaprasza panią na kawę.

Ucieszyło mnie to zaproszenie. Pojawiła się kolejna okazja do zebrania materiału. Kto wie, może materiału bogatego? Przecież Nowakowie mieszkali pod ósemką, byli więc najbliższymi sąsiadami Reznikowów. Mogli o nich wiedzieć więcej niż pozostali lokatorzy. Sprawdziłam poziom baterii w dyktafonie. Powinny wytrzymać, nawet gdyby rozmowa przy kawie przeciągnęła się do dwóch godzin. Wzięłam swoją książkę i wyszłam z mieszkania.

Pani Ewa Nowak przywitała mnie serdecznie. Gdy wręczyłam jej opowiadania, powiedziała:

- Wiem, ja już wszystko wiem. Anka doniosła mi, że zamieszkała u nas prawdziwa pisarka. Sądzę, że już wszyscy w pałacu o tym wiedzą.

Wskazała mi miejsce na kanapie, przed którą stał stolik przykryty haftowanym zielonym obrusem. W pierwszej chwili pokój wydał mi się zagracony, ale im dłużej się przyglądałam, tym bardziej dostrzegałam harmonię i precyzję w umeblowaniu. W tym jednym pomieszczeniu mieściła się kuchnia, salon i sypialnia. Poszczególne przestrzenie były od siebie oddzielone i zarazem połączone ze sobą. Za moimi plecami znajdowała się część sypialniana państwa Nowaków. Stała tam duża szafa obrócona tyłem do salonu, a za nią małżeńskie łóżko.

22

- Ładnie pani urządziła to mieszkanko - odezwałam się.

- Mamy jeszcze jeden pokój. Wskazała ręką na drzwi znajdujące się w rogu pomieszczenia. — Kiedyś tutaj miesz-

kali moi teściowie. Teść pracował w pałacu jako stróż. To było wtedy, gdy użytkownikiem pałacu były zakłady „Metron” z Torunia. Ciasno nam z czwórką dzieci w tych dwóch pokojach. Żebyśmy chociaż mieli własną łazienkę. Niestety, u nas jak na dworcu, wspólna łazienka i toaleta na korytarzu. Dzielimy je z panem Kiragą spod dziesiątki. - Postawiła przede mną kawę i dodała: - Zaraz przyniosę cukier i lody waniliowe.

Kołysząc krągłymi biodrami, wyminęła długi wąski stół oddzielający salon od kuchni. Z zamrażarki wyjęła pudełko lodów, a z szafki dwie szklane miseczki. Miałam wrażenie, że ubrała się specjalnie na moje przyjście. Jej pokazny biust opinała przyciasna bluzeczka w panterkę z dużym dekoltem, czarne spodnie z połyskiem wyglądały na wyjściowe. Oba nadgarstki ozdabiały czarne bransoletki. Całość psuły podniszczone kapcie z brunatnymi pompkami.

Miseczkę z lodami podała mi wprost do ręki i usiadła naprzeciw mnie. Jedząc, mówiła:

- Lody waniliowe najlepiej smakują z sosem winogronowym, ale akurat nie mam sosu. Sos winogronowy robię sama z małych ciemnych winogron. Czy wiesz, że laska wanilii to przefermentowany i uwędzony czarny strąk nasienny orchidei, rosnącej w tropikach Ameryki Południowej?

Zdziwiłam się, nie miałam o tym pojęcia. Ewa, uszczęśliwiona, że może uzupełnić moją wiedzę, dodała:

23

— Wanilia działa jak afrodyzjak, dlatego namawiam męża, żeby jadł lody i serki waniliowe, niestety on woli chipsy.

Na komodzie obok kanapy stała figurka kucharza z uniesioną w górę patelnią, przytwierdzona do kwadratowej, błyszczącej podstawki, na której widniał jakiś napis. Pochyliłam się i głośno przeczytałam:

— Puchar za I miejsce w konkursie „Kuchnia Warmii i Mazur”.

— To puchar za kaczkę w słoneczniku i kluski ziemniaczane. Gotowanie to moja pasja. Ludmiła namówiła mnie, żebym wzięła udział w tym konkursie, no i udało się.

— Gratuluję. Mówisz oczywiście o Ludmile Reznikow, tej zamordowanej?

— Tak, to ją i jej męża zabito, a ich córki do dziś nie odnaleziono. Czy to prawda, że chcesz napisać powieść o tym morderstwie?

— Mam taki zamiar. Zgromadziłam sporo notek prasowych, ale to za mało. Chciałam poczuć klimat tego miejsca i dowiedzieć się, jak wy widzicie tę zbrodnię. Wynajęłam więc od gminy mieszkanie Reznikowów na dwa miesiące i przyjechałam. Rozmawiałam już z Anką. Opo-

wiedziała mi trochę o zamordowanych.

Ewa głośno odstawiała miseczkę z lodami i pełnym oburzenia głosem powiedziała:

— A co ona może wiedzieć? Ona mieszka tutaj niecały rok. Nie znała Ludmiły i Wołodii. Ja o Reznikowach wiem najwięcej. Nikt nie powie ci o nich tyle, co ja. Ludmiła była moją najlepszą przyjaciółką. — Ewa położyła rękę na sercu i opuściła głowę. Po chwili odezwała się: - Czy wyobrażasz sobie, że my wszyscy jesteśmy podejrzani o to morderstwo?

24

Otworzyły się drzwi prowadzące do drugiego pomieszczenia. Stał w nich młody chłopak z odtwarzaczem mp3 przy pasku i słuchawkami w uszach. Chyba zaskoczył go mój widok, bo mruknął tylko „Dzień dobry” i schował się do swojego pokoju.

- To mój najstarszy syn, Michał — powiedziała Ewa.

— Też był przesłuchiwany, nawet dzieciom nie dali spokoju. Chyba przyznasz, że przesłuchiwanie dzieci to nie jest najlepszy pomysł. Mój Wojtuś po tym wszystkim przez kilka tygodni moczył się w nocy.

- Was podejrzewają? Dlaczego?- zapytałam.

- Ludmiła i Wołodia zostali zabici po północy, a u nas bramę zamyka się wieczorem i otwiera rano. Nikt obcy nie mógł więc wejść. Dlatego policja uznała, że zrobił to ktoś z nas.

- Opowiedz mi o Reznikowach. Kto, według ciebie, mógł ich zabić?

Relacja Ewy Nowak z mieszkania numer 8

Przyjaźniłam się z Ludmiłą. Dobrze się dogadywałyśmy. Ona trochę mówiła po polsku, ja znam rosyjski ze szkoły. Moją pasją jest gotowanie, a ona znała się na ziołolecznictwie. Czasami wydaje mi się, że zaraz zapuka do moich drzwi i wejdzie z naparem z serdecznika. Czy wiesz, że serdecznik jest znakomity na nerwy, lepszy niż waleriana? Ludmiła znała się na ziołach, sama je zbierała i suszyła. Zbieranie ziół to wcale nie jest proste zajęcie. Trzeba wiedzieć, kiedy co można zrywać. Taki serdecznik należy zbierać w czasie kwitnienia. Ludmiła mówiła, że Warmia i Mazury to raj dla zielarzy, bo tutaj są bagna, torfowiska.

25

Żałuję, że nie pozapisywałam sobie tych receptur. Ludmiła była zawsze pod ręką, w każdej chwili mogłam ją poprosić o coś na bezsenność dla mnie albo na ból głowy dla Grzegorza. Teraz muszę po wszystko jeździć do apteki i słono płacić. Po Ludmile została mi znakomita receptura ma bóle reumatyczne. Jest to maść z masła i pączków brzoźowych. Robiłam ją mojej mamie, bardzo jej pomogła. W glinianym garnku układa się warstwami masło i brzoźowe pączki, na przemian, po centymetrze. Potem trzeba szczelnie przykryć garnek pokrywką, najlepiej jeszcze zakleić ciastem i odsta-

wić na dobę w ciepłe miejsce, następnie ostudzić i przecisnąć przez gazę. Do otrzymanego masła dodajemy trochę kamfory. Prawda, że proste? A jakie skuteczne. Moja mama smarowała sobie tą maścią stawy na noc i twierdziła, że to lepsze niż ibuprom.

Wołodia i Ludmiła byli piękną parą, bardzo się kochali. On poza nią świata nie widział. Zazdrościłam jej tej miłości, tego uwielbienia. Podejrzewałam nawet, że ona dosypuje mu lubczyku do herbaty. A raczej nie do herbaty, tylko do wódki, bo herbat nie lubił. Często powtarzał: „Herbata nie wódka, dużo nie wypijesz”. Ludmiła była piękna, a Wołodia postawny, ale starszy od niej, przypuszczam, że o jakieś dziesięć lat. Poznali się w Odessie, Ludmiła tam mieszkała, a Wołodia pojechał odwiedzić kolegę. Obiecał jej, że po ślubie obsypie ją złotem, że będzie żyła jak caryca. Czasami, niby żartem, wypominała mu te obietnice i pytała, kiedy je spełni. Wydaje mi się, że trochę miała do niego żal za to bytowanie w gminnym mieszkaniu bez perspektyw na lepsze życie. On, jak sobie popił, to znowu zaczynał swoją gadkę, że zrobi z niej carycę. W ostatniego sylwestra przysięgał jej to na kolanach, tutaj u mnie

26

w mieszkaniu. Potem totalnie zalany padł na kanapę i zasnął.

Nie wierzę, że mordercą jest ktoś z pałacu. To niemożliwe. Znam tych wszystkich ludzi od lat, nieraz wspólnie grillowaliśmy albo zbieraliśmy grzyby. Przecież tej zbrodni nie mogli dokonać Lasoccy spod dziesiątki. To tacy zwyczajni i spokojni ludzie, też przyjaźnili się z Reznikowami. Często zostawiałam swojego Wojtusia pod opieką Renaty Lasockiej, a ona przyprowadzała do mnie swojego Tomeczka. Renata to duża, silna kobitka. Niestety, jest głucha, czyta z ruchu warg. Sama mówi bardzo źle, tylko syn i mąż ją rozumieją. Lubię Renatę, Leszka też, chociaż on jest strasznym nudziarzem. Ma wyższe wykształcenie, a nie umie zażartować, nie potrafi nic ciekawego powiedzieć.

U nas na Sylwestra prawie cały wieczór przemilczał. Nawet mojej kaczki w słoneczniku nie pochwalił. On tak chyba ucichł przy swojej żonie. Ona milczy, to on też. Leszek jest nauczycielem w Miłakowie. Gmina przydzieliła mu tutaj mieszkanie ponad dwadzieścia lat temu. Najpierw mieszkał sam, a od dwunastu lat z rodziną.

Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie będzie podejrzewał Lasockich o to potworne morderstwo. Oczywiście nie mogła też tego zrobić pani Blumfeld, bo przecież prawie osiemdziesięcioletnia niemiecka Żydówka nie dałaby rady zabić dwóch osób. Pani Blumfeld mieszka pod dwójką, ma najładniejszy lokal, ze starym, pięknym kominkiem. Od lat marzę o takim kominku. Ona jest samotna, nie ma żadnej rodziny, nawet dalekich krewnych. Podobno wszyscy

zginęli w czasie wojny. Jest trochę upierdliwa, nic jej nigdy nie pasuje. Z Renatą rozciągnęłyśmy na dziedzińcu sznurki do wieszania prania. Pani Blumfeld kazała nam je

27

zdzjąć, bo, według niej, pałac obwieszony koszulami i gaciami źle wygląda. Linek, rzecz jasna, nie usunęłyśmy. Staszka chodziła po korytarzu i gadała, że jesteśmy plebejuszkami. Potem, gdy powiesiłam pranie, wzięła nożyczki i przecięła sznurek. Wszystko wylądowało na trawie. Już szłam do pani Blumfeld, żeby jej nawrzucać, ale Renata mnie powstrzymała. Pomogła mi pozbierać pranie i na nowo umocować linkę. Renata to ucieleśnienie spokoju i cierpliwości. Jak ją poznasz, sama się przekonasz.

Przyznasz mi też rację, że tego morderstwa nie mogła dokonać Marta Kruczek spod czwórki. Wystarczy na nią spojrzeć. Jest taka filigranowa, nie waży więcej niż czterdzieści pięć kilogramów. Ja nie wiem, czy ona byłaby w stanie zabić karpia na święta, a co dopiero człowieka. Poza tym Marta tak wiele zawdzięcza Ludmile. Ludmiła wyciągnęła ją z dołka psychicznego. Z naszą Martą to jest cała historia. Dziewczyna nie miała lekkiego życia. Biedaczka, mąż ją katował, drań, żeby nie powiedzieć gorzej. Mówiła, że najbardziej lubił bić ją pięścią po głowie. Gdy uderzył w głowę ich najmłodszą córeczkę, postanowiła od niego odejść. W nocy spakowała się, wzięła dziewczynki i wyszła z domu. Mąż został w trzypokojowym mieszkaniu, ona trafiła tutaj. Jej trzy córeczki są takie ciche, nieśmiałe, jakby wystraszone. Tatuś ich nie odwiedza, przypuszczam, że nie tęsknią za nim. Marta mieszka tutaj od prawie dwóch lat. Na początku z nikim nie rozmawiała, nawet dziewczynek nie wypuszczała na dwór. Może się bała, że mąż je porwie. Z czasem zaczęła się otwierać, głównie dzięki Ludmile. Zaczęło się od tego, że Ludmiła namówiła Martę, aby wstawiła sobie dwa przednie zęby wybite przez męża. Poszła z nią do znajomego stomatologa i pomogła załatwić

28

fundusze na te zęby. Marta zaczęła chodzić z podniesioną głową i nawet czasami się uśmiechnęła, ale śmierć Reznikowów wszystko zmieniła. Wydaje mi się, że nią to morderstwo najbardziej wstrząsnęło, może dlatego, że już wcześniej miała do czynienia z przemocą. Po tej zbrodni znowu spuściła głowę i zaczęła przemykać jak cień. Dziewczynom nie pozwala wychodzić poza dziedzińiec, chce je mieć na oku. Ja teraz też bardziej pilnuję dzieci i zawsze pamiętam, żeby wieczorem przekręcić klucz w zamku. Kiedyś nieraz zdarzało się nam zasypiać przy otwartych drzwiach. Grzegorz czasami spędzał pół nocy poza domem, był wtedy gdzieś w pobliżu. Pił z Wołodią na dziedzińcu albo łowił ryby na pomoście. Wtedy też nie zamykałam drzwi. Nie bałam się. Niby czego miałam się oba-

wiać? Brama na dziedziniec była zamknięta, drzwi frontowe również były zamknięte, domofon jeszcze wtedy działał. Nie przypuszczałam, że zagrożeniem mogą być sąsiedzi. Nigdy nie czułam strachu przed żadnym z mieszkańców pałacu, nawet Misiaka się nie bałam.

Misiaki to nieciekawe typy, oboje są alkoholikami. Jak sobie popiją, stają się agresywni, wtedy lepiej nie wchodzić im w drogę, a że chleją codziennie, to my wszyscy codziennie mijamy ich z daleka. Jeszcze z innego powodu lepiej nie podchodzić do Misiaka. Strasznie od niego śmierdzi. Jak go zobaczysz, to od razu zatkaj nos, nie czekaj, aż się do ciebie zbliży. Patrzenie na niego również nie należy do przyjemności. Ma spuchniętą siną gębę pokrytą strupami. Po morderstwie policja zatrzymała właśnie jego jako głównego podejrzanego, ale szybko go wypuścili. Aresztowali go z winy Misiakowej. Zaczęło się od tego, że na kilkanaście godzin przed morderstwem, w sobotę rano,

29

ta kobieta, w samej halce, a raczej w czymś, co kiedyś było halką, biegła po dziedzińcu i wrzeszczała, że zabije tego chu..., który dobrał się do ich bimbru. Pani Blumfeld zadzwoniła po policję. Misiakowa została zabrana na izbę wytrzeźwień. Wróciła po dwóch dniach, była umyta, krótko ostrzyżona, ubrana w nawet ładną bluzkę i spódnicę. Moja Madzia mówiła, że Misiak nie chciał wpuścić żony do mieszkania, bo jej nie poznał. Myślał, że to urzędniczka z opieki społecznej. Tego dnia, kiedy wróciła Misiakowa, w pałacu była policja i dziennikarze. Redaktor z TVN-u zatrzymał Misiakową w bramie i zapytał, kto mógł dokonać tak straszliwej zbrodni. Ona, nie rozumiejąc, o co chodzi, zamruczała coś niewyraźnie. Redaktor zapytał ponownie, kto jej zdaniem zabił państwa Reznikowów. A ta głupia powiedziała, że na pewno jej mąż zabił tego Ruska za to, że ten podpierdolił im bimber. Tak właśnie się wyraziła. Zabrali Misiaka na dwadzieścia cztery godziny. Trzymali go tyle, bo musieli czekać, aż wytrzeźwieje, żeby móc go przesłuchać. Wiem, że człowiek w amoku alkoholowym zdolny jest do wszystkiego, ale nie widzę Misiaka mordującego Reznikowów. Gdy był pijany, ledwie trzymał się na nogach, Wołodia powaliłby go jedną ręką. Nawet gdyby Misiakowi udało się ich zabić, to jak wyjaśnić fakt, że nie pozostawił żadnych śladów. Przecież człowiek, który ma mózg przeżarty przez alkohol, nie myśli o założeniu rękawiczek, o ukryciu narzędzia zbrodni. Poza tym, jeżeli to był Misiak, to co zrobił z Sonią?

Ja bym już prędzej o to morderstwo posądziła Mariusza, który mieszka ze swoją dziewczyną Anką pod trójką. Ankę już znasz. Widziałeś, że ona jest w zaawansowanej ciąży. Lada dzień będzie rodzić, a z tego, co wiem, nie ma

30

ani łózcza, ani wózka. Pracuje w sklepie w Morągu, teraz jest na zwolnieniu lekarskim, on nigdzie nie pracuje. Anka mówiła, że jej facet ma robotę na budowie, ale ja w to nie wierzę, bo na jakiej budowie pracuje się co drugi albo co trzeci dzień. Ten Mariusz to ogolony na łyso typ spod ciemnej gwiazdy. Kilka miesięcy temu wrócił strasznie pobity. Miał rozwaloną gębę i połamane palce u obu rąk. Mój Grzegorz pomagał mu dojść do mieszkania i oczywiście zapytał, co się stało. Mariusz powiedział, że wisi fryzjerowi sporą kasę i kumple fryzjera próbowali go zmusić do spłaty długu. Podobno powiedzieli mu, że jeżeli nie odda forsy, to przelecą mu dziewczynę. Po prostu kretyn. Skoro nie ma pieniędzy, to dlaczego chodzi do fryzjera? Przecież Anka może ogolić go w domu tanią maszynką z marketu. Anka też ma długi, pożyczyla dwie stowy od Joanny i stowę od Renaty. Jak się urodzi dziecko, to już nie odda, a wręcz przeciwnie, będzie pożyczać dalej, ale nie wiem od kogo. Ja na pewno jej nie poratuję, bo nie lubię wyrzucać forsy w błoto. Tak sobie myślę, że Mariusz poszedł do Reznikowów pożyczyć kasę, żeby oddać fryzjerowi. Wołodia mógł się przed nim pochwalić napływem większej gotówki. Lubił się przechwalać. Każdy, kto go znał, wiedział, że te jego opowieści o fortunie, którą ma w zasięgu ręki, to zwykle fantazje. Ale Mariusz mógł tego nie wiedzieć. Mieszka tutaj z Anką dopiero od kilku miesięcy. Uwierzył, że Reznikow ma w mieszkaniu większą kasę, i poszedł po nią. Gdy Wołodia nie chciał pożyczyć pieniędzy, wpadł w szał i zamordował ich. Sonię też mógł zabić i gdzieś schować jej ciało. Mieszkanie Reznikowów zostało splądrowane, morderca więc czegoś szukał, a czego mógł szukać, jeśli nie pieniędzy?

31

Jeżeli nie zrobił tego Mariusz, to pozostaje jeszcze Adam Kirage spod dziewiątki. On mi się nigdy nie podobał, jest jakiś dziwny. Niby nie można mieć do niego żadnych zastrzeżeń, bo jest uprzejmy, kłania się z daleka. Kilka razy pomógł mi wnieść na piętro ciężkie siatki. Ustaliliśmy, że na zmianę będziemy sprzątać naszą wspólną łazienkę, przez miesiąc my, przez następny miesiąc on. Muszę przyznać, że czyści sanitariaty i kafelki dokładniej niż ja. Nie ma z nim żadnych problemów, a jednak jest w nim coś dziwnego, nie-naturalnego. Przede wszystkim, nikt nigdy go nie odwiedza, nawet święta spędza sam. Pięć lat temu zaprosiłam go na wigilię. Zrobiło mi się go szkoda, w ten dzień nikt nie powinien być sam. Podziękował i odmówił. Parę razy zaniósłam mu coś do jedzenia, raz pierogi, innym razem żeberka ze śliwkami. Zawsze przyjmował poczęstunki, ale nigdy nie dał się wciągnąć w dłuższą pogawędkę. Namawiałam Grzegorza, aby zaproponował panu Kiradze wspólne wypicie piwa, ale ten mój wariat powiedział, że nie



będzie się zadawał z pedałami. Kobieca intuicja mówi mi, że pan Adam nie jest gejem, pod tym względem to normalny facet. U nikogo z pałacu nie bywa, jedynie czasami odwiedza Misiaków. To też jest podejrzane, bo kto normalny zadawałby się z brudasami i pijakami? Kilka lat temu ktoś powiedział mojemu mężowi, że Kirage jest emerytowanym policjantem po postrzale w głowę. Nie sądzę, żeby to była prawda. Kiedyś zapytałam pana Adama, czym się zajmuje. Odpowiedział krótko, że aukcjami. Listonosz przywozi mu trzy, cztery razy w miesiącu różnej wielkości przesyłki. Jak zносиłam mu jedzenie, to widziałam, że ma w pokoju sporo pudeł. Sam też nosi paczki na pocztę. Mój Michał twierdzi, że pan Kirage kupuje różne rzeczy na

32

Allegro, a potem je wystawia drożej. Czuję jednak, że to, co on robi, nie do końca jest legalne. Może chodzi o aukcje jakichś zakazanych albo kradzionych towarów?

Pana Kiragę rzadko można zastać w pałacu, bo całymi godzinami chodzi po lesie, również w nocy. Kiepska pogoda mu nie przeszkadza. Nieraz widziałam, że wraca cały przemoczony. Te jego wędrówki po lesie już od dawna mnie niepokoją. Po powrocie jest nieobecny, nieprzytomny, jakby pijany. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że jest psychopata. W jego pokoju znajdują się przedmioty, które należały do Reznikowów. Joanna spod jedyńki rozpoznała je u niego, zapytała nawet, skąd ma te rzeczy. Odpowiedział, że znalazł je na korytarzu. To wielce prawdopodobne. Ludzie, którzy sprząkali po morderstwie, wystawili niektóre rzeczy na zewnątrz. Właśnie po to, abyśmy sobie wzięli to, co nam potrzebne. Sama znalazłam w oszklonej szafie na końcu korytarza książki Soni do drugiej klasy gimnazjum. Wzięłam je, bo mogą się przydać Madzi. Pan Kirage też mógł wziąć parę rzeczy, żeby sprzedać je na Allegro, ale kto wie, jaka jest prawda.

### Rozdział III

Zegarek w komórce pokazywał szóstą. Uklękłam na metalowym łóżku i wyrzałam przez okno. Poranna mgła zawisła nad czarnymi drzewami. Rozczapierzone gałęzie z resztką liści wydawały się rozrywać mgliste powietrze. Opuściłam bose stopy na zimną podłogę i podeszłam do drugiego okna. Nad jeziorem unosiła się jeszcze większa mgła. Można było odnieść wrażenie, że woda oddycha i z każdym kolejnym tchnieniem wyrzuca z siebie białawe kłęby oparów. Jezioro znajdowało się w dole, pałac stał na niewielkim wzgórzu. Do jeziora prowadziła szeroka droga, wzdłuż której z jednej strony rozciągał się ogród, a z drugiej pierwsze drzewa lasu. Ktoś nią szedł. Sunął powoli w stronę jeziora. Widziałam ciemną sylwetkę, co chwilę znikającą za pniami drzew. Wciągnęłam spodnie i sweter, do kieszeni kurtki schowałam dyktafon. Wyszłam z mieszkania

i cicho szłam korytarzem. Ostre kanty starych mebli wyla-  
niały się z ciemnej przestrzeni, jakby chciały zagrozić mi  
drogę. Wyciągnęłam rękę i przymknęłam uchylone drzwi  
szafy. Skrzypnęły cicho. Nagle jakiś hałas zatrzymał mnie  
w miejscu. Rozejrzałam się. O drabinę opierała się sztuczna  
34

choinka. Czyżby to ona się obsunęła? Znów hałas z szafy.  
Tej, którą przed chwilą przymknęłam. Uchyliłam jej drzwi.  
Spodziewałam się, że zaraz wyskoczy stamtąd szczur. To  
jednak nie był szczur, lecz duży pręgowany kot. Wyszedł  
z szafy i wolnym krokiem ruszył korytarzem. Ja za nim.  
Schodził po schodach z pionowo postawionym ogonem.  
Zatrzymał się przed drzwiami prowadzącymi na dziedzi-  
niec. Otworzyłam je i wyszliśmy razem na zewnątrz. Otu-  
liłam się kurtką i nałożyłam kaptur. Kot sunął wzdłuż  
ściany, ja zaś żywo, by nadrobić stracony czas, ruszyłam do  
bramy, która, o dziwo, była otwarta.

Idąc w stronę jeziora, wsłuchiwałam się w odgłos swo-  
ich kroków na żwirze. Był to jedyny dźwięk w ciszy.  
Mleczne powietrze gęstniało wokół mnie i nieprzyjemną  
wilgocią wciskało mi się pod kurtkę. Obejrzałam się. Pałac,  
wyłaniający się z mgły i otoczony szeregiem czarnych  
drzew, wyglądał jak z horroru. Od pomostu dzieliło mnie  
kilkanaście metrów, gdy zauważyłam na nim ciemną po-  
stać. Chwilę się zawahałam, ale weszłam. Deski były  
mokre i śliskie. Postać poruszyła się. Gdy podeszłam bliżej,  
rozpoznałam męża Ewy Nowak, Grzegorza. Odezwał się  
pierwszy:

- Niech pani uważa, mokre deski mogą być bardzo  
niebezpieczne. Wystarczy chwila nieuwagi i tragedia go-  
towa.

Ciarki przeszły mi po plecach, bo jego słowa nie za-  
brzmiały jak ostrzeżenie, lecz jak groźba. Zrobiłam jeszcze  
kilkę kroków i powiedziałam:

- Nie mogę spać, postanowiłam się przejść.

Grzegorz trzymał wędkę, a druga była oparta o spe-  
cjalną podpórkę. Spojrzałam na ciemną taflę wody. Cztery

35

metry od pomostu pływały dwa seledynowe spławiki.

Usiadłam na drewnianej ławce.

- Na korytarzu widziałam dużego pręgowanego kota.  
Czy to kot pałacowy, czy może ma jednego właściciela?  
— zapytałam.

- Ten sierściuch nie jest duży, on jest tłusty. Nazywa się  
Romel. Należy do pani Blumfeld. Stara go przekarmiła.  
Romel to jej oczko w głowie. Dzieciaki o tym wiedzą i żeby  
dokuczyć starej, znęcają się nad zwierzakiem. Raz chłopaki  
Misiaków przywiązali mu sznurek z trzema puszkami po  
piwie. Jak ten kot szalał!!! Stara Blumfeld nie cierpi wszyst-  
kich dzieciaków w pałacu, głównie za to znęcanie się nad

Romlem.

- Czy Sonia też znęcała się nad kotem?

Widziałam, jak mięśnie twarzy Grzegorza napinają się i zaczynają drgać.

- O co pani chodzi? — wycedził przez zaciśnięte zęby. Nie spodziewałam się aż takiej reakcji. Wyglądał na roztrzęsionego.

- O nic mi nie chodzi. Ja tylko zapytałam, czy Sonia też dręczyła Romla.

- Powiedziałem, że nad kotem znęcały się dzieciaki, a Sonia już nie była dzieciakiem.

Podniósł do góry kołnierz, jakby chciał zasłonić twarz, nad którą najwyraźniej nie panował. Jego policzki drgały, usta wykrzywiały się co chwilę w jakimś skurczu, odsłaniając zaciśnięte zęby.

- Wydaje mi się, że pana zdenerwowałam. Przepraszam, nie miałam takiego zamiaru. — Machnął ręką, dając mi do zrozumienia, że nie życzy sobie, abym go przeproszała. Mówiłam dalej: — Zapewne wie pan od żony, że

36  
jestem pisarką, że zbieram tutaj informacje do mojej nowej powieści kryminalnej. Chciałabym napisać o morderstwie Reznikowów.

- Czy nie powinna pani poczekać, aż zakończy się śledztwo? Wtedy wiedziałaby pani, kto jest mordercą.

W głosie Grzegorza pobrzmiwał napastliwy ton.

- Na napisanie książki daję sobie rok — odpowiedziałam. — Samo zbieranie materiału zajmie mi dwa miesiące. Może przez ten czas policja znajdzie mordercę. Poza tym muszę liczyć się z tym, że sprawca nigdy nie zostanie wykryty. Od morderstwa minęły już dwa miesiące i nic, żadnego podejrzanego.

- Co pani wtedy zrobi? Przecież w kryminale na końcu musi się okazać, kto zabił.

- Ma pan rację. W realnym świecie sprawca nie musi być wykryty, ale w powieści tak, dlatego któryś z moich bohaterów okaże się mordercą.

- Może tak pani oskarżyć w książce kogoś o morderstwo, na przykład mnie albo mojego syna?

Teraz mówił łagodniej, bez tego zaczepnego tonu.

Mięśnie twarzy przestawały mu drgać. Rozmowa ze mną chyba go uspokajała. Odpowiedziałam więc uprzejmie na jego kolejne pytanie:

- To będzie powieść, a więc fikcja, wprowadzie napisana w oparciu o autentyczne wydarzenia, ale jednak fikcja. Pozmieniam nazwiska, nie może być mowy o prawdziwym oskarżaniu konkretnych osób.

Nie patrzył na mnie, lecz na wodę. Mogłam więc spokojnie mu się przyjrzeć. Miał szerokie szczęki, które zwykle świadczą o silnym charakterze. Kontrastem dla tych

męskich rysów były delikatne, jakby dziewczęce, usta,  
37

w których teraz tkwił zarzący się papieros. Wełniana zniszczona czapka zasłaniała mu brwi i skronie. Jego oczy wydawały się niespokojne, co jakiś czas zaciskał mocno powieki.

Po chwili milczenia powiedziałam:

- Chciałabym wiedzieć, co wy, mieszkańcy, sądzicie o tym morderstwie. Dlaczego Reznikowowie zginęli? Co się stało z Sonią? Może ona żyje, jak pan myśli?

Wypuścił z sykiem powietrze i odparł:

—Ja jestem pewien, że Sonia żyje. Sądzę, że wywieźli ją do jakiegoś burdelu na Zachodzie. Może któregoś dnia wróci, może wypuszczą ją, jak się zestarzeje i zbrzydni. Przełożył wędkę do lewej ręki, z kieszeni wyciągnął papierosy i włożył jednego do ust. Zapalniczka kilka razy błysnęła ogniem, zanim udało mu się podpalić papierosa.

- Kto miałby wywieźć Sonię do burdelu? - zapytałam.

- Kto? - zdziwił się. Po chwili odpowiedział: - Oczywiście, że ruska mafia.

- Pan myśli, że to mafia zabiła Reznikowów? Ale dlaczego akurat mafia? Co za tym przemawia? Pana żona mówiła, że to zrobił ktoś stąd, bo Reznikowowie zostali zamordowani w nocy, a brama na noc jest zamykana, czyli zrobił to ktoś, kto był w tym czasie na terenie pałacu.

- Moja żona wie, jakie przyprawy dodać do kurczaka, a jakie do ryby, ale za rozwiązywanie zagadek kryminalnych niech się nie bierze, bo się niepotrzebnie spoci. Gdyby pani mieszkała tutaj wcześniej, to by pani wiedziała, że brama bardzo rzadko była zamykana na noc. Ja ją zamykałem, Robert spod jedyńki i jeszcze Lasoccy spod dziesiątki, cała reszta miała to w dupie. Nawet gdyby w dzień  
38

morderstwa była zamknięta, to przecież byle ślusarz na poczekaniu może dorobić wytrych. Poza tym brama w dzień jest otwarta, morderca mógł niepostrzeżenie wejść na teren pałacu i w piwnicy albo w którejś z szaf na korytarzu przeczekać do nocy. Jeżeli ktoś obcy chciałby dostać się do pałacu, nie miałby z tym żadnego problemu.

Grzegorz umilkł. Spojrzałam na wodę. Mgła odpłynęła w stronę trzcin, odsłaniając ciemnoniebieską tafłę. Od razu zauważyłam, że na wodzie unosi się tylko jeden seledynowy szałwik.

- Drugiego szałwika nie ma - powiedziałam.

Mężczyzna drgnął. Odłożył wędkę i sięgnął po drugą.

Poderwał ją do góry mocnym szarpnięciem. Z wody wyskoczyła srebrzysta rybka. Bujając się na żyłce, płynęła w powietrzu w naszym kierunku. Grzegorz zdjął ją z haczyka i wrzucił do wiadra. Włożył rękę do puszki po kawie

i wydobył z niej długą, wijącą się dżdżownicę. Po chwili jej różowe ciało przeszył ostry haczyk.

— Rozumiem, że policja nas też podejrzewa — ciągnął dalej. — Oni muszą wszystko sprawdzić, ale kto od nas miałby to zrobić? Ten lalusz spod jedyńki albo wiecznie wystraszony Leszek Lasocki, który boi się własnego cienia? A może mordercą miałby być szanowany profesor Firlej? Każdy, kto ma trochę oleju w głowie wykluczy nas wszystkich z grona podejrzanych. Ja będę trzymał się tego, że Reznikowów załatwiła mafia.

— Jeżeli Wołodia należał do mafii, to dlaczego mieszkał tutaj, a nie we własnym domu?

- To pani nie wie, że ludzie mafii żyją zwyczajnie, żeby ule zwracać na siebie uwagi? Są nawet tacy mafiosi, co zaśilki biorą z pośredniaka. Nieraz słyszy się, że zatrzymano

39

jakiegoś gangstera, a jego sąsiedzi dziwią się, bo przecież to był taki spokojny i zwyczajny człowiek.

W lesie odezwały się wrony. Ich krakanie momentami przechodziło w rozdzierający krzyk, jakby chciały nawzajem ostrzec się przed nadchodzącym zagrożeniem.

— To pan ich znalazł? — zapytałam cicho.

— Nie, to nie ja, ale byłem jednym z pierwszych na miejscu zbrodni.

— Opowie mi pan o tym?

Relacja Grzegorza z mieszkania numer 8

Byłem umówiony z Wołodią, że w sobotę wieczorem obejrzymy razem u niego mecz. Nasi siatkarze mieli grać z Brazylią. Tego dnia po śniadaniu poszedłem do lasu sprawdzić, czy są grzyby. To był ostatni weekend sierpnia, często pod koniec wakacji mamy tutaj pierwszy wysyp, ale nie w tym roku, chyba było za sucho. Chodziłem po lesie długo, ze cztery godziny. Gdy wróciłem na chatę, było już po trzynastej. Wsiadłem do wozu i pojechałem do Boguchwał po browar. Pod sklepem zauważyłem, że nie mam portfela. Nosilem go w tylnej kieszeni spodni. Musiał mi wypaść podczas szukania grzybów. Wkurzyłem się na maksa. Na pełnym gazie popędziłem do lasu, aż się za mną kurzyło. Przez dwie godziny przetrząsałem zagajniki, w których wcześniej zbierałem grzyby. Niemal nosem ryłem ziemię i nic. Z każdą minutą nabierałem przekonania, że szukam igły w stogu siana. Zrezygnowałem w końcu i wróciłem do pałacu. W portfelu była zaledwie stówka, ale i tak byłem zły. Ewa postawiła na stole obiad i kilka razy prosiła mnie, żebym zjadł. Krzyknąłem, żeby się ode mnie

40

odpieprzyła, i wyszedłem, trzaskając drzwiami. Na dziedzińcu spaliłem chyba ze trzy fajki i dopiero wróciłem do mieszkania. Wiem, że zachowywałem się jak kretyń, wyżywałem się na całej rodzinie za te zgubione parę groszy.

Obiadu nie zjadłem, wysłałem mojego syna Konrada do Reznikowów, aby powiedział Wołodii, że nie przyjdę na mecz, i rzuciłem się na wyrko. Przez sen słyszałem, jak Ewa ucisza dzieciaki. Gdy się obudziłem, Michał i Konrad oglądali mecz w swoim pokoju, Ewa z Madzią i Wojtusiem była u Marty pod czwórka. Obejrzałem z chłopakami do końca mecz, potem wszyscy zjedliśmy kolację i krótko przed północą położyliśmy się do łóżek. Ewa usnęła natychmiast, a ja leżałem i do drugiej patrzyłem w telewizor.

Reznikowowie zostali zabici między północą a pierwszą. Nic nie słyszałem, zupełnie nic, żadnych kroków, żadnych odgłosów. To trochę dziwne, bo temu morderstwu musiał towarzyszyć hałas, Wołodia przecież się bronił, prawdopodobnie krzyczał. Nie rozumiem, dlaczego nic nie słyszałem. Telewizor miałem ustawiony bardzo cicho. Wprawdzie ściany w pałacu są grube, ale drzwi nieszczelne. Michał i Konrad też nie spali i też nic nie słyszeli, oni jednak mieli w uszach słuchawki. Na drugi dzień pojechaliśmy na dziesiątą do kościoła, do Boguchwał. Michał został w mieszkaniu. Po mszy poszliśmy na lody, zawsze latem po mszy chodzimy na lody. Po powrocie dzieciaki chciały popływać. Ewa nie lubi, jak sami pływają, zwykle więc mam ich na oku. Wziąłem leżak, gazetę i rozłożyłem się na pomoście. Jak już byliśmy nad jeziorem, Madzia pobiegła po Sonię. Wkrótce wróciła i powiedziała, że u Reznikowów nikt nie otwiera. Na pomost przyszedł profesor Firlej

41

z żoną. Pamiętam, że zapytał, dlaczego nie ma z nami Soni. Zaskoczyło mnie to pytanie, bo profesor nigdy nie wdawał się z nami w żadne pogawędki. Nigdy od niego nie usłyszałem nic więcej jak „Dzień dobry” i „Do widzenia”. Po osiemnastej przyszła do nas pani Blumfeld z pytaniem, czy nie wiemy, gdzie podziewają się Reznikowowie, bo ona chciałaby od Ludmiły jakieś ziółko na migrenę. Normalnych ludzi łeb napierdala, a ta stara miewa migreny. Moja żona szybko się jej pozbyła. Drugi raz przyszła godzinę później i powiedziała, że trzeba sprawdzić, co u Reznikowów, bo na podjeździe stoi ich samochód, a u nich nikt nie otwiera. Zaczęła głądzić o swoich złych przecuciach. Zatrzasnąłem starej drzwi przed nosem, nie mam do niej cierpliwości. Po dwudziestej usłyszeliśmy huk z korytarza. Ewa pierwsza wyskoczyła z mieszkania, ja za nią. Zobaczyliśmy, jak profesor Firlej rozwala zamek w drzwiach Reznikowów. Stała przy nim pani Blumfeld. Jak ta stara musiała mu truć, skoro zgodził się włamać do mieszkania sąsiadów. Mruknałem, że niepotrzebnie to robi, i wróciliśmy do siebie. Rozwalał zamek przez jakieś dziesięć minut, potem rozległ się krzyk. To ta stara Żydówka krzyczała. Pamiętam, że przez chwilę patrzeliśmy z Ewą na siebie i nie wiedzieliśmy,

co mamy robić. Potem oboje rzuciliśmy się do drzwi. Pani Blumfeld biegła korytarzem w stronę schodów. Przed otwartymi drzwiami mieszkania Reznikowów stał Leszek Lasocki i trząsł się jak galareta. Wyminąłem go i zobaczyłem, że ich mieszkanie jest całe we krwi. Jezu, ile tam było krwi. To była krew Wołodii. Został zadźgany nożem, podobno miał kilka ran kłutych, głównie w plecach i jedną w pachwinie. Profesor klęczał nad ciałem Wołodii i bezradnie rozkładał ręce. Widziałem tylko nogi i biodra

42

Wołodii, pozostała część ciała leżała w łazience. Usłyszałem za plecami jęk Ewy. Złapałem ją za ramię i prawie siłą zaciągnąłem do naszego mieszkania. Michał, Konrad i Madzia stali już na korytarzu. Kazałem im wrócić do środka. Pamiętam, że nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić. Ewa zaczęła płakać. Warknąłem na nią, żeby się uspokoiła i nie wypuszczała dzieci z mieszkania, sam wyszedłem. Leszek wciąż stał przed drzwiami Reznikowów, rzygał i szlochał. Pani Blumfeld zdążyła zawiadomić już cały pałac. Korytarzem biegł Adam Kirage i Robert. Odepchnąłem Leszka i znowu wszedłem do pokoju. Profesor właśnie wyciągnął spod metalowego łóżka ciało Ludmiły. Zobaczyłem jej twarz, to był potworny widok. Była sina i miała szeroko otwarte, jakby wytrzeszczone oczy. Jej usta też były otwarte, zęby i dziąsła odsłonięte. Za moimi plecami stanęli Adam i Robert. Adam zapytał, gdzie jest Sonia. Profesor Firlej podniósł się i powiedział stanowczo, że wszyscy mamy wyjść, bo zacieramy ślady. Był bardzo opamnowany. Już na korytarzu kazał nam zadzwonić na policję. Sam poszedł do siebie, żeby się umyć i zmienić ubranie. Ręce, spodnie i buty miał wybrudzone krwią. Robert zadzwonił na policję. Staliśmy pod drzwiami Reznikowów i czekaliśmy. Po jakimś czasie Adam zszedł na dziedziniec, a do mnie i Roberta dołączyła Joanna. Wszyscy milczeliśmy. Wydawało mi się, że mijają wieki, ale tak naprawdę czekaliśmy na przyjazd gliniarzy tylko dwadzieścia minut.

#### Rozdział IV

Wrzuciłam podręczną torbę do bagażnika i wsiałam do samochodu. Postanowiłam na parę godzin opuścić pałac w Ponarach i odwiedzić ojca w Dobrym Mieście. Dzwoniłam do niego od rana. Nie odbierał. Prawdopodobnie nie słyszał telefonu. Moje dwie siostry przekonywały mnie od roku, że ojca należy oddać do jakiegoś porządnego domu opieki. Nie miałam serca, żeby to zrobić. W takiej instytucji byłoby mu źle. Na pewno chciałby zabrać tam wszystkie swoje książki, a było ich sporo, ponad tysiąc. Żaden dom opieki nie przyjąłby go z tak pokaźną biblioteką, a tatuś bez książek by się zanudził. Pozwoliłam więc, żeby mieszkał sam w dużym domu, który zbudował ze swoim ojcem czterdzieści lat temu. Nie lubiłam tego domu, bo miał mało

okien. Koleżanki mówiły, że mieszkam w bunkrze. Podczas ; studiów próbowałam namówić rodziców, aby zrobili taras z dużymi szklanymi drzwiami i dodatkowo parę okien. Zaczęłam nawet zbierać pieniądze na remont, ale nigdy do niego nie doszło.

Gdy wjechałam do Dobrego Miasta, ogarnął mnie niepokój. A może tacie coś się stało? Może zasłabł albo

44  
odkręcił gaz i zapomniał? Przyspieszyłam. Zakłęłam cicho na widok wozu policyjnego, zaraz jednak odetchnęłam z ulgą, rozpoznając w glińiarzu starego kumpla. Przyłożył dwa palce do czapki, jakby chciał mi zasalutować. Następnie zapytał:

— Co słyhać w Ponarach?

Patrzyłam na niego zaskoczona.

- Skąd wiesz, że siedzę w Ponarach? Przecież to wielka tajemnica.

— Jaka tajemnica, cały komisariat o tym dudni.

Nie byłam zadowolona z tego rozgłosu.

— Będzie mandacik? — zapytałam.

— Tym razem skończy się na pouczeniu. Słuchaj, Ala, wczoraj natknęliśmy się na twojego ojca. Wałęsał się po ulicy bez czapki i płaszcza, w kapciach.

Moje ręce mimowolnie zacisnęły się na kierownicy.

- Myślałam, że on całe dnie siedzi w domu, że nigdzie nie wychodzi — wyszeptalam.

— Zabraliśmy go do radiowożu i odwieźliśmy do domu.

Powiedział, że wyszedł poszukać twojej matki, bo długo nie wraca. Chyba powinnaś mu załatwić jakąś opiekę.

- Wynajęłam jedną panią. Przychodzi do niego codziennie, robi zakupy, przygotowuje jedzenie i sprawdza, czy wszystko w porządku. Myślałam, że to wystarczy.

- Jedź już do niego — powiedział, stukając palcem w dach samochodu.

Ruszyłam. Kilka minut później zaparkowałam przed domem. Otworzyłam drzwi własnym kluczem i zawołałam:

- Tato!

Odpowiedziała mi cisza. Pobiegłam do jego gabinetu, Siedział za biurkiem, pochylony nad książką. Wzruszyłam

45  
się, widząc jego drobną, wychudzoną sylwetkę. Podeszłam do niego i pocałowałam go w siwą głowę.

— Aluniu, jak miło, że przyjechałaś. Zosia się ucieszy.

Od lat witał mnie tymi samymi słowami, ale od roku sprawiały mi one wielki ból.

— Co czytasz, tatusiu? - zapytałam.

Ożywił się. Wiedziałałam, że tym pytaniem sprawię mu przyjemność.

— Aluniu, czy wiesz, że w Anhellim znalazłem błąd? Zobacz, tutaj jest napisane: „Ogień przestraszył was jak gołąb-



ki śpiące, aleście zasypiały w domie pożaru". Nie powinno być „w domie pożaru”, lecz „w dymie pożaru”, przecież „w domie pożaru” to nie ma sensu. Ten błąd się pojawia we wszystkich wydaniach Anhelego. Sądzę, że pomylił się zecer w drukarni paryskiej i my ten błąd powielamy od stu siedemdziesięciu lat. Kochanie, odkryłem coś naprawdę ważnego.

— Co zamierzasz teraz z tym zrobić?

— Muszę temu dać rozgłos, tego błędu nie można dalej powielać. Biedny Słowacki na pewno w grobie się przewraca. Myślę, że najpierw napiszę do „Pamiętnika Literackiego”.

— To dobry pomysł. — Poglaskałam go po wychudzonej dłoni i zapytałam: — Tatusiu, może coś zjemy?

— Tak, kochanie, powiedz Zosi, żeby nam zrobiła herbatę i kanapki.

Wyszłam z gabinetu i skierowałam się do kuchni.

W lodówce znalazłam żółty ser i pastę z łososia. Zaczęłam kroić chleb. Łzy kapały mi na dłonie. Nalałam wody do czajnika i podpaliłam gaz. Sobie zrobiłam mocną kawę, ojcu zieloną herbatę. Ustawiłam talerze i filiżanki na tacy i zaniósłam do gabinetu. Jedliśmy w milczeniu.

46

Ze wszystkich pomieszczeń w domu najbardziej lubiłam pokój ojca. Stało tutaj kilkanaście regałów z książkami oraz ogromne biurko. Gdy byłam mała, tata pozwalał mi przy nim rysować. Raz rozłożyłam się na nim z akwarelami. Poplamiałam mu jakąś ważną pracę. Nic nie powiedział, ale mama na mnie nakrzyczała. Siedząc przy biurku, lubiłam patrzeć na te długie rzędy książek. Chwaliłam się koleżankom, że w moim domu jest więcej książek niż w szkolnej bibliotece.

- Córeczko, zajmujesz się teraz jakąś ważną sprawą?

- zapytał.

- Tak, zajmuję się bardzo ważną sprawą. Czy słyszałeś o morderstwie w Ponarach?

Poprawił okulary. Zastanawiał się przez chwilę, potem powiedział:

- Morderstwo w Ponarach? Nie, chyba o tym nie słyszałem.

- To się stało w ostatnią sobotę sierpnia - zaczęłam wyjaśniać. — W pałacu w Ponarach zostało zamordowane rosyjskie małżeństwo. Mieli piętnastoletnią córkę, ona znikła. To bardzo tajemnicza sprawa.

Słuchał mnie uważnie. Niespodziewanie zapytał:

- Czy córka jest w to zamieszana?

- W co? - W pierwszej chwili nie zrozumiałam.

- W morderstwo rodziców.

Patrzyłam na niego zaskoczona. Mój ojciec, ten dobry człowiek, który nigdy nikogo o nic złego nie podejrzewał, teraz sugeruje, że piętnastoletnie dziecko zabiło swoich ro-

dziców.

- Oczywiście sama nie mogła ich zabić - oznajmił spokojnie. - Musiałaby mieć współnika. Ojcobójstwo  
47

i matkobójstwo literatura zna od zarania, że przypomnę tylko Edypa.

Zebrałam naczynia i wyniosłam je do kuchni. Postanowiłam trochę poprasować. Na fotelu w sypialni ojca zawsze czekała na mnie spora sterta wypranych ubrań. Weszłam do pokoju i stanęłam zdumiona. Prania nie było. Zajrzałam do szafy. Koszule ojca wisiały na wieszakach, a podkoszulki leżały na półce. Ktoś wyręczył mnie w prasowaniu, zapewne pani Genia. Umawialiśmy się jedynie na robienie zakupów i gotowanie. Miło z jej strony, że poświęca czas jeszcze innym zajęciom. Będę musiała jej podziękować i dopłacić. Wyjęłam spod poduszki piżamę ojca, w to miejsce włożyłam czystą. Weszłam do łazienki. Wybrałam kilka rzeczy z kosza na brudną bieliznę i wraz z piżamą wrzuciłam do pralki. Rozejrzałam się po półkach. Wyglądało na to, że wszystko jest i na razie niczego nie muszę dokupywać. Poszłam na górę do swojego dawnego pokoju. Był straszny zaduch. Otworzyłam okno. Usiadłam na brzegu wersalki i przez chwilę patrzyłam w lustro na swoje odbicie.

Widziałam szczupłą kobietę z bladą twarzą. Przypomniałam ducha. Uśmiechnęłam się na myśl, że mogłabym w pałacu robić za białą damę. Gdy Misiak mnie zobaczy, to gotów uznać, że jestem pijackim urojeniem. Otworzyłam szafę i wyciągnęłam zielony golf, kraciatą kamizelkę oraz czarne sztruksy. Chciałam te rzeczy zabrać do Ponar. Wróciłam do gabinetu ojca. Nadal siedział przy biurku pochylony nad książką.

— Tato, poczytamy razem? — zaproponowałam.

— Oczywiście, córeczko. A co chcesz czytać?

— To, co zawsze — odparłam, podchodząc do pierwszego regału.

48

Przesuwałam palcem po grzbietach książek, szukając tego jednego tytułu.

— Trzecia półka od dołu - powiedział ojciec.

Pochyliłam się i od razu znalazłam Króla-Ducha Juliusza Słowackiego. To dzieło tata czytał mi do poduszki, gdy miałam siedem lat. Inne dzieci słuchały bajek o Czerwonym Kapturku, a ja upajałam się mistycznym poematem. Nic nie rozumiałam, ale to nie było ważne. Tatuś czytał tak pięknie swoim ciepłym głosem, że w mojej wyobraźni rozdziły się niezwykle obrazy. Słuchając Króla-Ducha, widziałam złotego smoka, który porywa piękną księżniczkę z zamku na skałę. Otworzyłam książkę. W rogu karty tytułowej widniały dwa czerwone kwiatki. Namalowałam je dwadzieścia pięć lat temu, gdy leżałam chora w łóżku i nie

mogłam się doczekać, kiedy tatuś przyjdzie mi poczytać. Podalam mu książkę i usiadłam po przeciwnej stronie biurka. Gdy zaczął czytać, przymknęłam oczy i wyciągnęłam przed siebie nogi. Dzisiaj też nic nie rozumiałam z tego poematu. Nadal najistotniejsza była melodyjna intonacja. Wsłuchiwałam się w ciepły głos ojca i czułam, jak ogarnia mnie spokój. Szkoda, że nie miałam czasu, aby czytywać swojej córce do poduszki. Po dwudziestu minutach wyjęłam książkę z rąk ojca i odłożyłam na półkę.

— Tato, co powiesz na naleśniki z dżemem? — zapytałam.

— Powiem tyle, że zjadłbym ze cztery.

Poszłam do kuchni. Mimowolnie zaczynałam zerkać na zegarek. Powinna zaraz wracać do Ponar. Moja zbyt długa nieobecność może wzbudzić niepotrzebne zainteresowanie albo nawet podejrzenia, a ja chciałam, żeby mieszkańcy pałacu mi ufali. Gdy obdarzą mnie zaufaniem, zaraz

49

rozwiążą im się języki. Talerz z naleśnikami postawiłam na stole i zawołałam ojca. Nie miałam czasu, żeby spokojnie zjeść. Na stojąco pochłonęłam dwa naleśniki i po- | biegłam rozwiesić pranie. Gdy wróciłam do kuchni, tata jeszcze jadł. Nie spieszył się. Poczekalam, aż weźmie do ręki ostatni naleśnik, następnie zebrałam talerze i wsta- | wiłam do zmywarki.

— Tato, muszę już jechać, wpadnę za trzy dni — powiedziałam.

— Dobrze, kochanie, następnym razem przywieź ze sobą Weronikę i Pawła.

Pocałowałam go w policzek i wyszłam.

Rozdział V

Na Joannę natknęłam się przed południem. Wycho- | dziła ze swojego mieszkania na parterze. Przez chwilę obserwowałam jej szczupłą sylwetkę w popielatej garsonce. Poruszała się z wdziękiem, kołysząc biodrami. Godzinę później ta elegancka kobieta stanęła w progu mojego mieszkania. Wyszukiwałam właśnie w księgarni internetowej jakąś dobrą pozycję humanistyczną dla ojca, gdy ktoś energicznie zapukał do moich drzwi. To była Ewa Nowak, przy- | prowadziła do mnie Joannę.

- Joanna też chce z tobą pogadać — powiedziała Ewa.

Kobieta uściśnęła mi dłoń i z uśmiechem oznajmiła:

- Mam nadzieję, że moja relacja na coś ci się przyda.

Zaproponowałam kawę. Obie podziękowały.

- Znasz okolicę? — zapytała Joanna.

- Nie, nie znam.

- To może się przejdziemy? Pokażę ci, jak tu jest pięknie. Szkoda, że pogoda taka koszmarna, ale jezioro niezależnie od pogody wygląda cudnie.

Piętnaście minut później szliśmy drogą wzdłuż lasu.

Wiatr rozwiewał nam włosy i tłumiał oddechy. Zapięłam  
51

kurtkę pod samą szyję. Moja towarzyszka poprawiła apaszkę i schowała dłonie do kieszeni kremowego płaszcza. Nie patrząc na mnie, mówiła o sobie:

— Ja i Robert wzbudzamy ciekawość naszym związkiem, a niektórych nawet szokujemy. Robert jest ode mnie młodszy o dwadzieścia trzy lata. Dla niego zostawiłam rodzinę i wygodne życie. — Oblizła usta i po chwili milczenia kontynuowała: — Byłam nieszczęśliwa, bardzo samotna. Mam nadzieję, że moje córki kiedyś to zrozumieją. Teraz mnie potępiają, ale wierzę, że to się zmieni. Chciałabym, żeby obie w swoim życiu przeżyły taką miłość, jaka teraz jest moim udziałem. Dziewczyny nie przyjeżdżają tutaj. Wydzwaniam do nich i wysyłam e-maile, ale nie odbierają telefonów i nie odpisują. Brakuje mi ich. Robert mnie pociesza, mówi, że wszystko się ułoży, ale i tak jest mi ciężko. Słuchałam uważnie, nie zadając pytań. Joanna mówiła dalej:

— Robert studiuje, jest teraz na moim utrzymaniu. Płacę też alimenty na córki, one również studiują. Nie jest lekko, jedna urzędnicza pensja musi na wszystko starczyć. Dobrze, że chociaż znajoma załatwiła mi w gminie to mieszkanie, bo nawet na wynajęcie kawalerki nie byłoby nas stać.

Po chwili milczenia powiedziała:

— To będzie dziwne, czytać o sobie, zobaczyć siebie jako bohatera literackiego. Mam nadzieję, że mnie nie przedstawiś jako starej, naiwnej baby. Wiem, że ludzie tak właśnie o mnie myślą. Ja sama dawniej też tak myślałam o kobietach wiążących się z młodymi mężczyznami. Joanna zachichotała nerwowo. Chyba naprawdę obawiała się, że w powieści uczynię z niej starą kobietę, która

52

naiwnie uwierzyła w miłość młodego chłopaka. Aby ją uspokoić, uprzejmie wyjaśniłam:

- W książce muszą się znaleźć bohaterowie, którzy nie będą wzbudzać sympatii, ale ty do nich nie będziesz należeć. Jeszcze nie poznałam wszystkich lokatorów pałacu, sądzę jednak, że znajdzie się ktoś, kogo będę mogła pokazać jako mało przyjemnego typu.

- O tak, ktoś taki na pewno się znajdzie, choćby Misiak - zapewniła szybko Joanna. Poprawiła apaszkę i mówiła dalej: - Tutaj mieszkają najróżniejsi ludzie, cały przekrój społeczny, od Misiaków po Firlejów, idealny zestaw bohaterów do książki. Chyba się nie spodziewałaś, że spotkasz tutaj profesora i wielką artystkę. Mam na myśli Firlejów, on jest profesorem na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim, a ona dużej klasy skrzypaczką. Bynajmniej nie mieszkają w pałacu ze względu na zauroczenie barokową architekturą.

Ich pobyt tutaj to prawie zesłanie. Wcześniej mieszkali w Olsztynie, ale stracili dom. Podobno bank zabrał im wszystko.

W naszą stronę jechał samochód, podskakując na nierównej drodze. Stanęliśmy na poboczu. Gdy nas mijał, zobaczyłam potężnego, łysego mężczyznę za kierownicą.

- Kto to był? - zapytałam.

- Mariusz. Mieszka ze swoją dziewczyną Anką pod trójką. Ona lada dzień będzie rodzić - wyjaśniła Joanna.

- Czy on mógłby być mordercą?

- Oczywiście, że mógłby, wygląda na silnego. Każdy mężczyzna z pałacu byłby w stanie pokonać Wołodię. Mariusz, Adam Kirage, profesor Firlej, mój Robert, nawet Misiak, każdy z nich, mając nóż w ręku, dałby radę temu wielkiemu Ruskowi. Może jeden Leszek Lasocki nie

53  
podołałby fizycznie, ale jego żona Renata, gdyby działała z zaskoczenia, mogłaby sobie poradzić. Wydaje mi się jednak, że nikt z pałacu nie jest mordercą.

Uderzył w nas silny poryw zimnego wiatru. Pochyliliśmy się do przodu i szliśmy dalej. Obróciłam głowę w stronę Joanny i, podnosząc głos, powiedziałam:

- Rozumiem. Znasz ich wszystkich dość długo i gdyby ktoś z nich miał takie skłonności, to byś wcześniej to zauważyła.

- Nie, to nie tak. Wiem, że można spać z mordercą przez dwadzieścia lat w jednym łóżku i niczego nie podejrzewać. Uważam, że to nikt od nas, bo pewne przesłanki wskazują na kogoś zupełnie innego.

- Na kogo?

Moje krótkie pytanie zostało zagłuszone przez silny podmuch wiatru, który zachwiał całym lasem.

- Wydaje mi się, że mordercą jest gangster o ksywie Major. - Joanna również zaczęła mówić głośniejszym głosem. - Robert nie podziela mojego przypuszczenia, ale ja jestem prawie pewna, że to Major. Na pięć dni przed zabójstwem Reznikowów ten bandyta uciekł z aresztu w Morażu. Policja obstawiła wszystkie drogi. Robert wracał wtedy z wykładów, zatrzymali go i kazali otwierać bagażnik. Sądzę, że Major znalazł schronienie u nas w pałacu, udzielił mu go Wołodia. Jestem tego pewna. Dwa dni po ucieczce Majora pojawiła się tutaj policja. Pies złapał trop i przyprowadził gliniarzy do nas. Ja wtedy wróciłam wcześniej z pracy. Policjant zatrzymał mnie już przy samochodzie. Pokazał zdjęcie Majora i zapytał, czy go widziałam. Ten policjant był wyjątkowo sympatyczny, nie przypominał sztywnego służbisty, tak zwyczajnie ze mną rozmawiał. Oświadczył, że Major na

54  
pewno był w pałacu, ukrywał się w piwnicy, bo pies ich tam zaprowadził. Dopytywał się, który z mieszkańców mógł

pomóc Majorowi w dalszej ucieczce. Przyznam, że pomyślałam o Mariuszu Anki, ale nie wspomniałam o nim. Powiedziałam, że żaden z lokatorów nie ma nic wspólnego z tym bandytą, że Major zapewne zatrzymał się w pałacu na kilka godzin bez wiedzy kogośkolwiek z mieszkańców. Policjant przyznał, że oni też tak myślą. Razem weszliśmy do bramy, w której stali Wołodia i Sonia. Im także pokazał zdjęcie Majora. Oboje zaprzeczyli, jakoby mieli go kiedykolwiek widzieć. Gdy policjant się oddalił, zobaczyłam, jak Wołodia położył rękę na ramieniu córki. Uścisnął ją, jakby chciał powiedzieć: „Mała, dobrze się spisałaś”. Ona spojrzała na niego z porozumiewawczym uśmiechem i nieznanym kiwnięciem głową. Dała mu znak, że zrozumiała jego uścisk. Pomyślałam sobie wtedy, że oni oboje oszukali policję. Przez wiele godzin zastanawiałam się nad tym, co zobaczyłam w bramie. Im dłużej rozmyślałam, tym bardziej nabierałam przekonania, że źle odczytałam ich gesty. Moje pierwsze odczucie było jednak właściwe. Przekonałam się o tym cztery dni później, gdy znaleźliśmy ciała Reznikowów, a Sonia znikła. Myślę, że Wołodia znał Majora i udzielił mu schronienia, kiedy ten po ucieczce z aresztu pojawił się w pałacu. Zastanawiam się tylko, gdzie go ukrył. Przecież policja z psami przeszukała cały pałac od góry do dołu. Major przez cztery dni ukrywał się u Reznikowów, a później ich zabił i okradł. Sonię zabrał ze sobą. Może myślał, że w towarzystwie dziecka łatwiej będzie mu uciekać. Dręczy mnie myśl, że wtedy w bramie nie zareagowałam. Może gdybym coś powiedziała Wołodii, ten natychmiast pozbyłby się Majora i do tragedii by nie doszło.

55

Joanna umilkła. Miałam wrażenie, że czeka na mój komentarz, ja jednak milczałam, patrząc na liście i drobne gałązki fruwające w powietrzu.

Obie drgnęłyśmy, gdy w lesie z głośnym trzaskiem pękła gałąź. Stare drzewa nie wytrzymały naporu wiatru. Odezwałam się po dłuższej chwili:

— Ewa Nowak powiedziała mi, że widziałaś u pana Kiragi jakieś rzeczy Reznikowów. Co to było?

— To była duża bryła niebieskiego bursztynu — odparła.

— Niebieskiego bursztynu? Coś takiego w ogóle istnieje? — zdziwiłam się.

— Zapewniam cię, że istnieje. Reznikowowie trzymali ten bursztyn za szybą w segmencie. Zauważyłam go już przy pierwszej wizycie, bo naprawdę miał spore rozmiary, ale nie wzbudził mojej ciekawości. Był ciemny, mętny, bez połysku. Kilka tygodni temu, gdy zaszłam do nich na chwilę, zastałam Ludmiłę i Wołodię siedzących przy stole, a przed nimi leżała ta bryła. Wtedy się nią zainteresowałam. Ludmiła chętnie wyjaśniła, że jest to jej cały posag, niebieski, prawie dwukilogramowy bursztyn przywieziony przez

jej dziadka z Rumunii. Powiedziała, że będą musieli go sprzedać, bo są im potrzebne pieniądze. Nie wypadło, ale zapytałam, ile jest wart. Odparła, że liczą na pięć tysięcy. Potem już nie widziałam u nich tego bursztynu. Myślałam, że go sprzedali. Parę tygodni temu zajrzałam do pana Kiragi. To dziwny człowiek, z własnej inicjatywy bym do niego nie poszła, ale pani Blumfeld mnie poprosiła. Staruszka stwierdziła, że on przetrzymuje jej kota. Miałam iść uwolnić Romła. Zapukałam i weszłam. Kota tam nie było, ale w kartonie na podłodze zobaczyłam niebieski bursztyn Reznikowów. Gdyby pan Adam był bardziej przystępny,

56

normalniej szy, to bym zapytała, czy wie, co odziedziczył po sąsiadach. Czasami wydaje mi się, że Kirage to człowiek niespełna rozumu, ale Robert mówi, że on jest mądrzejszy niż my wszyscy, ma tylko dziwne usposobienie. Wysyłałam Roberta do Adama, aby mu powiedział, że to jest bursztyn, ale on twierdzi, że nie ma takiej potrzeby, bo Adam na pewno o tym wie. Ja się boję, że któregoś dnia Kirage po prostu wyrzuci ten bursztyn.

Wiatr przyniósł znad jeziora nieprzyjemną woń mułu.

Poczekaliśmy na przerwę między jednym a drugim podmuchem i powiedziałam:

— Może niebieski bursztyn jest więcej wart? Może pan Kirage wcale nie znalazł go pośród rzeczy pozostałych po Reznikowach, lecz wcześniej im go ukradł?

Joanna zatrzymała się i popatrzyła na mnie.

— Myślisz, że zabił dwie osoby, żeby zdobyć niebieski bursztyn? Tylko dlaczego teraz trzyma ten skarb w kartonie z innymi szpargałami? Poza tym mógł go im ukraść rok temu, kiedy trzymali go na segmencie i nie zawsze zamykali mieszkanie.

Zawróciliśmy w stronę pałacu. Teraz wiatr wiał nam w plecy, pchając nas do przodu.

— Opowiedz mi, co pamiętasz z dnia morderstwa - poprosiłam.

Relacja Joanny z mieszkania numer 1

Nie pamiętam, czy tego feralnego dnia widziałam Ludmiłę i Wołodię, ale na pewno widziałam Sonię. Zobaczyłam ją przez okno. Siedziała na schodach przed drzwiami frontowymi i wysyłała SMS-y. W tym czasie Robert przeglądał

57

w Internecie oferty biur podróży. Planowaliśmy wyjazd we wrześniu, szukaliśmy promocji na naszą kieszeń. Jego komórka leżała na szafce nocnej i co chwilę dawała sygnał, że przyszła wiadomość. Od razu domyśliłam się, że mała Reznikowówna do niego pisze. Sonia i Madzia podkochiwały się w Robercie. Na Naszej Klasie pod jego zdjęciem napisały: „Ale z ciebie ciacho”. Madzia namiętnie robiła mu zdjęcia. Chodziła za nim krok w krok i pstrykała tą swoją

komórką. Była strasznie nachalna. Miałam ochotę wytar- )  
gać ją za te czerwone włosy. Sonia była bardziej powściągliwa w swoich zalotach, ale jednocześnie nie brakowało jej wytrwałości.

Wtedy, stojąc przy oknie i patrząc na małą Reznikowównę, powiedziałam Robertowi, że to ona do niego pisze. Przeczytał od niej wiadomość, coś odpisał i dalej szukał korzystnej oferty w Internecie. Sonia nadal siedziała na schodach. Nie wytrzymałam i po kilku minutach zapytałam, czego ona od niego chce. Powiedział, że poprosiła go, aby na chwilę wyszedł. Zasugerowałam, że może powinien do niej iść. Machnął ręką i stwierdził, że nie pozwoli, aby gowniary włożyły mu na głowę. Po zaginięciu Soni i zabójstwie Reznikowów zapytałam Roberta, czy tego dnia rozmawiał z małą Reznikowówną i czy dowiedział się, czego od niego chciała. Nie rozmawiał z nią, nie widział jej tego dnia. Do osiemnastej siedzieliśmy w mieszkaniu, potem pojechaliśmy na kolację i koncert folkowy do Pasłęka. Zanim wsiedliśmy do samochodu, zatrzymał nas Leszek Lasocki i zapytał, czy nie wiemy, gdzie jest Sonia, bo Ludmiła jej szuka. Wygląda na to, że córka Reznikowów zaginęła na kilka godzin przed ich śmiercią. Ale jeżeli faktycznie tak było, to dlaczego o północy Wołodia i Ludmiła siedzieli

58  
w mieszkaniu, dlaczego jej nie szukali? Ja bym zawiadomiła policję, oni tego nie zrobili. Może obawiali się, że policja znajdzie u nich Majora?

Gdy rozmawialiśmy z Leszkiem Lasockim, zobaczyłam, że pod starą kuźnią siedzą chłopcy Misiaków. Parę godzin wcześniej ich pijaną matkę zabrała policja. Ich też powinna zabrać, a nie zostawiać z ojcem alkoholikiem, który przez większość dnia nie ma żadnego kontaktu z rzeczywistością. Miałam już iść do Ewy Nowak i poprosić ją, aby dzisiaj zajęła się chłopcami. Zobaczyłam jednak, że profesor Firlej i jego żona wychodzą z lasu. Mieli za sobą długi spacer, bo oboje byli zziązani i spoceni. Powiedziałam Adzie Firlej o chłopcach Misiaków. Oznajmiła, że zrobi im kolację i żebym spokojnie jechała do Pasłęka. Ustaliliśmy też, że w niedzielę, jeżeli Misiakowa nie wróci, zadzwonimy na policję i zażądamy, aby zabrali dzieciaki do pogotowia opiekuńczego. Wróciliśmy z koncertu po dwudziestej drugiej. Od razu położyłam się do łóżka, chciało mi się spać, ale Robert włączył telewizor i namówił mnie na oglądanie filmu. Byłam strasznie zmęczona, bolały mnie mięśnie. Czułam z tego powodu duży dyskomfort, czułam się po prostu staro. Na siłę obejrzałam z nim ten film, skończył się pięć minut przed północą. Już myślałam, że sobie spokojnie zasnę, ale mój mężczyzna wciąż tryskał energią i świeżością. Pocałował mnie namiętnie i powiedział, że mam na niego czekać, on tylko weźmie prysznic. Mamy



łazienkę na korytarzu, dzielimy ją z Martą i jej trzema córeczkami. Zamierzałam czekać na Roberta, ale gdy zamknęły się za nim drzwi, natychmiast zasnąłam przy zapalonym świetle. Gdy się obudziłam, w pokoju było ciemno, a obok mnie spał Robert.

59

Wołodia i Ludmiła zginęli między dwudziestą czwartą a pierwszą w nocy. Ja wtedy spałam, Robert spod prysznicą wyszedł jakieś dwadzieścia minut po północy. Uważam, że morderstwo zostało dokonane o nietypowej porze, bo o wyjątkowo wczesnej godzinie. To była sobota, lato, wakacje, ludzie przed północą nie zasypiają. Nie licząc Reznikowów i Misiakowej, w pałacu tej nocy przebywało czternaście dorosłych osób, prawdopodobnie większość z nich nie spała w chwili morderstwa. Zabójca bardzo ryzykował, przecież ktoś mógł usłyszeć niepokojące odgłosy, ktoś mógł się natknąć na wychodzącego mordercę. Może gdyby Robert opuścił łazienkę piętnaście minut później, spotkałby się z nim twarzą w twarz. Mnie ta wczesna godzina morderstwa zadziwia, ale Roberta nie. On zakłada, że zabójstwa mógł dokonać jeden z lokatorów, któremu nie zależało na ukryciu swojej obecności na terenie pałacu i który był dobrze zorientowany w zwyczajach pozostałych mieszkańców.

W niedzielę odwiedziła nas moja koleżanka z mężem. Nie byłam zachwycona tą wizytą. Wprawdzie lubię tę parkę starych nudziarzy, ale Roberta męczy ich towarzystwo. Szepnęłam mu nawet, żeby się wymówił ważną sprawą i pojechał do któregoś z kolegów. On oczywiście jest bardzo kochany i nie zostawił mnie samej z gośćmi. Postanowiłam, że zrobimy grilla nad jeziorem. To było z mojej strony trochę złośliwe, bo wieczorem nad wodą komary atakują niemiłosiernie. Miałam nadzieję, że wcześniej wypłoszą moich znajomych do domu. Faktycznie, udało się, krótko po dwudziestej wsiedli do samochodu i odjechali. Zebraliśmy nasze śmieci i wróciliśmy do pałacu. Gdy otwierałam drzwi do mieszkania, usłyszeliśmy lament

60

pani Blumfeld. Oboje znieruchomieliśmy. Staruszka krzyczała, że Reznikowowie nie żyją. Spojrzałam w górę na kręte schody. Pani Blumfeld biegła, objając się o poręcz. Bałam się, że zaraz spadnie. Podeszliśmy do schodów, staruszka stanęła przed nami, cała dygotała. W tej pierwszej chwili widok roztrzęsionej starej kobiety bardziej mnie poruszył niż informacja o śmierci sąsiadów. Odstawiłam na podłogę to, co trzymałam w rękach, i objęłam jej kruche, drżące ciało. Wyszlochała, że zostali zamordowani. Dopiero wtedy dotarło do mnie, co się stało. Jak przez mgłę pamiętam Roberta biegnącego po schodach. Zaprowadziłam panią Blumfeld do jej mieszkania i zostałam z nią przez

kilka minut. Głaszcząc ją po siwej głowie, szeptałam uspokajające słowa. Gdy przestała płakać, poszłam do siebie. Po korytarzu przewalały się nasze grillowe sprzęty. To był dla mnie znak, że Robert nie wrócił do mieszkania. Pamiętam, że czułam wtedy strach, to był lęk przed tym, czego miałam zaraz doświadczyć. Bałam się, że lada moment zetknę się z potwornym cierpieniem Roberta i nie będę umiała mu pomóc. Spodziewałam się, że to morderstwo przypomni mu inną zbrodnię. Gdy miał dziesięć lat, została zamordowana jego matka. Była pielęgniarką, wracała późnym wieczorem od pacjenta. Została zabita jednym uderzeniem kamienia. Czekałam przez parę minut na Roberta, a potem z duszą na ramieniu poszłam na górę. Robert stał wraz z Adamem Kiragą i Grześkiem Nowakiem pod drzwiami Reznikowów. Nie musiałam pytać, czy to prawda. Wystarczyło, że spojrzałam na bladą twarz Roberta. Bardzo cierpiał, aż serce mi się ścisnęło. Grzesiek Nowak wyglądał na mocno zdenerwowanego. Powtarzał w kółko: »Oni nie żyją". Tylko Adam Kirage jakoś się trzymał. Po

61

przyjeździe policji wróciliśmy do mieszkania i dopiero wtedy w Robercie coś pękło. Zaczął płakać jak małe, skrzywdzone dziecko. Przytulałam go i również płakałam.

## Rozdział VI

Stanęłam przed drzwiami mieszkania pana Kiragi i zapukałam. Gdyby otworzył, miałam zapytać, czy mogę skorzystać z jego komputera, bo muszę natychmiast wysłać e-maila, a u mnie Internet nie działa. Zależało mi, aby znaleźć się blisko tego dziwnego człowieka. Chciałam wejść do jego pokoju, posiedzieć chwilę przy komputerze, a potem podziękować i wyjść. Byłby to pierwszy krok do nawiązania bliższego kontaktu. Następnego dnia będę mogła zaczepić Adama Kiragę na dziedzińcu lub nad jeziorem i chwilę porozmawiać. Zapukałam znowu, nikt jednak nie otwierał. Miałam już odejść zrezygnowana, ale coś mnie podkusiło, aby sprawdzić, czy drzwi są zamknięte na klucz. Nacisnęłam klamkę, drzwi otworzyły się niemal bezszelstnie. Zajrzałam do środka, pytając jednocześnie:

- Przepraszam, czy ktoś tu jest?

Nikt mi nie odpowiedział, nigdzie też nie dostrzegłam lokatora. Spojrzałam w głąb długiego, zagraconego korytarza, aby się upewnić, że żadna przypadkowa osoba nie będzie świadkiem mojej sąsiedzkiej nielojalności, a następnie Weszłam do mieszkania pana Kiragi.

63

W pokoju panował półmrok, grube zasłony wpuszczały niewiele porannego światła. Pod oknem stało duże małżeńskie łóżko przykryte ciemną kapą. Kto by przypuszczał, że jest to posłanie samotnego mężczyzny, który

nigdy nikogo u siebie nie gości. Na lewo od łóżka znajdowało się stare biurko, a na nim drukarka, monitor i klawiatura. Nad biurkiem wisiał plakat z Marilyn Monroe w białej sukni. Coś błysnęło w stercie gazet leżących w wiklinowym koszyku. Podeszłam bliżej i pochyliłam się. To był nóż i jakaś jasna szmatka. Gdy ujęłam ją w dwa palce, zobaczyłam, że jest to rękawiczka. Nóż i biała rękawiczka, uderzył mnie symboliczny kontrast tych dwóch przedmiotów. Nóż jest narzędziem służącym do zadawania śmierci. Przecież człowiek nie wynalazł go po to, aby rozcinać nim listy. Nóż zawsze był nikczemną, skrytobójczą bronią. O ile z mieczem staje się na wprost przeciwnika, to z nożem zachodzi się go od tyłu i wbija podstępnie, zdradziecko w plecy. W taki sposób można zabić przyjaciela, sprzymierzeńca, sąsiada. Tak został zamordowany Wołodia. Symbolicznym zaprzeczeniem dla noża była biała rękawiczka. Podobno kiedyś białe rękawiczki jako oznakę czystości i niewinności wkładano na pogrzeby dziewczyc. Białe rękawiczki nosili wolnomularze, dając tym znak, że hołdują idei czystego serca i czystych rąk.

Wysunęłam szufladę z biurka. Były w niej rozmaite narzędzia, zobaczyłam kombinerki, śrubokręt, nożyczki, ponadto gwoździe, sznurki i kamienie. Otworzyłam kolejną szufladę. Leżały w niej płyty, obejrzałam kilka z nich, nie były podpisane. Nagle usłyszałam za plecami czyjś oddech. Ktoś za mną stał. Każdą komórką ciała czułam obecność drugiej osoby. Płyty wyleciały mi z rąk, dwie spadły na blat

64

biurka, reszta na podłogę. Ogarnął mnie strach, był to lęk przed bezpośrednim zagrożeniem. Zacisnęłam dłonie w pięści i odwróciłam się. Przede mną stał wysoki, chudy mężczyzna. Miałam wrażenie, że widzę go w jakiś dziwny daltonistyczny sposób. Wyglądał jak postać z czarno-białego filmu, cały w szarościach. Jego twarz nie była blada, lecz jasnoszara, przydługie włosy nie były siwe, lecz ciemnoszare.

- Chciałam skorzystać z pana komputera, bo u mnie Internet nie działa - powiedziałam. - Mój głos nie brzmiał przekonująco, ciągnęłam jednak dalej: — Pukałam, ale nikt nie otwierał, weszłam więc i właśnie czekam na pana.

- Węszysz jak suka — rzekł beznamiętnie, jakby oznajmiał, że jest ładna pogoda.

Zmroził mnie ten chłód w głosie, ten psychopatyczny brak jakichkolwiek emocji. Strach podpowiadał mi, że powinnam natychmiast zejść mu z oczu. Pochyliłam się, szybko zgarnęłam płyty i odłożyłam je na miejsce. Potem, patrząc na niego, powiedziałam:

- Przepraszam, że weszłam tutaj pod pana nieobecność i szperałam w pana rzeczach. Proszę mi wybaczyć. Pozwoli pan, że zanim wyjdę, jeszcze się przedstawię. Na-

zywam się Alicja Prus.

Wyciągnęłam do niego rękę, nie zareagował. Uznałam, że powinnam już wyjść. Wyminęłam go i ruszyłam do drzwi. Złapał mnie za ramię. Szarpnęłam całym ciałem, próbując uwolnić się z uścisku. Złapał mnie mocniej i przyciągnął do siebie. Gorący oddech zalał moje ucho i policzek. Usłyszałam nieprzyjemny syczący szept:

- Czego szukałaś?

- Niczego — odparłam.

65

- A mnie się wydaje, że szukałaś klucza.

- Nie szukałam żadnego klucza - powiedziałam, siląc się na spokój. — Nawet nie wiem, o jaki klucz panu chodzi.

- Droga pani detektyw, pani mnie rozczarowuje. Nie wie pani, że kluczem do rozwiązania zagadki kryminalnej jest motyw? Jeżeli chce się znaleźć mordercę, trzeba ustalić, jaki był motyw zabójstwa. Po to tu przecież przyszłaś, żeby poznać powód, dla którego zabiłem Reznikowów. Jestem bardzo uczynny i pomogę ci znaleźć ten klucz.

Podprowadził mnie do kartonów stojących po drugiej stronie pokoju. Kopnął jedno pudełko, odsuwając je od pozostałych.

- Może tutaj jest klucz? Proponuję zajrzeć. — W jego głosie zadźwięczała drwina.

Ściskając mnie za ramię, zmusił do pochylecia się. Stałam zgięta wpół nad kartonem. Łzy napłynęły mi do oczu.

- Niech mnie pan puści! Chcę stąd wyjść! - zażądałam stanowczo.

- Zajrzyj do kartonu! - rozkazał.

Otworzyłam pudełko. W środku leżała ciemna bryła.

Podniosłam ją, była wyjątkowo lekka. Domyśliłam się, że jest to bursztyn Reznikowów, o którym mówiła mi Joanna. Kirage wyprostował mnie i wysyczał do ucha:

- Ten kawałek skorupy jest marzeniem wielu kolekcjonerów na całym świecie. Czy myślisz, że zabiłem Reznikowów, aby go zdobyć? Czy ten elektron, amber, jantar może być kluczem?

- Tak, myślę, że mogłeś ich zabić! - krzyknęłam.

66

Moim ciałem wstrząsnął dreszcz. Puścił mnie i powiedział:

- Dobrze, pani detektyw, każdy tutaj jest podejrzany. Ktoś z nas zabił Reznikowów, każdy może być mordercą. Trzeba każdego widzieć podwójnie. Czy rozumiesz, że każdego trzeba widzieć podwójnie?

Milczałam. Znowu złapał mnie za ramię i przyciągnął do biurka, mówiąc:

- Ja ci to wytłumaczę, że każdego trzeba widzieć podwójnie.

Wyciągnął z wiklinowego kosza gazetę i rzucił ją na blat. Z szuflady z narzędziami wyjął coś, co było podobne do kawałka szkła i położył na gazecie. Następnie kazał mi przeczytać tekst widoczny przez szkło. Równe wersy liter wirowały mi przed oczami.

- Jest za ciemno, nic nie widzę — powiedziałam.

Wyjął z szafy latarkę i poświecił mi. Zobaczyłam bliźniacze pary liter.

- Druk jest podwójny — stwierdziłam.

Mężczyzna podsunął mi kawałek szkła pod oczy i wyjaśnił:

- To jest przezroczysty kryształ kalcytu. Musisz patrzeć na każdego mieszkańca pałacu przez okulary z kalcytu. To pozwoli ci widzieć dwie twarze, twarz poczciwego lokatora i twarz mordercy. Zabójca będzie chciał naprowadzić cię na fałszywy trop, dlatego musisz patrzeć podwójnie, tylko wtedy w porę dostrzeżesz zło. Pamiętaj, na każdego musisz patrzeć przez kalcyt, na mnie również. Pamiętaj też ° kluczu. Klucz jest najprostszym sposobem znalezienia Mordercy. A teraz już idź!

Odłożyłam na biurko bryłę bursztynu.

67

- Elektron zabierz ze sobą! - rozkazał.

—Ja go nie chcę, lepiej oddaj go Soni, kiedy się odnajdzie.

— Ona nie żyje — oznajmił i wcisnął mi w rękę bursztyn. Następnie podprowadził do drzwi i wypchnął na zewnątrz. Biegłam korytarzem, nie widząc nikogo i niczego. Wpadłam na otwarte drzwi, klamka wbiła mi się w zębra. Pobiegłam dalej. Za sobą słyszałam wiązankę soczystych przekleństw. To Misiak wyrażał swoje niezadowolenie z powodu mojego braku ostrożności.

Rozdział VII

Patrzyłam na smukłe dłonie Ady Firlej zakończone wąskimi paznokciami i zastanawiałam się, czy skrzypaczkom od wielogodzinnego trzymania skrzypiec i smyczka robią się odciski. Postawiła na stoliku trzy filiżanki z kawą i zajęła miejsce na ogromnej skórzanej kanapie.

— Dwa lata temu byłam na pani koncercie w filharmonii w Bydgoszczy. Grała pani Czajkowskiego. Niesamowite przeżycie — oznajmiłam.

Pani Firlej podziękowała mi za komplement delikatnym uśmiechem. Była piękną kobietą. Duże ciemne oczy z długimi rzęsami i filigranowa sylwetka upodabniały ją do wróżki z bajek Disneya. Granatowa wąska sukienka i srebrne bransoletki dodawały jej dziewczęcego wdzięku. Siedziała dostojnie, z wyprężonymi plecami i opuszczonymi

ramionami, jakby czekała, aż podejdzie do niej kelner z tacą Zastawioną kryształowymi kieliszkami wypełnionymi szampnem. Patrząc na nią, miałam świadomość własnej przeciętności i nijakości. Ta elegancka kobieta nie pasowała do jednopokojowego, gminnego mieszkania, do zwyczajnych

69  
sąsiadów. Przyszło mi do głowy, że ona musi tutaj czuć się bardzo źle.

Ada Firlej, odgadując moje myśli, powiedziała:

— Na pewno dziwi się pani, że mieszkamy w Ponarach?

Ja sama nie dowierzam, że tu jesteśmy, ale, niestety, musieliśmy uciekać z Olsztyna.

— Przed kim państwo uciekają? - zapytałam.

Do rozmowy włączył się stojący przy oknie profesor Firlej. Wyjął fajkę z ust i rzekł:

— Czy pani się zdziwi, jeśli powiem, że musieliśmy uciekać przed ludzkim śmiechem, przed obojętnością najbliższych przyjaciół?

— Nie jestem specjalnie zdziwiona. Ciekawi mnie jedynie, czym państwo się narazili znajomym.

Niewiele kobiet uznałoby profesora za przystojnego mężczyznę, ale bez wątplenia prezentował się interesująco.

Jego całkowicie ogolona czaszka kontrastowała z bujnym, czarnym zarostem na twarzy. Domyślałam się, że brodę i wąsy zapuścił po to, żeby ukryć grube, pospolite rysy.

W śnieżnobiałej koszuli i brązowej kamizelce wyglądał elegancko. Odłożył fajkę na parapet i zbliżył się do nas.

Z czułością pocałował żonę w rękę, potem usiadł obok niej na kanapie. Patrząc na mnie, zaczął mówić:

— Pyta pani, czym się naraziliśmy znajomym. Otóż czymś strasznym, a mianowicie straciliśmy pozycję. Jakiś czas temu wzięłem się za robienie interesów, no i zbankrutowałem. Wydawało mi się, że nadaję się na biznesmena, bo jestem pracowity i skrupulatny. Nic bardziej mylnego. Te cechy nie są potrzebne do robienia interesów. Potrafię zaryzykować, ale nie umiem kombinować, oszukiwać, kumpować, fałszować, a to, niestety, trzeba robić, aby

70

odnieść sukces w biznesie. Wielu naszych znajomych zastanawia się, po co był nam potrzebny ten cały interes, przecież ja pracuję na uczelni, moja żona w szkole muzycznej, poza tym sporo koncertuje. Wystarczało nam na życie na średnim poziomie. Ale człowiek zwykle chce więcej, nie dla siebie, lecz dla bliskich. Dzisiaj mam wrażenie, że umysł przyćmiła mi wizja prywatnego szofera dla mojej żony. Ada jeździ na koncerty pociągami albo naszym samochodem. Spędza kilka godzin za kierownicą, potem próba, występ i kilkugodzinny powrót, często nocą. Pamiętam, że raz pojechała na koncert do Wrocławia. Występ był w niedzielę, oczywiście miała na miejscu zapewniony

hotel, ale nie skorzystała z noclegu, bo następnego dnia miała lekcje w szkole. Wróciła do Olsztyna o piątej rano, o ósmej była już w kolejnej pracy. Widziałem, że jest półprzypadkowa ze zmęczenia. Namawiałem ją, żeby zrezygnowała z etatu i poświęciła się koncertowaniu. Argument, który wysuwała, że bez tych dwóch tysięcy będzie nam bardzo ciężko, był nie do obalenia. Dwa tysiące kosztuje suknia na występ, dwa tysiące na kwartał trzeba zapłacić masażystce, po dwa tysiące dla każdej z córek na jazdę konną, podobne sumy na szkoły języków obcych i piekielnie drogi kurs tańca. Nie mówiąc o wakacjach za granicą i innych kosztownych pasjach, takich jak fotografowanie. Ale przecież na własnych dzieciach się nie oszczędza. Chcieliśmy, żeby nasze córki rozwijały swoje talenty, żeby dobrze się bawiły i żyły jak młode damy. Chciałem, żeby moją żonę wozili na koncerty prywatny kierowca. To dla moich pań wziąłem się za biznes. Ja, profesor filozofii, znawca fenomenologii, zabrałem się do robienia pieniędzy.

71

Ada Firlej przytuliła się do ramienia męża. W jej wielkich oczach pojawiły się łzy. Miałam wrażenie, że jestem świadkiem niezwyklej, intymnej chwili. Profesor zwierzał się, ale nie mi, lecz swojej żonie. To jej tłumaczył, że z miłości do niej i córek wpędził rodzinę w długi.

- Przepraszam, kochanie, że tak długo czułam do ciebie żal - powiedziała i pogłaskała go po dłoni. - Teraz wszystko się zmieni. - Po chwili Ada zwróciła się do mnie: - Ja też jestem winna naszej obecnej sytuacji. Narzekałam, że jest mi ciężko, że nie mam czasu na próby, że dłonie mi się niszczą od obierania ziemniaków, że zamiast prasować, powinnam grać. Nie tylko narzekałam, również marzyłam o dostatnim, wręcz wytwornym życiu. Dwadzieścia lat temu zagrałam prywatny koncert na dwudziestych piątym urodzinach francuskiej hrabianki. Podczas tego jednego wieczoru zaprzyjaźniłyśmy się z Sophie. Zaprosiła mnie do rodzinnej posiadłości w Burgundii. Myślałam, że to będzie po prostu duży dom, ale gdy przywiozła mnie z lotniska, zobaczyłam potężny zamek na wzgórzu. Potrzebowałam dwóch godzin, aby obejrzeć wszystkie pięćdziesiąt sześć pokoi. Od razu zapragnęłam takiego zamku dla siebie. Potem, gdy poznałam Jerzego, to moje marzenie wydało mi się śmieszne i nieważne. Przyszły na świat dziewczynki i zaczął się codzienny znój. Wtedy marzenie wróciło i zatrzymało mi życie, a ja zatrzymałam umysł męża.

Srebrne bransoletki zadzwięczały, gdy obie dłonie przycisnęła do piersi. Tym gestem zdawała się mówić: „Mea culpa”. Zwierzali się z tego, co od wielu miesięcy leżało im na sercu. Krępowwała mnie ta dziwna i ciężka atmosfera. Nie miałam ochoty uczestniczyć w małżeńskiej terapii,

w małżeńskim katharsis.

72

Profesor obrócił się w stronę żony i rzekł:

- Marzyłaś o zamku, a ja zafundowałem ci życie w pałacu.

Jego głos zabrzmiał bardzo smutno, ale Ada roześmiała się głośno i beztrzesko. Też się uśmiechnęłam i zapytałam:

- Co to był za interes, na którym powinna się panu noga?

- Wziąłem kredyt na otworenie domu weselnego. Na początku było dobrze. Kłopoty zaczęły się od tego, że jedna para nie zapłaciła nam za zorganizowanie wesela. Powinienem to przewidzieć, bo nawet zaliczki całej nie uiścili. Obiecywali, że po weselu, jak dostaną koperty, uregulują wszystko. Uległem, panna młoda była w zaawansowanej ciąży i tak bardzo prosiła. Inna para młoda podała nas do sądu za to, że flaki nie miały odpowiedniej gęstości, a obrusy były kremowe, a nie białe. Musieliśmy zapłacić im za straty moralne. Potem okazało się, że kredyt wzrósł, bo był we frankach. Teraz powoli wychodzimy na prostą. W ciągu dwóch lat powinniśmy spłacić pozostałą część kredytu.

Kanapa zaskrzypiała, gdy profesor pochylił się do przodu. Uniósł filiżankę i mówił dalej:

- Przed bankructwem mieliśmy duże grono znajomych. Byliśmy wszędzie zapraszani, prowadziliśmy otwarty dom. Ale gdy bank zabrał nam wszystko i zacząłem pożyczać pieniądze, wokół nas zrobiło się nagle bardzo pusto. Jakoś nikt nie chciał nas odwiedzać w małym, wynajętym mieszkaniu. Czy uwierzy pani, że było nam głupio, że narażamy naszych znajomych na taki dyskomfort? Sami zaczęliśmy unikać ludzi, żeby tylko nie czuli się skrępowani w naszym towarzystwie. W końcu uciekliśmy z Olsztyna.

73

Pojawiła się okazja, żeby zamieszkać tutaj, skorzystaliśmy więc z tego. Teraz czasami ktoś nas zaprosi, ale my mamy dobre wytłumaczenie. Możemy powiedzieć, że mamy daleko.

Gdy profesor umilkł, głos zabrała jego żona:

- Obawiam się przyszłego roku, bo nasza Marzenka zacznie studia. Chce studiować na Sorbonie. Wprawdzie ona mówi, żebyśmy się nie martwili, bo są stypendia, ale nauka za granicą na pewno będzie się wiązała z dodatkowymi kosztami. Dziewczynki mieszkają w internacie w Warszawie, bo właśnie tam chodzą do szkoły. Tutaj przyjeżdżają tylko w weekendy i to nie we wszystkie. Staramy się, żeby najmniej ucierpiały na tym naszym niepowodzeniu. W tym roku pojechały na wakacje do Zakopanego, a potem do Sophie. Na szczęście nie było ich tutaj, gdy doszło do tego strasznego zabójstwa. One bardzo to przeżyły, zwłaszcza



zaginięcie Soni. Dziewczynki codziennie do nas dzwonią i pytają, czy Sonka, tak ją nazywały, się odnalazła.

Profesor wstał i podszedł do okna. Nie patrząc na nas powiedział:

- No właśnie, morderstwo Reznikowów. Przecież w tej sprawie pani do nas przyszła, a my opowiadamy o sobie. Co pani chce wiedzieć? Proszę pytać, odpowiemy na każde pytanie.

- Interesuje mnie wszystko, nawet najdrobniejszy szczegół związany z tym zabójstwem. Najbardziej ciekawi mnie, kogo państwo podejrzewają o to morderstwo. Profesor przez chwilę obracał fajkę w palcach, potem spokojnie oznajmił:

- My nikogo nie podejrzewamy, my po prostu wiemy, kto to zrobił.

74

— Kto? — zapytałam krótko.

Spojrzeli na siebie, potem na mnie. Milczeli.

— Kto jest mordercą? — powtórzyłam pytanie.

Profesor Firlej usiadł na kanapie i zaczął mówić przy-ciszonym głosem:

— Powiemy pani, ale proszę nie podawać w swojej po-wieści, kto ujawnił pani jego nazwisko. Obawiamy się o nasze bezpieczeństwo. Ten człowiek nadal jest na wol-ności i nie wiadomo, czy w ogóle trafi za kratki. Powiado-miliśmy o wszystkim policję, ale ci muszą mieć dowody, odciski palców i narzędzie zbrodni. Mnie się wydaje, że gdyby go zamknęli na dwie doby i przesłuchiwali co kilka godzin, to by się przyznał.

— Ja nie mogę zrozumieć, dlaczego ten straszny czło-wiek wciąż jest na wolności — wtrąciła się Ada. Wyciągając do mnie rękę, nakazała: — Musi pani ujawnić w swojej książce jego nazwisko!

— Ale kto to jest? - zapytałam stanowczo.

— Nowak spod ósemki - powiedziała, otwierając sze-roko oczy, jakby się dziwiła, że się jeszcze nie domyśliłam.

— Grzesiek Nowak, mąż Ewy? — upewniłam się.

Oboje pokiwali twierdząco głowami.

-Jakie mają państwo na to dowody?

— Kilka rzeczy na to wskazuje — zaczął tłumaczyć pro-fesor Firlej. - W niedzielę, czyli następnego dnia po mor-derstwie, poszliśmy z żoną na spacer. Najpierw weszliśmy na pomost. Siedział tam Nowak, jego dzieciaki się kąpały. Zwykle pływała z nimi Sonia. Tym razem jej nie było, za-pytałem więc Nowaka, gdzie ona jest. Jego reakcja była pio-runująca. Zmienił się na twarzy nie do poznania. Nigdy nie widziałem, żeby człowiekowi tak dygotała cała twarz, jakby

75

miał dwa razy więcej mięśni niż każdy inny. Gdy się odda-liliśmy, moja żona stwierdziła nawet, że on miał atak epi-

leptyczny. Teraz wiemy, że to zbrodnia popełniona na Soni i jej rodzicach dała wtedy o sobie znać. Zaskoczyliśmy go tym pytaniem o Sonię.

— Wybaczą państwo, ale nadmierna nerwowość o niczym jeszcze nie świadczy - zaproponowałam.

— Proszę dalej posłuchać, co mój mąż ma do powiedzenia - poleciła Ada.

— Dzień wcześniej, w sobotę, spacerowałam sobie wzdłuż jeziora. Byłam w tym miejscu, gdzie wysoka trawa oddziela jezioro od drogi i lasu. Było gorąco, wręcz parno. Rzuciłem się na trawę. Leżałem na plecach, ręce miałem podłożone pod głowę i czułem, że zasypiam. Nagle ktoś przebiegł kilka metrów ode mnie. Uniosłem głowę i zobaczyłem Grzegorza Nowaka. Nie mam wątpliwości, że to był on. Stał nad brzegiem jeziora, zamachnął się i wyrzucił coś do wody. To coś zatoczyło duży łuk, błyszcząc różowym kolorem w słońcu. Sonia miała komórkę o intensywnie różowym, metalicznym kolorze. Nowak wyrzucił do jeziora telefon Soni. Dopiero w kilkanaście godzin po odkryciu morderstwa zacząłem kojarzyć wszystkie fakty. Jego zdenerwowanie na pomoście, pozbycie się komórki i jeszcze to, że powiedział Adamowi Kiradze, że Sonia nie żyje. Gdy włamałem się do mieszkania Reznikowów i odkryłem ciała, pojawili się tam Nowak i Kirage. Kirage zapytał, gdzie Sonia, a Nowak odpowiedział, że nie żyje. Ja, widząc w mieszkaniu ciała tylko Reznikowów, pomyślałem sobie, że ich córka żyje. Wydaje mi się, że każdy w takiej chwili powinien pomyśleć, że dziewczynka ocalała, skoro nie ma jej ciała. A Nowak powiedział, że ona nie żyje.

76

Mówiłem policji o tej komórce Soni. Pokazywałem miejsce, gdzie Nowak się jej pozbył, ale policja to zbagatelizowała. Nie mogę sobie tego darować. Wprawdzie przeszukiwali jezioro, szukali jednak ciała Soni, a nie jej telefonu.

— Zastanawiali się państwo, dlaczego Grzesiek Nowak miałby ich zabić? Przecież nie morduje się trzech osób bez powodu?

Po chwili milczenia odezwała się Ada:

— Zwykle przyczyną takich zbrodni są zemsta, zazdrość albo zdrada.

— Również chęć wzbogacenia się — dodałam.

— To możemy wykluczyć — profesor od razu zaprzeczył. — Reznikowowie nie byli bogaci. Nowak nie zyskał finansowo na ich śmierci, chyba że czegoś nie wiemy. Reznikowowie i Nowakowie przyjaźnili się, dużo czasu spędzali wspólnie. Takie ścisłe relacje najszybciej rodzą konflikt. Mam nadzieję, że wkrótce dowiemy się, co popchnęło Nowaka do tego mordu.

— Dlaczego to akurat pan włamał się do mieszkania Reznikowów? Jak to wszystko się odbyło? — zapytałam.

Ada gwałtownie uniosła obie dłonie, aż bransoletki zsunęły się do połowy przedramion. Zasłaniając sobie uszy, powiedziała:

— Nie, ja nie chcę znowu słuchać tych okropności.

Może innym razem opowiesz pani o tym?

Usłyszałam rozpaczliwą nutę w jej głosie. Mąż położył dłoń na jej kolanie i zapewnił:

— Kochanie, jeśli sobie nie życzysz, nie będę o tym mówił.

Pani Firlej zwróciła się do mnie:

— Proszę mi wybaczyć, ale ja już to raz słyszałam.

77

Kiwnęłam ze zrozumieniem głową. Moja filiżanka była już pusta. Podniosłam się i podziękowałam za zaproszenie. Profesor też wstał. Przytrzymał żonę za ramię, by nie wstała.

— Kochanie — powiedział do niej — ja odprowadzę panią Alicję do jej mieszkania i po drodze w kilku słowach zrelacjonuję tamten dzień. Wrócę za dziesięć minut.

Wyszliśmy na korytarz. Pod sufitem kilkunastometrowego holu świeciła słabo tylko jedna żarówka. Szafy, komody, kartony wydawały się potężnieć w tym półmroku, jakby chciały zagrozić wąskie przejście. Szłam pierwsza, za mną podążał profesor. Gdy zza drzwi Misiaków dobiegł pijacki bełkot, profesor rzekł:

— Na początku żona ćwiczyła w mieszkaniu, ale pewnego dnia Misiak zaczął kopać w nasze drzwi i wrzeszczeć, że jak nie przestanie grać, to wsadzi jej te skrzypce, niech pani mi wybaczy wyrażenie, w dupę. Myślałem, że go zabiję. Od tamtej pory Ada trenuje w szkole, tam przede wszystkim ma odpowiednią akustykę.

Ocierałam się o meble, wystające ostre elementy łapały mnie za sweter. Korytarz skręcał w prawo, tutaj nie było żadnej żarówki. Kopnęłam blaszaną wannę, wyciągnęłam rękę i dotknęłam pralki, za nią były moje drzwi. Włożyłam klucz do zamka i przekręciłam. Drgnęłam, gdy profesor złapał mnie za ramię. Słyszałam jego niespokojny oddech. Ciarki przeszły mi po plecach. Chrapliwym głosem powiedział:

— Nie byłem w tym mieszkaniu od czasu, kiedy ich znalazłem. Proszę, nie wchodźmy tam, porozmawiajmy tutaj. Trzymając mnie za rękę, lekko pociągnął w stronę okna na końcu korytarza. Okno w połowie zastawione było

78

wysoką lodówką. Wyrzałam przez nie i zobaczyłam •wyłaniające się z szarości czarne pnie drzew. Usiadłam na parapecie, a profesor na odwróconym do góry dnem wiadrze.

Relacja profesora Firleja z mieszkania numer 6

W sobotę, w dzień morderstwa, położyliśmy się przed

drugą. Gdy zasypialiśmy Reznikowowie nie żyli już od godziny, a może dłużej. Prawie do północy siedziałem nad artykułem. Właściwie to nie był artykuł. Proszę, aby pani nie wspominała w swojej powieści o tym, co teraz powiem, ale chcę być szczery. Otóż nie pisałem artykułu, lecz pracę doktorską dla jakiegoś doktoranta z KUL-u. Nawet go nie znam, wszystko załatwiałem przez pośrednika. Pośrednika też właściwie nie znam, znalazłem w Internecie namiary na niego. Proceder polega na tym, że dostaję temat i ogólne wytyczne na skrzynkę elektroniczną. Potem piszę i wysyłam pracę fragmentami na adres e-mailowy pośrednika. Kolejny fragment wysyłam dopiero wtedy, gdy dostanę zapłatę za poprzedni. Mam z tego powodu moralną niestrawność, ale muszę wyprowadzić moją rodzinę z długów. Ada oczywiście wie, jak sobie dorabiam, i widzi, że mnie to gryzie. Raz powiedziała mi, żebym się nie przejmował, bo Jacek Kuroń, jak odebrano mu możliwość pracowania, to też zarabiał na życie, pisząc prace dyplomowe. Nie wiem, czy to w ogóle jest prawda, ale to nieważne, bo w taki sposób nie powinienem usprawiedliwiać swojej nielegalnej działalności. Pisałem więc do północy pracę dyplomową. Tego wieczoru moja żona zasiedziała się u pani Blumfeld. Ta miła staruszka jest jedyną osobą w pałacu, z którą się zaprzyjaź-

79

niliśmy. Często ją odwiedzamy, a ona nas. Z innymi mieszkańcami łączą nas poprawne sąsiedzkie relacje, oczywiście z wykluczeniem Misiaków. W tamtą sobotę Ada wróciła od pani Blumfeld kilkanaście minut po północy. Pamiętam, że spojrzałem na zegarek, była godzina 00:10. Pomyślałem, że jest późno, i powinna już wrócić. Rzeczywiście, zaraz przyszła. Oficer prowadzący śledztwo pytał ją, czy słyszała wtedy na korytarzu jakieś hałasy. Niczego nie słyszała, nikogo też nie widziała. Z przerażeniem myślę o tym, że mogła się natknąć na mordercę. Ada przyniosła album z rodzinnymi fotografiami pani Blumfeld. Obejrzeliśmy go razem. Potem poszła do łazienki. Zanim się położyła, wyprasowała sobie jeszcze dwie suknie na niedzielny koncert. Zawsze brała dwie, na wszelki wypadek, gdyby jedna się poplamiała, pogmiotła albo coś innego się z nią stało. Gdy ja brałem prysznic, ona już leżała w łóżku.

W niedzielę wstaliśmy późno, było już po dziesiątej.

Ada o szesnastej miała wyruszyć do Elbląga na występ. Postanowiliśmy się przejść przed jej wyjazdem. To właśnie wtedy poszliśmy na pomost, zastaliśmy tam Nowaka i zapytaliśmy go o Sonię. Gdy żona pojechała, zamknąłem się w mieszkaniu i dalej pisałem pracę doktorską. Po dziewiętnastej zapukała do mnie pani Blumfeld. Powiedziała, że Reznikowowie zniknęli. Trochę mnie to zaskoczyło. Wyjaśniła, że od rana nikt u nich nie otwiera, a ich samochód stoi na podjeździe. Kategorycznie stwierdziła, że trzeba

wyważyć drzwi i sprawdzić, co się stało. Próbowałem jej wyjaśnić, że to zbyt duża interwencja, że nie ma podstaw, żeby podejmować takie zdecydowane kroki. Wtedy w oczach pani Blumfeld pojawiły się łzy. Powiedziała z wyrzutem, że jestem taki sam jak Nowak. Czy to nie ironia, że

80  
właśnie do Nowaka, do mordercy poszła najpierw, aby go zawiadomić, że zapewne coś się stało z Reznikowami? Podobno Nowak był wściekły, wypchnął ją z mieszkania. Udało mi się przekonać panią Blumfeld, że może lepiej najpierw zadzwonić na komórkę Wołodii albo Ludmiły i sprawdzić, czy odbiorą. Starsza pani nie miała ich numerów. Poszła do Lasockich, bo oni też przyjaźnili się z Reznikowami, była więc nadzieja, że będą znać numery ich telefonów. Owszem, znali. Pani Blumfeld wróciła do mnie z Leszkiem Lasockim. Oznajmili, że Reznikowowie nie odbierają komórek. Stali pod ich drzwiami i telefonowali przez kilka minut. Usłyszeli, że w mieszkaniu odzywa się telefon Ludmiły. Zaczynało mnie to wszystko intrygować. Nadal jednak byłem przeciwny wyważaniu drzwi, chociaż Lasocki też mnie do tego namawiał. Wtedy zadzwoniła Ada. Była już po próbie i czekała na rozpoczęcie koncertu. Zrelacjonowałem jej pokrótce sprawę, z jaką przyszła pani Blumfeld. Moja żona bardzo się zaniepokoiła losem Reznikowów. Przyszło jej do głowy, że oboje wypili jakieś ziółka przygotowane przez Ludmiłę i się nimi zatruli. Wiedzieliśmy, że pani Reznikow jest zielarką i sceptycznie się do tego odnosiliśmy. Wierzymy w lecznicze działanie ziół, ale czy ta Rosjanka posiadała rzetelną wiedzę? Lepiej kupować preparaty ziołowe w aptece. Moja żona przekonała mnie, że należy włamać się do Reznikowów.

Nigdy nie rozwaląłem zamka w drzwiach. Pomyślałem nawet, żeby pójść do Mariusza spod trójki i poprosić go o pomoc. Ten chłopak wygląda tak, jakby niejedno mieszkanie obrobił. Zrezygnowałem jednak, bo nie chciałem, aby sobie pomyślał, że uważam go za zawodowego włamywacza. Wziąłem młotek, śrubokręt i poszedłem pod

81  
mieszkanie Reznikowów. Czuję się bardzo nieswojo. Pani Blumfeld cały czas mi towarzyszyła. Leszek Lasocki dołączył do nas po kilku minutach. Gdy zacząłem rozwaląć zamek, Nowakowie wyjrżeli na korytarz. Nawet na nich nie spojrzałem, teraz tego żałuję, bo wyraz twarzy Grzegorza mógłby mi wiele powiedzieć. Prawdopodobnie był przerażony. Lada moment mieliśmy odkryć popełnioną przez niego zbrodnię. Po dwudziestu minutach zmagania się z zamkiem otworzyłem drzwi. Pamiętam, że uderzył mnie zaduch i kwaśna woń. Zobaczyłem zwłoki leżące na podłodze. Właściwie widać było tylko zakrwawione nogi i biodra, pozostała część ciała leżała w łazience. Pani Blum-

feld zaczęła krzyczeć, ten krzyk mnie ocucił. Dopiero wtedy tak naprawdę dotarło do mnie, co widzę. Wyrwany z chwilowego odrętwienia wpadłem w jakąś dziwną nadpobudliwość. Czulem, że muszę coś zrobić. Wszedłem do mieszkania i ukląkłem nad zwłokami. Wołodia leżał na brzuchu. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego próbowałem przekręcić go na plecy. Był przecież martwy, w żaden sposób nie byłem w stanie mu pomóc, a jednak usiłowałem go obrócić. Był niemiłosiernie ciężki, jakby przybyło mu po śmierci ze sto kilo. Nagle spostrzegłem, że mam ręce we krwi. Przeraziła mnie ta krew. Wytarłem dłonie w spodnie i sięgnąłem do kieszeni po komórkę. Chciałem zadzwonić na policję, nie miałem jednak aparatu. Rozejrzałem się po pokoju. Na wersalce leżała zakrwawiona pościel i chyba jakieś dokumenty. Po podłodze przewalały się książki, papiery i zdjęcia. Po przeciwnej stronie stało metalowe łóżko, pod nim zobaczyłem ciało. Po czarnych długich włosach poznałem Ludmiłę. Ukląkłem przy łóżku, obiema rękami złapałem ją za ramiona i wyciągnąłem. Wolałbym nigdy nie

82

oglądać jej twarzy, wyglądała potwornie z tymi wytrzeszczonymi oczami. Mimo ohydy tego widoku patrzyłem na nią jak zahipnotyzowany. Dopiero po chwili dostrzegłem, że ma siniaki na szyi. Została uduszona.

Do pokoju weszli Grzesiek Nowak, Adam Kirage i Robert. Podniosłem się i kazałem im wyjść. Zrozumiałem, że nie powinniśmy zadeptywać śladów. Ja wyszedłem jako ostatni, zamknąłem za sobą drzwi. Już na korytarzu poleciłem im zadzwonić na policję. Sam wróciłem do mieszkania. Bardzo długo brałem prysznic. Mam wrażenie, że nie tylko zmywałem z siebie pot i krew, ale także odór śmierci. Po wyjściu z łazienki wyjrzałem przez okno i zobaczyłem dwóch policjantów wychodzących z pałacu. Zastanawiałem się, czy nie powinienem pójść i powiedzieć im o Soni. Uznałem jednak, że pozostali sąsiedzi na pewno już to zrobili. Tylko bym przeszkadzał policjantom w czynnościach śledczych. Spodziewałem się, że po koncercie Ada zadzwoni i zapyta o Reznikowów. Nie chciałem jej o tym mówić przez telefon, nie chciałem, żeby dzwoniła. Wysłałem więc SMS-a z informacją, że wszystko w porządku. Nosiło mnie po pokoju, nie mogłem usiedzieć w miejscu. Postanowiłem na zewnątrz poczekać na żonę. Przed bramą stały dwa wozy policyjne. Usłyszałem, jak ktoś mówi, że prokurator będzie za godzinę. Zatrzymał mnie młody policjant i poprosił o dowód osobisty. Spisywali tych, którzy opuszczali teren pałacu. Wróciłem na dziedziniec i usiadłem pod murem na pustaku. Zrobiło się już ciemno, byłem więc mało widoczny. Przed drzwiami frontowymi świeciła się żarówka, dobrze widziałem ludzi wchodzących i wychodzących z pałacu. Pół godziny później przez bramę

przeszli Ania i Mariusz. Domyśliłem się, że nie było ich  
83

w pałacu w chwili odkrycia zwłok. Podszedłem do nich. Mariusz zapytał, co robią u nas psy. Powiedziałem, że Reznikowowie zostali zamordowani. Zszokowała ich ta wiadomość. Pani Ania zasłabła. Powiniennem mieć na względzie fakt, że jest w ciąży, i oględniej jej to zakomunikować. Ania oparła się o Mariusza i wyszeptwała: „Teraz cię zamkną”. Przypuszczam, że oboje myśleli o tym, że zaraz go aresztują jako głównego podejrzanego. Prawdopodobnie Mariusz niejedno ma za uszami. Pomogłem mu zaprowadzić Anię do mieszkania, potem wróciłem pod mur. Widziałem, jak do pałacu wszedł prokurator. Gdy zbliżała się godzina powrotu Ady, stanąłem przy bramie i czekałem. Po kilku minutach zobaczyłem światła jej samochodu. Wyszedłem na podjazd. Cicho zapytała, co się stało. Powiedziałem, że mieliśmy w pałacu wypadek. Wyjąłem z bagażnika torbę i futerał ze skrzypcami. Potem w mieszkaniu zrelacjonowałem jej wszystko ze szczegółami.

#### Rozdział VIII

Rano otworzyłam swoją lodówkę. Znajdowały się w niej tylko trzy jajka i pasztet drobiowy. Wsiadłam więc w samochód i ruszyłam do Boguchwał po zakupy. Wymijałam leżące na szosie niewielkie gałęzie przyniesione przez silne podmuchy wiatru. Sprawne wykonywanie manewrów sprawiało mi przyjemność. Lubiałam prowadzić. Gdy wyjechałam zza zakrętu, zobaczyłam mężczyznę idącego chwiejnym krokiem. Prowadził rower, a raczej się go przytrzymywał. Wiatr szarpał jego rozpiętą kurtkę. Dwa kilometry dalej dojrzałam znajomą sylwetkę. Po jasnych długich włosach rozpoznałam Roberta. Przyhamowałam, otworzyłam okno i zawołałam:

-Jeżeli idzie pan do Boguchwał, to mogę podwieźć!

— Dziękuję, przespaceruję się — odpowiedział.

Pojechałam dalej. Kilka minut później zaparkowałam przed małym sklepem spożywczym. Wsiadłam z samochodu i spojrzałam na sine, niskie niebo. Wyglądało tak, jakby zaraz miało runąć na mnie strumieniami wody. Weszłam do małego, zapyziałego z zewnątrz sklepiku. W środku było jednak jasno i przytulnie. Jakieś młode towarzystwo  
85

stało przy ladzie. Dźwięczały butelki wkładane do siatek, szeleściły torebki z chipsami. Jedna z dziewczyn rozpakowała batonik i wbiła w niego zęby, odgryzając kawałek. Druga poczęstowała się cukierkiem, biorąc go wprost z półki. Chłopcy głośno rozmawiali o jakimś meczu. Młodzi zachowywali się bardzo swobodnie. Jak to młodzi. Odwróciłam się do nich plecami i zaczęłam oglądać jogurty. Gdy sklep opustoszał, podeszłam do lady. Sprzedawczyni odezwała się pierwsza:

— Czy zamieszkała pani w Boguchwałach albo gdzieś w okolicy? Chyba nie jest pani tutaj przejazdem, bo widzę panią już po raz czwarty?

— Mieszkam w Ponarach, w pałacu — odparłam trochę zaskoczona.

— To pani też będzie brać na zeszyt jak inni?

— A kto z pałacu bierze na kredyt? — odparłam pytaniem na pytanie.

Ekspedientka splotła dłonie na obfitym brzuchu i spojrzała na mnie podejrzliwie.

— Przepraszam, nie powinnam pytać.

— To właściwie żadna wielka tajemnica — zaczęła sprzedawczyni. — Najczęściej na kredyt biorą Marta Kruczek, Ewa Nowak i ta młoda Ania, co teraz jest w ciąży. Marta i Ania wiszą mi w tej chwili po trzysta złotych. Pani Ewa ma od dwóch miesięcy czyste konto. Misiaki oczywiście też biorą na zeszyt. Jak Misiak przychodzi po wino, to mu od razu daję i nawet nie pytam, czy zapłaci? Chcę, żeby jak najszybciej wyszedł i nie odstraszał mi klientów. Niech już będą stratna te kilkanaście złotych.

Poprosiłam o chleb, parówki, musztardę, słonecznik i kokosowe ciasteczka. Korpulentna sprzedawczyni zwin-

86

nie poruszała się za ladą. Wążąc, pakując i kasując, wciąż mówiła:

— Państwo Lasoccy i pani Joanna z tym swoim przystojniaczkiem też czasami płacą z opóźnieniem, ale muszę przyznać, że zdarza im się to bardzo rzadko. Pani Joanna robi też u mnie zakupy dla tej starej Niemki.

— A państwo Firlej i pan Kirage, czy oni płacą? — zapytałam.

— Ci dziwni Firlejowie byli u mnie parę razy, ale oni oboje pracują w Olsztynie i chyba tam, w dużych sklepach robią zakupy. A pan Kirage zawsze płaci, nigdy nie brał na kredyt. Wydaje mi się, że pan Adam jedyny w pałacu ma pieniądze. Kiedyś zauważyłam u niego w portfelu spory plik. Poza tym co kilka miesięcy zostawia u mnie stówkę i prosi, żebym dała małym Misiakom po bułce i kawałku kiełbasy, jak się pojawią. Daję im też chipsy i cukierki, bo kto im to kupi. Właściwie nie powinnam tego robić. Oni stają się coraz bardziej nachalni. Ostatnio, jak ich pogoniłam i nic im nie dałam, rzucili kamieniem w witrynę. Obiecywałam sobie, że nigdy więcej niczym ich nie poczęstuję, ale gdy kilka dni później stanęli przemoczeni przy drzwiach, dałam im po słodkiej bułce z makiem. Nawet podziękowali.

Sprzedawczyni w szerokim uśmiechu pokazała duże zęby i zaproponowała mi słoiczek miodu lipowego. Zapewniała, że z herbatą smakuje doskonale w zimne jesienne wieczory. Poprosiłam o miód i zapytałam:



— Co pani może mi powiedzieć o Reznikowach?  
Słoićzek z miodem wysunął się z pulchnej dłoni ekspedientki i uderzył o ladę. Złapała go i obejrzała dokładnie, a następnie odstawiła pod ladę i sięgnęła po nowy.

87

— Wołodia, z niego to był wyjątkowy mężczyzna. Jak wszedł do sklepu, to przynajmniej pół godziny ze mną pogawędził. Czasami musiałam go wyganiać, bo aż szczęka bolała mnie od śmiania się, tak sypał żartami. Raz przyniósł mi tulipany. Jak sobie pomyślę, że on już nigdy nie wejdzie do mojego sklepu, to aż mnie w piersiach ścisną z żalu.

Kobieta przycisnęła rękę do serca, jej broda zadrżała.

— Czy Reznikowowie brali na zeszyt? - zapytałam.

— Brali i bez przypominania oddawali. Wołodia, gdy przychodził uregulować zadłużenie, zawsze całował mnie w rękę i mówił, że mam wielkie serce i on kiedyś odpłaci mi się za tę moją dobroć. Obiecywał, że jak będzie miał pieniądze, to przyjdzie i wykupi u mnie cały towar, i zapłaci za niego podwójnie. Jaka szkoda, że zginął. Jak można zabić całą rodzinę z tak banalnego powodu? Ludzie do reszty poszaleli.

— Z jakiego powodu oni zostali zamordowani? — zapytałam, podając ekspedientce pieniądze do ręki.

Rzuciła na ladę pięć złotych reszty i zatrzasnęła kasę.

Z gniewem powiedziała:

— Zginęli, bo byli Ruskami. Przeszkadzali ludziom, bo nie byli swoi, lecz obcy. Wielu uważało, że Reznikowowie zajmują mieszkanie, które należy się polskiej rodzinie.

— Nie wydaje mi się, żeby narodowościowe względy były motywem tej zbrodni - stwierdziłam.

— Oj, kochaniutka, jak ty mało wiesz o życiu. Popracowałybyś przez pół roku za ladą i posłuchała, co ludzie mówią w sklepie czy przed sklepem, to byś nie była taka naiwna. Sama latem słyszałam, jak ten bandyta Mariusz mówił do swojej Ani, że ta stara Żydówka powinna siedzieć w domu starców w Izraelu, a nie zajmować pokój, który im

88

się należy, bo przecież będą mieli dziecko. Potem dodał, że stara powinna kipnąć przed narodzinami małego Rumcajsa. Ciekawe, czy mówiłby o starszej pani z taką nienawiścią, gdyby była Polką?

Zaczęłam pakować produkty. Sprzedawczyni dorzuciła mi do torby paczkę herbatników.

— To do herbaty z miodem.

Podziękowałam i skierowałam się do drzwi. Po trzech krokach zawróciłam i znowu stanęłam przed ladą.

— Coś jeszcze, kochaniutka? — zapytała ekspedientka.

— Policja podejrzewa, że mordercą jest ktoś z pałacu.

Pani uważa, że zabito ich, bo byli Rosjanami. Ale kto z pałacu zamordowałby ich z takiego powodu?

Kobieta poprawiła na sobie przyciasny fartuch. Zapięła guzik przy szyi i zaraz go rozpięła.

— Czy podejrzewa pani Mariusza? — dociekałam.

— Ten łysy Mariusz jest bez wątpienia bandytą, ale... —  
Moja rozmówczyni zawiesiła głos, a potem dodała ciszej:

-Ja mam swoją własną teorię na temat tego morderstwa.

— Proszę mi ją zdradzić.

Kobieta przechyliła się przez ladę i szeptem zapytała:

— Czy oglądała pani film Morderstwo w Orient Expressie?

Kiwnęłam potakująco głową.

— No właśnie. Tam zabójcami byli wszyscy pasażerowie pociągu. Wspólnie zaplanowali i dokonali morderstwa. Pomyślałam sobie, że w pałacu było podobnie. Wszyscy lokatorzy się zmówili i pozbyli się rosyjskiej rodziny. W tym spisku nie mogła brać udziału pani Blumfeld. Ona sama nie jest z krwi i kości Polką, nie zgodziłaby się więc na usunięcie innych obcokrajowców. Nie sądzi pani, że to ciekawa teoria?

89

Musiałam przyznać, że teoria była interesująca, ale również mało prawdopodobna. Podziękowałam za rozmowę i wyszłam na zewnątrz. Uderzyły we mnie duże, pojedyncze krople deszczu. Do sklepu dobiegał Robert.

Widząc mnie, zawołał:

- Jeżeli wraca pani do Ponar, to proszę na mnie poczekać, zrobię tylko zakupy.

Obiecałam, że poczekam, i wsiadłam do samochodu.

Przejrzałam się w lusterku, przeczesałam palcami włosy, próbując przywrócić im puszystość. Otworzyłam torebkę i szukałam pomadki. Znalazłam jedynie bezbarwny błyszczący. Nałożyłam go na usta. Deszcz gęstniał, głośno uderzając o dach. Włączyłam nagrywanie w dyktafonie. Po kilku sekundach przyłożyłam urządzenie do ucha i odtworzyłam plik. Usłyszałam huk. Ulewa zakłóci nagranie, ale mimo to nacisnęłam „start”.

Robert wsiadł do samochodu. Obrócił się i położył swoje zakupy na tylnym siedzeniu. Gdy ruszyłam, zapytał:

- Co pani chce wiedzieć?

Wycieraczki ze świstem zgarniały wodę z przedniej szyby.

- Chciałabym wiedzieć, czy jest gdzieś w pobliżu myjnia.

- Pewnie jest, ale niech pani jej nie szuka. Jeżeli chce mieć pani czysty samochód, wystarczy poprosić Michała Nowaka. Tylko niech pani się nie zraża jego zachowaniem.

Robi wrażenie mało komunikatywnego aroganta, który wszystko ma gdzieś, ale za jednego mieszka wyczyści pani wóz lepiej niż w myjni. Tak w ogóle to nie jest zły chłopak.

Podziękowałam za radę. Po chwili milczenia Robert znowu zapytał:

- Coś jeszcze pani chce wiedzieć? Może coś o samym pałacu? Powinna się pani skoncentrować na pałacu. Miejsce zbrodni w powieści kryminalnej jest bardzo ważne, tworzy klimat. Na okładce pani książki powinna znaleźć się fotografia pałacu. Czy pani już o tym myślała?

- Tak, myślałam o tym. Mam nadzieję, że wydawca też uzna, że to dobry pomysł na okładkę. Szkoda tylko, że pałac jest taki zniszczony.

- Niech się pani tym nie martwi. Po obróbce w Photoshopie pałac będzie wyglądał jak nowy.

- Nie chodziło mi o okładkę, tylko o pałac. Żałuję, że zabytkowy budynek tak niszczyje. Potrafię sobie wyobrazić, jak wyglądałby po remoncie, po renowacji wnętrza. Schody są piękne, we Francji widziałam podobne. To przecież dorobek naszej kultury, powinniśmy o niego dbać.

- Dorobek pruskiej kultury - poprawił mnie Robert.

- Pruskiej, nie pruskiej, to nieważne. My jesteśmy jej spadkobiercami, bo zamieszkujemy te tereny. Musimy dbać o to, co odziedziczyliśmy.

- Zgadzam się z panią w zupełności. Zamki są moją pasją. Interesuje mnie ich historia i obecny stan. Dzieje naszego pałacu też prześledziłem.

- Proszę, niech pan mi opowie o pałacu w Ponarach.

Może historia tego miejsca przyda mi się do książki.

Podmuch wiatru rzucił na szybę strumienie wody.

Przyhamowałam, bo ulewa ograniczyła widoczność do kilku metrów. Robert zaczął mówić:

- Nasz pałac już raz był miejscem zbrodni i to nie tak dawno, bo sześćdziesiąt pięć lat temu. W styczniu 1945 roku

do pałacu przybyli czerwonarmiści. Radziecki oficer zastrzelił ówczesną właścicielkę pałacu, Benitę von der Groeben. Najpierw jednak rozegrał z nią partię szachów. Podobno przegrał i tak go to rozwścieczyło, że własnoręcznie ją zastrzelił. Tej informacji nie znajdzie pani w żadnym archiwum, ja to wiem od mieszkańców Ponar i okolicznych miejscowości. Chodziłem od domu do domu i rozmawiałem z ludźmi. Wprawdzie wszyscy to ludność napływowa, nie znalazłem nikogo, kto mieszkałby tutaj w czasie wojny lub przed jej wybuchem, ale ci, którzy przyjeżdżali tutaj w 1946 roku i później, mieli jeszcze okazję usłyszeć tę historię od niemieckich mieszkańców. Podobno Niemcy chętnie opowiadali o okrucieństwie radzieckich żołnierzy. Zwykle przy tych opowieściach padało stwierdzenie, że żołnierz niemiecki taki nie był.

Deszcz dudnił o dach samochodu i zagłuszał słowa

Roberta. Nie dosłyszałam nazwiska, które padło w jego

opowieści, zapytałam więc:

- Jak się nazywała ta rodzina, do której należał pałac przed wojną?

— To byli von der Groebenowie, pruska arystokracja.

Fryderyk Groeben kupił pałac pod koniec siedemnastego wieku. Pałac liczył już wtedy ponad sto lat, bo został wzniesiony w szesnastym wieku przez niejakiego Schultza von Aschenrode. Ponary były własnością rodziny von der Groebenów do 1945 roku. W muzeum w Morągu można zobaczyć portrety Groebenów. Dzisiaj na ich podobizny nikt nie zwraca uwagi, większym zainteresowaniem cieszą się wizerunki Dohnów, bo obecna królowa Holandii jest potomkinią tej rodziny. Proszę zajrzeć do tego muzeum, warto. Jego siedzibą jest dawna rezydencja pałacowa Dohnów. Do nich

92

należał też zamek, który znajduje się tuż obok. Z tego zamku niewiele pozostało, ale do niego też warto zajść, bo można tam zobaczyć szesnastowieczne polichromie.

Gdy Robert umilkł, odezwałam się:

— A zatem zabójstwo Reznikowów nie jest pierwszą zbrodnią dokonaną w Ponarach.

Mój pasażer kiwnął potakująco głową i powiedział:

- Może nawet nie jest to druga zbrodnia. W ciągu dwustu pięćdziesięciu lat panowania Groebenów mogło dochodzić do najróżniejszych haniebnych czynów. Kto wie, może pałac jest przeklęty? Co kilka lat musi dochodzić w nim do jakiejś tragedii?

— Może pan jeszcze powie, że jakieś złe moce uwięzione w murach starego pałacu popychają zwyczajnych uczciwych ludzi do mordu.

- Słyszę ironię w pani głosie, ale większość morderców tłumaczy swój czyn właśnie wpływem jakichś sił zewnętrznych. Zabili, bo ktoś ich namówił, sprowokował, groził. Nie tylko sami zabójcy tłumaczą się w ten sposób. My, społeczeństwo usprawiedliwiamy ich podobnie. Za-uważała pani, że chętnie uznajemy, że zamordowany jest winien, a nie morderca? Tak było z moją mamą. Wszyscy stwierdzili, że sama była sobie winna. Wszyscy powtarzali, że nie powinna sama chodzić późnym wieczorem. Babcia, ciocia, sąsiadka mówiły, że nie powinna przechodzić przez skwerek, przecież każdy wie, że tam jest niebezpiecznie. Miałem wtedy dziesięć lat. Wszyscy wokół mówili mi, dlaczego moja mama nie żyje, a tym powodem było jej niewłaściwe zachowanie. Ona była winna, nie morderca. Gdy kolejna fala ulewnego deszczu uderzyła w przednią szybę, Robert ucichł. Wycieraczki nie nadały zbierać

93

wody. Zjechałam na pobocze, aby zrobić miejsce dla tira. Spod jego dużych kół chlusnęła błotnista woda. Włączyłam radio. Spiker poinformował, że policja zatrzymała dwu-

dziesięcioletnią kobietę, która udusiła swoje dwutygodniowe dziecko. Znowu przekręciłam gałkę, wyciszając dalszą część wiadomości. Pierwsza przerwałam milczenie:

— Joanna uważa, że to niejaki Major, uciekinier z aresztu w Morażu, zabił Reznikowów. Policja podobno podejrzewa lokatorów pałacu. A pan co o tym myśli?

— Nie sądzę, żeby to Wołodia dał schronienie Majorowi, już raczej podejrzewałbym o to Mariusza. Gdy zastanawiam się, kto mógł zabić Reznikowów, staram się racjonalnie myśleć, jest to jednak trudne. Ta zbrodnia bardzo źle na mnie wpłynęła. Mam wrażenie, że wróciła agresja, którą czułem trzynaście lat temu, po śmierci mamy. Wtedy rozwaląłem zabawki, rwałem zeszyty, kopałem psa, biłem dzieci w szkole. Dzisiaj, jak widzę kogoś z pałacu, mam ochotę uderzyć go, okładać pięściami, dusić, kopać. Każdy dla mnie jest podejrzanym, każdy jest mordercą, a ja chcę go zabić. Co dziwne, takie uczucia budzą we mnie również kobiety z pałacu, chociaż wiem, że kobieta nie dałaby rady zabić wielkiego Wołodii. Może podświadomie wyczuwam, że któraś z lokatorek w jakiś sposób maczała palce w tej zbrodni, może kryje swojego męża.

— Gdy pan racjonalnie analizuje całą tę sprawę, to kto pojawia się w kręgu najbardziej podejrzanych osób? - zapytałam.

Robert przyłożył dwa palce do skroni i przymknął oczy. Milczał. Już myślałam, że nie doczekam się odpowiedzi. Po chwili zaczął mówić, bardzo wolno. Miałam wrażenie, że zastanawia się nad każdym słowem.

94

- Sonia powiedziała mi kiedyś coś takiego, co dzisiaj może być bardzo ważne w wykryciu sprawcy. Szkoda, że jej wtedy nie pociągnąłem za język, może dowiedziałbym się czegoś więcej. Łaziła za mną, była natrętna, przymilała się, paplała najróżniejsze rzeczy. Raz powiedziała, że mi zdradzi wielką tajemnicę. Nie wykazałem zainteresowania. Byłem jej sąsiadem, a nie przyjacielem czy powiernikiem. Nieraz dawałem jej to do zrozumienia. Unikałem dwuznacznych sytuacji. Nie pozwalałem, aby opowiadała mi o swoich problemach czy tajemnicach, wtedy też nie pozwoliłem. Ona jednak wykrzyczała, że jej matka ma kochankę. W pierwszej chwili pomyślałem, że znowu chce skupić na sobie moją uwagę, ale zaraz dostrzegłem, że się cała trzęsie i ma łzy w oczach. Powiedziała, że kochankiem matki jest facet stąd, z pałacu. Spokojnie oznajmiłem Soni, że nie interesują mnie romanse sąsiadów. Odwróciła się i odeszła bez słowa. Szkoda, że nie zapytałem, kto to jest. Teraz muszę się domyślać. W dniu morderstwa Sonia czekała na mnie na dziedzińcu. SMS-ami nawoływała mnie, żebym wyszedł. Napisała, że chce mi coś ważnego powiedzieć. Nie poszedłem do niej. Nie chciałem dawać Joannie

powodu do zazdrości. Widziałem, jak bardzo drażnią ją SMS-y Soni.

Robert umilkł. Zwolniłam przed kolejną potężną kałużą. Słysząc było, jak opony przedzierają się przez kilkucentymetrową warstwę wody.

- Gdybym z innego źródła dowiedziała się, że Ludmiła miała kochanka, pomyślałabym, że to pan nim jest - powiedziałam.

- Joanna też by tak pomyślała, dlatego nie poinformowałam jej, że Ludmiła romansowała z kimś z pałacu.

95

Asia uważa, że wszystkie kobiety chcą mnie zdobyć, chcą mnie jej odebrać. Nigdy nie dałem jej powodu do zazdrości. Asia jest dla mnie kimś wyjątkowym, czuję się przy niej spokojny, bezpieczny. Przy niej demony przeszłości cichną. Daleki jestem od stwierdzenia, że ona zastępuje mi matkę, chociaż wielu moich znajomych tak właśnie uważa. Jeżeli chodzi o kochankę Ludmiły, to zastanawiałem się, kto to może być.

Robert zawiesił głos, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że teraz powie coś bardzo istotnego.

- Kogo pan typuje? - zapytałam, nie mogąc się doczekać dalszego ciągu wypowiedzi.

— W pałacu oprócz mnie mieszka jeszcze sześciu mężczyzn: Mariusz, Misiak, profesor Firlej, Grzesiek Nowak, Adam Kirage i Leszek Lasocki. Uważam, że Misiaka ze zrozumiałych względów można wyeliminować. A zatem na liście potencjalnych kochanków pozostaje pięciu facetów. Zakładam, że kochanek Ludmiły jest jednocześnie mordercą. Skreślałam więc z listy Leszka Lasockiego, bo to niezdara. Idąc ich zamordować, potknąłby się o własne nogi albo nawet o własny cień. Jest zbyt cherlawy, nie dałby rady zabić Wołodii, nawet gdyby działał w amoku. Każdy z czterech pozostałych mężczyzn mógłby być kochankiem i zabójcą jednocześnie. Intuicyjnie wykluczam Mariusza i profesora Firleja. Mariusz to nieskomplikowana kupa mięśni i nic więcej. Nie sądzę, żeby pani Reznikow się nim zainteresowała. Z kolei profesor ma niezwykle uroczą żonę, poza którą świata nie widzi. Pozostają więc Grzesiek Nowak i Adam Kirage. Nowakowie przyjaźnili się z Reznikowami. Podobno często tak bywa, że mąż albo żona zdradza współmałżonka z kimś z najbliższego kręgu, z przyjacie-

96

lem domu. Nowak pasowałby do takiego schematu, ale ja stawiam jednak na Adama Kiragę. Jest w sile wieku, sądzę, że nie ma więcej jak pięćdziesiąt lat. Wszyscy uważają go za dziwaka. Owszem, można mieć takie wrażenie, ale tak naprawdę to inteligentny facet. Wydaje mi się, że on należy do tego gatunku ludzi, którzy wiedzą i widzą więcej niż inni. Poza tym jest samotny, nie ma żony, dlatego znalazł sobie

kochankę. Joanna była raz u Adama, szukała wtedy Romla, kota pani Blumfeld. Zobaczyła u niego podwójne małżeńskie łóżce. Po co samotnemu mężczyźnie takie łóżko? Fakt, że mieszka sam, ułatwiał mu romansowanie z panią Reznikow. Grzesiek Nowak musiałby się z nią spotykać poza pałacem, w jakimś pensjonacie albo w lesie, a Kirage mógł przyjmować Ludmiłę u siebie. Wystarczyło przypilnować, żeby nikt nie zauważył, jak ona do niego wchodzi i od niego wychodzi. Adama widzę jako kochanka Ludmiły, ale trudniej mi go zobaczyć w roli mordercy. Często odtwarzam sobie wydarzenia z tamtej niedzieli, przewijam w głowie obraz leżących ciał i próbuję ustalić, jaki był przebieg tej zbrodni.

Wciąż jechaliśmy w żółtoszarych strugach deszczu. Byliśmy w połowie drogi do Ponar. Poprosiłam mojego pasażera, aby opowiedział mi o wydarzeniach sprzed dwóch miesięcy.

Relacja Roberta z mieszkania numer 1

W tamtą sobotę poszedłem pod prysznic krótko przed północą. Mamy łazienkę na korytarzu, dzielimy ją z Martą i jej córeczkami. Do pokoju wróciłem po kilkunastu minutach. Joanna już spała. Położyłem się obok niej i też

97

zasnąłem. Pamiętam, że jak wyszedłem z łazienki, to zobaczyłem Adę Firlej idącą do góry po schodach. Szła szybko. Było późno, nic dziwnego, że spieszyła się do siebie. Prawdopodobnie wracała od pani Blumfeld. Firlejowie często odwiedzają staruszkę, oprócz nich bywa u niej tylko moja Asia. Następnego dnia mieliśmy gości. Przyjechali znajomi Joanny. Pożegnaliśmy ich koło dwudziestej. Właśnie wtedy profesor znalazł ciała Reznikowów. Pani Blumfeld nam to zakomunikowała, gdy wchodziliśmy do pałacu. Gdy usłyszałem o morderstwie, coś we mnie wstąpiło, coś bardzo złego. Opętała mnie chęć mordy. Chciałem złapać zabójcę i rozszarpać go gołymi rękami. Biegłem po schodach najszybciej, jak mogłem. W ciemnym korytarzu zobaczyłem jakąś sylwetkę. Wydało mi się, że ten ktoś przede mną ucieka. Myślałem, że to zabójca. Kto wie, może intuicja mnie wtedy nie zawiodła, bo był to Adam Kirage. Zaalarmowany krzykiem pani Blumfeld też biegł do Reznikowów. Ze swojego mieszkania wyszedł Grzesiek Nowak. On pierwszy wszedł do pokoju Reznikowów, za nim Adam, a potem ja. Wszyscy musieliśmy minąć Leszka Lasockiego, który trzymając się drzwi, chwiał się, jakby był pijany. Widok zakrwawionych zwłok Wołodii podziałał na mnie jak uderzenie młotkiem. Poczulem silny ból. To nie był ból głowy czy serca, zaboląło mnie całe ciało, całe wnętrze, od rdzenia kręgowego po zakamarki psychiki. Straciłem cały impet. Już nie chciałem mordować, rozszarpać, mścić się. Gdyby wtedy postawiono przede mną

zabójcę, prawdopodobnie bym się rozplakał. Do równowagi doprowadził mnie stanowczy głos profesora. Kazał nam wyjść. Gdy opuściliśmy pokój, wydał kolejne polecenie. Miałem zadzwonić na policję. Wybrałem numer 112, 98

poinformowałem o morderstwie, podałem adres i swoje nazwisko. Czułem, że kontroluję sytuację, że robię to, co należy. Uznałem, że powinienem poczekać na przyjazd policji. Stałem z Adamem Kiragą i Grześkiem Nowakiem pod drzwiami Reznikowów. Nowak był bardzo zdenerwowany, w kółko powtarzał, że oni nie żyją. Nie mówił tego do nas, lecz do siebie, jakby nie dowierzał, że to prawda, i musiał werbalnie sam siebie przekonywać. Adam milczał, był spokojny. Teraz ten jego spokój wydaje mi się bardzo podejrzany, wręcz nienaturalny. Pamiętam, że zobaczyłem pod drzwiami Reznikowów wymiociny. Zapytałem, czyje to. Nowak odpowiedział, że Leszek się zrzygał. Potem przyszła do nas Joanna. Nic nie mówiła, o nic nie zapytała. Powiedziałem, żeby wróciła do mieszkania, ale ona została. Byłem jej za to wdzięczny, przy niej potrafię kontrolować swoje złe emocje. Na kilka minut przed przyjazdem policji Kirage poszedł na dziedziniec. Powiedział, że tam będzie na nich czekał. Gdy zobaczyłem ludzi w mundurach idących korytarzem, poczułem ulgę. W końcu mogliśmy wrócić do siebie. Adam został z policjantami. Pamiętam, że coś im tłumaczył. Pół godziny później, gdy szedłem do łazienki, zobaczyłem, jak z dwoma policjantami schodzi z góry. Rozmawiał z nimi. Był w centrum wydarzeń, nie wycofał się jak wszyscy inni. Dzisiaj uważam, że to też jest podejrzane.

Tylko przez chwilę byłem w mieszkaniu Reznikowów, zaledwie kilkanaście sekund. To trochę za mało, żeby się przyjrzeć i dostrzec szczegóły. Mam jednak wrażenie, że zobaczyłem wszystko. Moje oko zarejestrowało obrazy, a mózg je zapisał w pamięci. Po wielu godzinach, nawet po kilku dniach zacząłem przyglądać się tym obrazom. Do 99

tego, co zobaczyłem, próbuję dopasować przebieg zbrodni. Ludmiła musiała zginąć pierwsza, bo była czysta, nie była wybrudzona krwią męża. Miała jedynie ciemne plamy na ramionach, ale to profesor tam je pozostawił, gdy wyciągał ją spod łóżka. Pani Reznikow została uduszona. Na jej szyi widoczne były siniaki, tylko siniaki, żadnych śladów krwi. Ręce mordercy były więc czyste, gdy ją dusił. Cały musiał być czysty. Ludmiła zapewne łapała go za przedramiona, za ubranie, żeby zwolnić uścisk na swoim gardle. Gdyby był zakrwawiony, miałyby brudne dłonie, a jej dłonie były czyste. Gdzie był Wołodia, gdy jego żona ginęła? Odpowiedź jest prosta. Był w łazience, brał prysznic. Wskazuje na to fakt, że był nago. A zatem zabójca najpierw udusił



Ludmiłę i schował ją pod łóżko. Nie wiem, dlaczego akurat tam ją ukrył. Pani Reznikow miała na sobie koszulę nocną, wersalka była posłana, mógł ją położyć pod kołdrę i przykryć. Wołodia, wychodząc z łazienki, zobaczyłby śpiącą żonę. Morderca mógł też położyć ją na metalowym łóżku Soni i zasunąć kotarę. Dlaczego tego nie zrobił? Nie wiem. Jedno jest pewne, zabójca nie chciał, żeby Reznikow po wyjściu z łazienki zobaczył ciało żony, dlatego ukrył ją pod łóżkiem.

Zabicie Wołodii było trudniejsze, bo to wielki i silny facet. Nawet nóż nie gwarantował przewagi, potrzebne było jeszcze zaskoczenie. Obrażenia na ciele Reznikowa wskazują, że morderca działał właśnie z zaskoczenia. Wołodia dostał kilka ciosów nożem w plecy, dwa uderzenia w przedramię i jedno w pachwinę. Te szczegóły znamy z mediów. Myślę, że zamachowiec stanął za drzwiami łazienki, opierając się o szczyt meblościanki. Ta kryjówka była dobra, bo mógł od razu uderzyć. Atak z każdego innego miejsca

100  
zająłby mu dodatkowe dwie, trzy sekundy. Stanął więc za drzwiami, Reznikow je otworzył i wyszedł. Nie zdążył ich za sobą zamknąć, bo dostał pierwszy cios w plecy. Ten cios pchnął go do przodu, wtedy zabójca mógł uderzyć po raz drugi, a nawet trzeci. Te uderzenia nie powaliły Reznikowa. Odwrócił się i zobaczył twarz mordercy, chyba że ten miał maskę. Zabójca zaatakował z przodu. Wołodia zasłaniał się ręką, może próbował odebrać napastnikowi nóż, wtedy dostał dwa ciosy w przedramię, kolejne uderzenie w pachwinę. Przed następnymi atakami próbował uciekać. Cofał się, dlatego krew była też na zlewie, kuchence i meblach. W panice miotał się po całym pokoju, aż w końcu padł martwy przed otwartymi drzwiami do łazienki. Jego głowa i klatka piersiowa leżały na kafelkach, pozostała część ciała znajdowała się w pokoju.

Przy takim przebiegu zbrodni pojawiają się pytania.

A mianowicie, skąd morderca wiedział, kiedy może wejść do mieszkania Reznikowów? Skąd wiedział, że Wołodia akurat bierze prysznic? Czy ten mord był kwestią przy-padku? Może Kirage zapukał do ich mieszkania z nadzieją, że uda mu się wywabić panią Reznikow na szybki numer. Otworzyła mu drzwi. Widząc, że jest sama, zażądał, żeby poszła z nim do jego pokoju. Powiedziała mu, że ma go dosyć, że jest kiepskim kochankiem, że z nim zrywa.

W szale złapał ją za szyję i udusił. Zorientował się, że Wołodia jest w łazience. Mógł zostawić martwą Ludmiłę i uciec, ale, no właśnie, czy mógł po prostu wyjść? Zapewne pani Reznikow powiedziała mu, że Sonia o nich wie. Córka po śmierci matki wskazałaby na niego jako na potencjalnego zabójcę. Musiał więc uciszyć również ją. Szybko podjął decyzję o tym, żeby zabić również Wołodię. Schował

Ludmiłę pod łóżko. W szafce kuchennej znalazł mocny ostry nóż i przyczaił się za drzwiami łazienki. Po zabiciu Wołodii miał do wyboru — czekać na Sonię w mieszkaniu albo przed pałacem. Zdecydował się na tę drugą opcję. Musiał najpierw wrócić do siebie i się umyć, cały był przecież we krwi. Policja szukała mikrośladów na korytarzu. No, ale my wszyscy roznosiliśmy krew po pałacu. Ja, profesor Firlej, Grzesiek Nowak i Adam Kirage mieliśmy ją na podszwach, bo weszliśmy do mieszkania Reznikowów.

A zatem Adam Kirage po morderstwie wrócił do siebie, umył się i zmienił ubranie. Prawdopodobnie się spieszył, bo w każdej chwili mogła wrócić Sonia. Mieszkanie Reznikowów zamknął na klucz, ale przecież ona mogła mieć swój komplet kluczy. Niezauważony wyszedł z pałacu i czekał na nią blisko bramy. No i się doczekał. Uważam, że w takiej sytuacji zabicie córki Reznikowów to był niemal akt łaski. Lepiej, że zginęła, niż gdyby miała żyć z tak potwornym cierpieniem. Mam nadzieję, że zabił ją szybko. Ciało ukrył w lesie. Ukrył je bardzo dobrze, skoro jeszcze go nie odnaleziono. W tym wszystkim dziwny jest fakt, że policja nie trafiła na ślad mordercy po odciskach palców. Przecież musiał je zostawić na szyi Ludmiły. Czyżby miał rękawiczki? Jeżeli je miał, to znaczy, że zaplanował z góry potrójne morderstwo. Ale po co? Czy powodem mogła być chorobliwa zazdrość o panią Reznikow? Jeżeli zaplanował zabójstwo, to Soni mógł pozbyć się już parę godzin wcześniej. Przy zaplanowanym morderstwie wracamy do pierwszego pytania: skąd wiedział, że Wołodia akurat bierze prysznic?

## Rozdział IX

Ojca zastałam jak zwykle w gabinecie. Coś pisał.

Ołówek w jego palcach szybko sunął po papierze. Zawsze pisał ołówkiem. Kiedyś z mamą kupowałyśmy mu z okazji urodzin czy imienin markowe pióra, eleganckie długopisy. Chował je do szuflady i dalej pisał ołówkiem. Parę lat temu postawiłam mu na biurku laptopa i próbowałam przekonać do Worda. Słuchał mnie cierpliwie przez godzinę, następnie oznajmił, że komputer różni się od ołówka i papieru tylko tym, że jest trudniejszy w obsłudze. Chcąc mu udowodnić, że nie ma racji, wycięłam fragment tekstu i wkleiłam w innym miejscu. Patrzyłam na niego z niemym pytaniem w oczach: „I co teraz powiesz?”.

Podrapał się w brodę i oznajmił:

— Ale po co przenosić czy przepisywać kawałek tekstu?

Nie lepiej napisać go od razu w odpowiednim miejscu?

Nie próbowałam go więcej przekonywać. Właściwie to on mnie przekonał, że komputer nie jest mu potrzebny. Przecież nigdy nie kreślił, nigdy nie przepisywał, nie robił błędów ortograficznych, to po co mu Word.

— Tato, mam dla ciebie prezent — powiedziałam.

103

Oderwał rękę od papieru i spojrzał na mnie. Wyjęłam z koperty książkę i podałam mu. Rozpromienił się.

- O teatrze romantycznym! Zaraz będę czytał.

Miło było patrzeć na jego radość.

- Kochanie, ostatnio przytrafiło mi się coś dziwnego

- rzekł, kartkując książkę. - Wszedłem do kuchni, a tam krzątała się jakaś kobieta, jakby była u siebie. Kazałem jej wyjść, a ona nic, dalej mieszała w garnku. Wiesz, jakie to dziwne, zobaczyć obcą osobę we własnym domu?

- Tato, to jest twoja gosposia, pani Genia. Przychodzi do ciebie od roku.

- Córeczko, po co? Przecież wiesz, że Zosia nie lubi, jak ktoś jej się wtrąca do gotowania.

Pochyliłam się nad papierami ojca. Cała strona była zapisana równym pismem, bez żadnego skreślenia. Przeczytałam pierwsze zdanie:

„W wizerunek towarzyszyki Eoliona wpisane są reminiscencje pornickie, bo jest ona podobna do tej wiejskiej dziewczynki, którą Słowacki spotkał nad oceanem i w której pastuszym ciele odnalazł królewskiego ducha”.

Jak to możliwe, że ojciec pisze tak piękne, logiczne zdania i jednocześnie nie wie, co się dzieje w jego najbliższym otoczeniu?

Zajrzałam do sypialni. Spodziewałam się ujrzeć na fotelu stertę wypranych ubrań, fotel był jednak pusty. To mi przypomniało, że miałam zadzwonić do pani Geni i podziękować jej za te dodatkowe prace domowe, które wykonywała z własnej inicjatywy. Wyjęłam z torebki komórkę i wybrałam jej numer. Słyszając mój głos, od razu zapytała:

- Pani Alu, czy jakiś problem? Czy mam pojechać do pana profesora i sprawdzić, co z nim?

104

- Nie, pani Geniu. Z tatą wszystko dobrze, właśnie jestem u niego. Dzwonię do pani, żeby podziękować za to prasowanie. - Kobieta milczała, mówiłam więc dalej: - To miło z pani strony, że wyprasowała pani ubrania taty. Ja tu wpadam na dwie, trzy godziny i nie wiem, w co mam ręce włożyć. No i chcę też trochę z tatą posiedzieć i porozmawiać. Dlatego bardzo dziękuję za tę pomoc.

W słuchawce nadal panowała cisza. W końcu gosposia chrząknęła i odezwała się niepewnym głosem:

- Pani Alu, ja nie wiem, o czym pani mówi. To nie ja wyprasowałam ubrania pana profesora.

- A kto? - zapytałam zaskoczona.

- Nie mam pojęcia. Myślałam, że pani. Gdy jestem u pana profesora, to zawsze oblecę cały dom, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Widziałam pranie leżące na fotelu, na drugi dzień go nie było. Pomyślałam, że pani

wpadła i poprasowała.

- Pani Geniu, czy pani kogoś widziała u mojego ojca?

- Nie, nikogo.

Zakończyłam rozmowę i poszłam do gabinetu. Tata czytał książkę, którą mu przywiozłam.

- Tato, kto wyprasował twoje koszule? - zapytałam.

- Zosia - odpowiedział, nie podnosząc głowy znad książki.

Podeszłam bliżej. Miałam ochotę wykrzyknąć, że mama nie żyje. Nie zrobiłam jednak tego, bo wiedziałam, że tymi słowami sprawiłabym wielkie cierpienie jemu i sobie. Rozplakałabym się na widok jego zdziwionej i zbolalej twarzy.

- Tato, czy ktoś cię odwiedza, czy ktoś tu bywa? - zapytałam.

105

- Nie, kochanie, teraz nikt u nas nie bywa, oprócz ciebie, Pawła i Weroniki.

Ta rozmowa była ponad moje siły. Wyszłam z gabinetu i poczłapałam na piętro do mojego dawnego pokoju. Położyłam się na wersalce i patrzyłam w brudny sufit. Chciałam nie myśleć, nie czuć, nie pamiętać, ale mózgu nie da się wyłączyć, on nie ma wtyczki, którą można byłoby wyciągnąć w dowolnej chwili. Zwinęłam się w kłębek i zaczęłam płakać. Wypłakiwałam swoją tęsknotę za dwiema najukochańszymi istotami, których już nie było obok mnie, których nigdy nie będę mogła przytulić. Podniosłam się. Bolało mnie wszystko, każdy mięsień. Miałam wrażenie, że nawet włosy na głowie mnie bolą. Otworzyłam okno i mocno wychyliłam się przez nie. Zimne powietrze przynosiło mi ulgę. Gdy porządnie zmarzłam, schowałam się do pokoju. Mój wzrok przesunął się po albumach leżących w wiklinowym koszu. Wyjęłam czerwony album mojej córki. Dwa lata temu dostała go ode mnie na ósme urodziny. Otworzyłam go i zamarłam. Nie mogłam złapać powietrza, jakby ktoś ścisnął mnie za gardło. W albumie nie było zdjęć. Zaczęłam go pospiesznie kartkować. Nigdzie ani jednej fotografii. Ręce mi się trzęsły. Wzięłam drugi album, ze słonecznikami na okładce. To był nasz wspólny rodzinny album. Wkładałam do niego fotki z wakacji, świąt, urodzin. Otworzyłam go i zobaczyłam dwa zdjęcia, na pierwszym ja z Pawłem na żaglach, na drugim Paweł z moim ojcem na ławce przed domem. Przerzucałam kolejne strony, w niektórych miejscach brakowało zdjęć. Nie było ani jednej fotki z pobytu w Pradze. Dotarło do mnie, że ktoś usunął zdjęcia, na których była Weronika. Domyślałam się, kto mógł to zrobić. Wrzuciłam albumy z powro-

106

tem do wiklinowego koszyka i zbiegłam na dół. Znalazłam tatę w kuchni, dreptał wokół stołu, jakby nie wiedział, po

co tutaj przyszedł.

- Córeczko, napijemy się herbaty? — zapytał.

- Zaraz zrobię — powiedziałam.

- Usiądź, kochanie, ja przygotuję.

Wyjął z szafki trzy filiżanki, do każdej nasypał odrobinę herbaty Madras. Nalał wody do czajnika i podpalił gaz. Wszystkie czynności wykonywał zręcznie i dość pewnie. Całkiem normalny starszy pan, gdyby tylko nie ten zgrzyt w postaci trzech filiżanek.

Chciałam zapytać ojca, czy odwiedza go Paweł. Z pewnością odparłby, że tak, odwiedza go wraz z Weroniką. Bałam się takiej odpowiedzi. Wyjęłam z kieszeni komórkę i napisałam SMS-a do męża: „Oddaj mi zdjęcia mojej córki”.

Odpisał natychmiast: „Spaliłem je”.

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego ten człowiek tak mnie rani. Czy jest mu źlej, gdy sprawia mi ból? Dlaczego nie potrafimy wspierać się w cierpieniu? Z zamyślenia wywrwał mnie gwizd czajnika.

- Kochanie, jesteś smutna — zauważył ojciec.

- Nie, tato, zdaje ci się.

- Może trochę poczytamy — zaproponował.

- To dobry pomysł - powiedziałam.

Ustawiłam na tacy dwie filiżanki i ruszyłam za nim do gabinetu. Trzecia filiżanka pozostała na stole kuchennym.

## Rozdział X

Ewa Nowak miała wołowinę. Do miski ciężko spływały sinoczerwone wężyki mięsa. Od piekarnika było ciepło pełne słodkiego zapachu. Po ogryzkach i obierkach leżących w małym wiaderku domyśliłam się, jakie ciasto się piecze.

- Robisz jabłecznik? - zapytałam.

Ewa uśmiechnęła się, przedramieniem wytarła pot z czoła i powiedziała:

- Wolę mówić, że to szarlotka. Jabłecznik to staropolska nazwa wina z jabłek.

- Dużo wiesz o gotowaniu — oznajmiłam.

- Trochę wiem. Od kilku lat myślę o napisaniu książki kucharskiej. Parę razy już się za to zabierałam, ale szybko rezygnowałam, bo zawsze dochodzę do wniosku, że już wszystko zostało napisane.

Dwoma palcami chwyciła trochę zmielonego mięsa i włożyła sobie do ust. Przeżuwała powoli, smakując. Chyba zadowolili ją gęstość, lepkość i smak, bo z uśmiechem odstawiła miskę.

- Zrobię ci kawę — zaproponowała.

108

- Dziękuję, już dzisiaj piłam. Właściwie przyszedłam do twojego syna, Michała.

- Coś przeszkrobał?

Ciało Ewy znieruchomiało. Nawet ścierka w jej dłoniach zastygła. Patrzyła na mnie wyczekująco. Widać było, że jest bardzo zaniepokojona.

Uspokoiliam ją, mówiąc:

- Chciałam go poprosić, żeby umył mi samochód.

Z wyraźną ulgą wypuściła powietrze z płuc. Do mieszkania wpadła Madzia. Ewa podała jej wiaderko z pozostałościami po jabłkach i poleciła:

- Zanieś to ptakom i zawołaj Mchała.

Dziewczynka, powłócząc nogami, szła w stronę drzwi.

Wychodząc, powiedziała:

- Mchał nie będzie chciał przyjść.

Ewa zawołała za nią:

- Powiedz mu, że pani Alicja ma dla niego robotę.

- Potem zwróciła się do mnie: - To dobrze, że chcesz, aby umył ci samochód. Ten chłopak musi mieć jakieś zajęcie.

Od czasu morderstwa zrobił się taki nieznośny, nerwowy, a nawet agresywny. Nie radzę sobie z nim. Grzesiek uważa, że przesadzam, ale ja jestem pewna, że z naszym synem dzieje się coś złego. Wyobraź sobie, że przestał wysiadywać przed komputerem. Wagaruje, całymi godzinami gdzieś się włóczy.

Patrzyłam na nieumalowane, lekko spuchnięte oczy mojej rozmówczynie. Dzisiaj wyglądała gorzej niż podczas mojej pierwszej wizyty, jakby przybyło jej lat i zmartwień.

- A może on coś wie o tym morderstwie, dlatego zrobił się taki nerwowy? — zasugerowałam.

109

Ewa znowu zastygła. W chwilach napięcia reagowała zupełnie inaczej niż jej mąż. Jemu drgały wszystkie mięśnie twarzy, ona zamierała niczym figura woskowa w muzeum Madame Tussaud. Po chwili zupełnego bezruchu poruszyła ustami i językiem, zadając szeptem pytanie:

- Co masz na myśli?

- Może tamtego wieczoru coś słyszał, jakiś krzyk, hałas. Nie zareagował i teraz dręczą go wyrzuty sumienia.

Ciało pani Nowak znowu ożyło. Jej ramiona uniosły się do góry w geście zdziwienia lub niedowierzania. Okrągłe biodra zafalowały, nozdrza poruszały się, jakby próbowała znaleźć odpowiednią woń. Potem gwałtownie pokręciła przecząco głową i powiedziała:

- Nie mógł nic słyszeć, bo miał słuchawki na uszach.

On nawet śpi z tymi cholernym słuchawkami. Poza tym, gdyby coś słyszał, to na pewno by tego nie ukrywał. Przecież dobrze wie, jak ważna jest każda informacja w wykryciu sprawcy.

Obie drgnęłyśmy na odgłos otwieranych drzwi. Do mieszkania wszedł Michał. Mruknął: „Dzień dobry” i stanął półtora metra od nas. Kiwał się w przód i w tył.

Z jego uszu zwisały srebrzyste cienkie kabelki, które łączyły się na wysokości piersi i wspólnie biegły do lewej kieszeni spodni. Nie patrzył na mnie ani na swoją matkę.

- Pani Ala chce, abys umył jej samochód! — zawołała Ewa.

Miałam ochotę wyrwać mu te słuchawki z uszu.

Uśmiechnęłam się jednak i podniesionym głosem zapytałam:

- Czy mógłbyś umyć moją toyotę. Zapłacę 10 złotych.

Czy to wystarczy?

- Wystarczy - odpowiedziała szybko Ewa.

110

Michał wciąż się kiwał, stojąc w lekkim rozkroku.

Wzrok wlepił w ścianę. Nie byłam pewna, czy mnie słyszał. Nagle zapytał:

— Co dziś na obiad?

- Pulpety wołowe w sosie pomidorowym - odpowiedziała mu matka.

Chłopak wyciągnął rękę w moją stronę i rzucił:

- Kluczyki.

Miał duże męskie dłonie, które kontrastowały z chłopięcą twarzą. Wychodząc, spojrzął po raz pierwszy na mnie i zapytał:

- Mam odkurzyć samochód w środku?

Poczułam, że złapałam z nim kontakt. Uśmiechając się, odparłam, że nie trzeba odkurzać.

Ewa nie pozwoliła mi wrócić do siebie. Wyciągnęła z szafki butelkę z ciemnego szkła i dwie szklanki. Nalewając ciemnozłocisty płyn, wyjaśniła:

— To jest właśnie jabłecznik. Prawdziwy jabłecznik, bez cukru, tylko same jabłka i drożdże.

Upiłam trochę i przytrzymałam wino w ustach, delektując się jego słodko-kwaśnym smakiem. Pół godziny później opuściłam mieszkanie państwa Nowaków i udałam się na dziedziniec. Przed drzwiami frontowymi przewalały się ogryzki i obierki po jabłkach. Jasne było dla mnie, że w tym miejscu Madzia opróżniła wiaderko. Moja toyota stała pod murem. Michał właśnie montował wycieraczki.

Zbliżyłam się do niego i zapytałam:

— Dlaczego nie trzymacie samochodów na dziedzińcu?

Tutaj byłyby bezpieczniejsze.

Widziałam, że wciąż ma słuchawki w uszach, nie podniosłam jednak głosu. Chciałam, żeby to on dostosował się

111

do mojego sposobu komunikacji. Udało mi się osiągnąć cel, młody człowiek wyciągnął z kieszeni odtwarzacz mp3 i wyłączył muzykę. Następnie powiedział:

- Ta stara spod dwójki nie pozwala trzymać tutaj samochodów. Wszyscy mieli w dupie jej gadanie, ale któregoś dnia porysowała każdą karoserię gwoździem. Od tamtej pory trzymamy fury przed bramą.

- Tata daje ci czasami pojeździć, bo nie wątpię, że umiesz? — pytałam dalej.

- Umieć prowadzić i to lepiej niż ojciec. W ostatnie wakacje merolem kumpla pojechałem do Kętrzyna. Rodzice oczywiście o tym nie wiedzą. Tata pozwala mi jedynie pojeździć swoim fordziakiem po drogach leśnych i w dodatku siedzi obok. To nie jest jazda. Jazda jest wtedy, kiedy na liczniku jest przynajmniej złoty dwadzieścia.

- Sonia też umiała prowadzić?

- Nie wiem — odpowiedział krótko.

- Nie rozmawialiście nigdy o samochodach?

Michał wydawał się nie słyszeć tego pytania. Wylał wodę z wiadra i włożył do niego gąbkę.

- Jak myślisz, co się z nią stało? — dalej drażylałam temat.

Spojrzał mi prosto w oczy i odparł:

- Ja nic nie myślę. Ja nic nie wiem.

Jego chłopięcą twarz wykrzywił grymas. Miałam wrażenie, że powstrzymuje się od płaczu. Odwrócił się do mnie plecami. Po kilku sekundach cicho zapytał:

- Odstawi pani samochód przed bramę czy ja mam to zrobić?

Pozwoliłam mu usiąść za kierownicą, sama zajęłam miejsce obok. Sprawnie zakręcił i wyjechał z dziedzińca.

112

- Może się przejeździemy, niekoniecznie po leśnych drogach - zaproponowałam.

Nie dał się skusić. Dobrze wiedział, że przejażdżka nie będzie za darmo, że będę domagać się odpowiedzi na pytania o Sonię i morderstwo. Wyjęłam dwadzieścia złotych i podałam mu.

- Nie mam wydać - powiedział.

- Dobrze się spisałeś, należy ci się dwudziestka.

- To za dużo, za dwa mieszki umyliby pani samochód w profesjonalnej myjni i jeszcze odkurzyliby w środku.

- W takim razie chodźmy do twojej mamy, może będzie miała wydać.

Ruszyliśmy do pałacu. Michał włożył do uszu słuchawki i odgrodził się ode mnie głośnie muzyką.

Ewa stała przy stole i lepiła pulpety. Wyjaśniłam, z jaką sprawą przychodzę. Nabrała powietrza w płuca i krzyknęła do syna:

- Mój portfel leży na lodówce.

Wyjął kilka monet i położył mi na dłoń. Podałam mu dwudziestozłotowy banknot wraz z moją wizytówką, na której oprócz imienia i nazwiska znajdował się adres e-mail. Miałam nadzieję, że do mnie napisze i podzieli się ze mną swoją wiedzą. Byłam pewna, że coś wie i nie jest mu z tym lekko. Wróciłam do mieszkania i włączyłam komputer. Czekając na wiadomość od Michała, przeglądałam zdjęcia Soni



na Naszej Klasie. Patrząc na jej zwyczajną, trochę zbyt okrągłą twarz, zastanawiałam się, czy syn Nowaków mógł się w niej podkochać. Bez makijażu, z krótkimi włosami i w ogrodniczkach nie wyglądała na nastoletnią uwodzicielkę. Różniła się od tych wszystkich lolitek upozowanych na dojrzałe kobiety. Tylko jedno zdjęcie pokazywało inną

113  
Sonię. Stała na pomoście, w dwuczęściowym stroju kąpielowym. Miała muskularne nogi i ramiona, jakby była młodą sportsmenką. Uśmiechała się, patrząc wprost w obiektyw. I w jej twarzy nie było dziewczęcej skromności. Wyglądała na kobietę pewną swej urody i fizycznej siły. Na jednym ze zdjęć Sonię towarzyszyła matka. Obie siedziały na dużych kamieniach nad jeziorem. Ludmiła z rozpuszczonymi czarnymi włosami, oryginalnymi rysami twarzy i niezwykle kobiecą figurą wydawała się dominować nad zwyczajną urodą córki.

Po trzech godzinach oczekiwania przyszedł e-mail od Michała. W temacie widniało słowo: „Sonia” i trzy wykrzykniki. Uśmiechnęłam się z satysfakcją. Najechałam kursorem myszki na wiadomość i kliknęłam. Po dwóch sekundach zobaczyłam treść e-maila. Tylko trzy słowa: „Sonia to dziwka”. Postanowiłam rozdrażnić Michała, sprowokować go do spontanicznej wypowiedzi, odpisałam więc: „Czy nazywasz Sonię dziwką tylko dlatego, że zainteresowała się przystojnym Robertem, a nie Tobą?”.

Drgnęłam, gdy ktoś mocno kopnął w drzwi. Zanim je otworzyłam, zawahałam się. Może moje śledztwo zaczęło komuś przeszkadzać? Może ktoś chciałby się mnie pozbyć? Przekręciłam klucz i nacisnęłam klamkę. Za drzwiami nikogo nie było. Wyszłam na korytarz. Trzy, cztery metry dalej jakaś niewielka postać usiłowała schować się za zdemontowane części kanapy. Ruszyłam w jej stronę. Ten ktoś, przewracając szczotkę na długim kijku, wyskoczył zza mebla i umknął w korytarz na lewo. Nie miałam wątpliwości, to było dziecko. Poszłam za nim. Z początku myślałam, że to Wojtuś, najmłodszy syn Nowaków, ale ten chłopiec był większy. Przyspieszyłam. Dzieciak biegł przede mną.

114  
Zatrzymał się na wysokości schodów i przewiesił swoje ciało przez barierkę. Jego nogi wisały w powietrzu, głowa i ręce zwisały nad kilkumetrową przepaścią. Stałam obok chłopca. Miałam ochotę złapać go za spodnie i ściągnąć z poręczy. Czekałam jednak cierpliwie, aż przestanie się popisywać. Jeszcze chwilę pomachał nogami, potem zeskończył na podłogę. Domyśliłam się, że mam naprzeciwko siebie małego Misiaka.

- Czy to ty pukalesz nogą do moich drzwi? - zapytałam.

Chłopiec, patrząc na mnie, robił głupie miny. Miał

przydługie przetłuszczone włosy i za duże spodnie.

- Czy chciałbyś zobaczyć moje mieszkanie? - pytałam dalej.

- Ja widziałem pani mieszkanie, bo byłem kiedyś u Soni. Dała mi pograć na swoim komputerze.

— Lubieś Sonię?

— Sonia to kurwa — odpowiedział.

Tonem głosu dał mi do zrozumienia, że nie przepadał za nią.

— Masz na myśli, że Sonia była dziewczyną, i dlatego jej nie lubieś?

— Sonia jest kurwą, tak mówi moja mama.

Chłopiec odwrócił się i biegnąc korytarzem, wołał:

- Mamo, a ta pani nie wierzy, że Sonia jest kurwą.

Ruszyłam za nim. Nagle skręcił i znikł mi z oczu. Stałam w drzwiach mieszkania numer 5. Misiakowa siedziała na krześle pośrodku pokoju. Między jej szeroko rozstawionymi nogami stał wysoki wór wypełniony szmatami. Trzymała w ręku dziecięcą kurteczkę i olbrzymimi nożyczkami obcinała guziki.

115

- Mamo, powiedz tej pani, że Sonia jest kurwą- nalegał chłopiec.

Misiakowa, nie odrywając wzroku od ubranka, wychrypiała:

— Każda tutaj to kurwa, a Sonia największa, bo gziła się ze starym facetem. Sama widziałam.

— Z kim pani widziała Sonię? — zapytałam, wchodząc do mieszkania.

Misiakowa zaskoczona moją obecnością zerwała się, przewracając worek. Sunęła ku mnie z wyciągniętą do przodu głową i nożyczkami wymierzonymi w moją pierś. Przypominała mi jaszczurkę. Stała metr przede mną i wysyczała:

— Czego tu przyszła?

— Proszę mi powiedzieć, z kim pani widziała Sonię.

Czy z Robertem?

Na podłodze leżała sterta brudnej pościeli, z której unosił się kwaśny odór moczu. Zemdlilo mnie. Misiakowa zbliżyła się jeszcze o krok. Cofnąłam się. Znowu wysyczała:

- Na mnie gadają, a one wszystkie nie lepsze, wszystkie to kurwy.

Do mieszkania wszedł Misiak. Rozdrażnił go mój widok.

— Przyszła szpiegować! — krzyknął.

- Chciałam porozmawiać z pana żoną- wyjaśniłam.

- Won mi stąd! - wrzasnął.

Nie miałam zamiaru sprzeciwiać się jego woli.

Chciałam jak najszybciej opuścić mieszkanie, ale Misiak wciąż stał w drzwiach, tarasując wyjście.

- Mógłby się pan odsunąć? Chciałabym wyjść - powiedziałam.

116

Doskoczył do mnie z wyciągniętymi pięściami. Skuliłam się, zasłaniając twarz przedramieniem. Gdy się odezwał, owionął mnie potworny smród przetrawionego alkoholu i zepsutych zębów.

- Pomogę ci wyjść.

Szarpnął mnie w stronę drzwi i wypchnął na korytarz.

Leciałam bezwładnie jak szmaciana lalka, nawet nie zdążyłam wyciągnąć przed siebie ręk. Uderzyłam głową w jakieś metalowe rurki. Stałam zamroczona. Fala gorąca rozchodziła się po moim ciele. Gdzieś w oddali usłyszałam głos Adama Kiragi:

- Rysiu, jak ty traktujesz kobiety?

Misiak odezwał się za moimi plecami:

- Przyszła, kurwa, szpiegować i buntować moją żonę.

- Głos Misiaka przeszedł w płaczliwy, zawodzący ton:

- Adaś, tylko ty jeden jesteś porządny w tym domu. Chodź, napijemy się.

- Rysiu, zaraz do ciebie przyjdę, tylko udzielę tej pani pierwszej pomocy.

Nie opierałam się, gdy Adam Kirage prowadził mnie do swojego mieszkania. Siedząc już na krześle, podniosłam obie dłonie do twarzy. Czułam ból od czoła po górną szczękę. Wargi miałam zdrętwiałe jak po zastrzyku u stomatologa.

- Leci pani krew z nosa. Zaraz zmoczę ręcznik i dam pani do wytarcia.

Gdy wyjmowałam czysty ręcznik z szafy, podeszłam do zlewu w rogu pokoju, odkręciłam kran, umyłam ręce i twarz. Zimna woda przyniosła mi ulgę. Mogłam ruszać ustami, mogłam mówić. Chciałam z powrotem usiąść na krześle, ale w ostatniej chwili zmieniłam zdanie i usado-

117

wiłam się na podwójnym łożu. Adam stanął przede mną i złapał mnie dwoma palcami za nos. Odchyliłam głowę.

— Niech się pani nie boi. Sprawdzam, czy nie jest złamany. Dobrze, że nie rozcięła sobie pani skóry na twarzy.

Gdy puścił mój nos, powiedziałam:

— Chyba Misiak mnie nie polubił, nie martwi mnie to jednak. Nie chciałabym, żeby cokolwiek łączyło mnie z tymi ludźmi.

— Rysiu i jego żona są moimi znajomymi, jedynymi tutaj - rzekł Adam.

— Nie zazdroszczę panu takiego towarzystwa. Ta znajomość nie świadczy o panu najlepiej.

— Nie powinno się oceniać ludzi po ich znajomych,

przyjaciołach. Judasz miał przecież nienaganych.

— Skąd pan wie, że Judasz miał nienaganych znajomych? Nie uważa pan, że na tych dwunastu facetów należałoby spojrzeć podwójnie, przyjrzeć się im przez przezroczysty kryształ kalcytu?

— Jeden zero dla pani. Nie możemy mieć pewności, że oni nie mieli czegoś na sumieniu.

Przysunął krzesło bliżej łóżka i usiadł na nim. Patrzyłam na niego z zainteresowaniem. Należał do tego typu mężczyzn, którzy z pozoru nie zwracają na siebie uwagi. Szara koszula, szare spodnie, szara twarz, nie ma na czym oka zawiesić, a jednak oddziaływał na moją podświadomość jakimś nieuchwytnym urokiem. Mówił dalej:

- Jeżeli chodzi o Misiaków, to jestem pewien, że tak naprawdę uważa ich pani za najporządniejszych ludzi w pałacu, tylko nie chce się pani do tego przyznać.

118

- Myli się pan. Uważam, że Misiaki to dno, to robaki w ludzkiej skórze.

- A czy czasem nie jest tak, że w pierwszej kolejności wyeliminowała pani Misiaków z grona podejrzanych o morderstwo.

Mimo woli kiwnęłam potakująco głową.

- No właśnie, uważa pani, że Misiak nie popełnił tej strasznej zbrodni, ale za to podejrzewa pani o nią kilka innych osób, w tym również mnie, a zatem w pani oczach jestem gorszy niż Misiak. Logiczne, prawda?

Nie odpowiedziałam. Po chwili zapytałam:

- Misiakowa powiedziała, że przyłapała Sonię z jakimś facetem. Czy wie pan z kim?

- Na pewno nie ze mną.

- Tak myślałam, że nie z panem, raczej podejrzewałam Roberta. Nie wierzę, że Misiakowa nic panu nie mówiła. Czy mógłby pan potwierdzić moje podejrzenie co do Roberta?

- Wydaje mi się, że ewentualny romans Soni nie jest kluczem do rozwiązania zagadki morderstwa. Niech pani nie szuka kochanka Soni, bo to nie pomoże w znalezieniu zabójcy.

Skoncentrowałam swoją uwagę na twarzy Adama i zapytałam:

- To może kluczem jest romans Ludmiły?

Uniósł lekko brwi. Co go zdziwiło? Czy to, że Ludmiła miała kochanka, czy może fakt, że o tym wiem? Odchyliłam się do tyłu, głaszcząc kapę na łóżku i zapytałam:

- Czy Ludmile było tutaj wygodnie?

Roześmiał się głośno, całą pierśią, aż zrobiło mi się głupio. Wciąż się śmiejąc, zapytał:

119

- Kto pani powiedział o romansie Ludmiły?

- Robert, wiedział o tym od Soni — odparłam.  
- Oczywiście zasugerował, że ja byłem jej kochan-  
kiem? Mógłbym powiedzieć, że w ten sposób chciał od-  
wrócić uwagę od siebie, ale wcale tak nie sędzę. Właściwie  
nie mam nic przeciwko temu, żeby przyznać się do ro-  
mansu z panią Reznikow. Oznajmiam, że byłem kochan-  
kiem Ludmiły. Ale dam jeszcze pani radę. Proszę zwrócić  
większą uwagę na profesora Firleja, on mi wygląda na ko-  
lekcjonera niezwykłych kobiet.

## Rozdział XI

Marta siedziała skulona na starej wersalce. Miała na  
sobie za duży ciemny sweter, w którym wydawała się jesz-  
cze bardziej krucha i blada, niż była w rzeczywistości. Przez  
cienkie jasne włosy prześwitywały małżowiny uszne.  
Dłońmi obejmowała chude kolana. Nie patrzyła na mnie,  
wzrok miała wbity w swoje małe stopy ubrane w poma-  
rańczowo-zółte skarpetki. Ja także najchętniej patrzyła-  
bym wyłącznie na te kolorowe skarpetki, bo był to jedyny  
radosny szczegół w jej wyglądzie. Mówiła cicho, jakby do  
siebie:

- Jak ci zazdroszczę tego pisania książek. Kiedyś właś-  
nie o tym marzyłam, o pisaniu.

— Możesz spróbować, na to nigdy nie jest za późno  
- powiedziałam.

— Ja teraz nie mam siły, żeby marzyć, a co dopiero  
mówić o pisaniu. Po tylu latach życia z tyranem można stra-  
cić chęć do wszystkiego, nawet do życia. Tylko dla moich  
córek wstaję codziennie z łóżka. - Zadrżały jej usta. Przy-  
gryzła na moment dolną wargę, potem mówiła dalej: - Mój  
mąż jest byłym piłkarzem, lubił trenować na mnie faule.

121

Bardzo się denerwował, kiedy nie mógł mnie trafić  
w ścięgno Achillesa. Znosiłam to przez dziesięć lat. Dwa  
miesiące po tym, jak się wyprowadziłyśmy, sprowadził sobie  
do mieszkania jakąś kobietę. Jest mi bardzo ciężko. Naj-  
gorsze jest to, że nie mam w nikim wsparcia, nikt nigdy nie  
stanie w mojej obronie. Jak mam zapewnić moim córkom  
bezpieczeństwo, skoro sama nie czuję się bezpieczna?

Za zamkniętym, nieszczelnym oknem huczał wiatr.

Wydawał się przybierać na sile, coraz mocniejsze porywy  
uderzały w szybę. Podeszłam do okna, wychodziło na dzie-  
dziniec. Ponad murem widoczne były ciemne chmury.

Patrząc na nie, rzekłam:

- Twoje dziewczynki są urocze, takie grzeczne, tylko  
za mało się uśmiechają.

- To ja zarazam je posepnym nastrojem. Nie potrafię  
udawać wesołości, chociaż dla ich dobra powinnam.

Usiadłam na krześle. Marta mówiła dalej:

- Był taki moment, kiedy wspólnie z dziewczynkami  
cieszyliśmy się życiem. To było po wprowadzeniu się do

pałacu, po poznaniu Ludmiły. Pani Reznikow pomogła mi uwierzyć, że mogę być szczęśliwa. Ona miała w sobie jakąś pozytywną energię, która udzielała się innym. Z tymi swoimi ziółkami była jak niezwykła postać z bajki. Po prostu dobra wróżka, chociaż niektórzy z pałacu powiedzieliby, że to zła czarownica. Nie wszyscy ją lubili.

- Kto jej nie lubił? - zapytałam.

- Mam wrażenie, że wszystkie kobiety z pałacu nie przepadały za Ludmiłą nawet Ewa Nowak. Niby były przyjaciółkami, spędzały ze sobą dużo czasu, ale gdy Ewa mówiła o Ludmile, to pojawiał się w jej głosie nieprzyjemny ton. Zwłaszcza gdy się rozgadała, przestawała panować nad

122

swoim językiem. Rzuciła pojedyncze słowa charakteryzujące panią Reznikow, a te słowa były jak igły wbijane w laleczkę wudu. Mówiła o niej „diablica”, „damulka”.

Nawet Renata Lasocka, która życzliwie odnosi się do wszystkich, akurat Ludmiłę omijała z daleka.

Marta drgnęła, gdy otworzyły się drzwi i do pokoju wpadła Iza, jej najmłodsza córka. Dziewczynka przypadła do nóg matki, przytuliła buzię do jej kolan i płaczkliwym głosem poskarżyła się:

- Mamuniu, Krysia i Asia nie dają mi pograć. Mówią, że nie umiem.

Matka potarła jej jasne włosy i powiedziała:

- Macie grać po równo, bo inaczej pani Alicja nie pożyczy wam więcej swojego laptopa. Idź i powiedz to Asi i Krysi.

Iza zerwała się i wybiegła z pokoju. Marta na chwilę uniosła głowę, aby spojrzeć na drzwi, za którymi znikła córka. Pomyślałam, że ta kobieta jest wielką szczęściarą, mając przy sobie trzy zdrowe i żywe córki. Zazdrościłam jej tego szczęścia. Marta znowu utkwiała wzrok w swoich pomarańczowo-żółtych skarpetkach i zaczęła mówić:

- Chciałabym się stąd wyprowadzić. Tutaj jest niebezpiecznie. Ten pałac to siedlisko zła. Każdy tutaj jest zainfekowany złem, każdy jest podejrzany. Gdy Mariusz idzie za mną korytarzem, to wydaje mi się, że zaraz się na mnie rzuci i zacznie mnie dusić. Gdy Robert pochyla się nad którąś z moich córek, widzę w nim pedofila. Może w innym miejscu, pośród innych ludzi odzyskałabym spokój.

Wycie wiatru za oknem i skrzypienie futryny brzmiały jak ponury akompaniament do jej słów.

123

- To morderstwo tak bardzo wyprowadziło cię z równowagi? — zapytałam.

Skuliła się jeszcze bardziej, naciągając sweter na chude kolana.

- To nie chodzi tylko o to morderstwo - oznajmiła

i wciągnęła mocno powietrze do płuc. Po chwili dodała:

— Tamtej nocy morderca był w moim pokoju.

Pochyliłam się do przodu i czekałam, aż Marta poda jego nazwisko, ale ona milczała. Drżała na całym ciele. Próbując opanować dygotanie, objęła się ramionami i przycisnęła brodę do klatki piersiowej.

— Kto to był? — wyszeptałam.

Przez jej drobne skulone ciało przeszła kolejna fala dreszczy.

- Kto to był? - ponowiłam pytanie.

Uniosła głowę i odgarnęła z twarzy cienkie kosmyki włosów. Dzwoniąc zębami, powiedziała:

— Nie wiem, nie widziałam jego twarzy. Ale jestem pewna, że ten człowiek, który wszedł tamtej nocy do mojego pokoju, to ten sam, który zabił Reznikowów.

Z nadzieją, że jednak czegoś się dowiem, zapytałam:

- Jak to było?

— Opowiem ci wszystko, ale obiecaj mi, że w powieści utajnisz moje personalia.

— Obiecuję.

Relacja Marty z mieszkania numer 4

Tamtej soboty była u nas Ewa Nowak z Madzią.

Dziewczynki bawiły się w pokoju obok. Zrobiłyśmy im naleśniki z czekoladą. Moja Iza jest łakomczuchem, tak się

124  
najadła, że aż ją zemdlilo. Ewa przyniosła książkę o wędzeniu mięs i ryb. Czytała mi fragmenty. Wpadła na pomysł, aby na dziedzińcu wybudować małą wędzarnię, z której mogliby korzystać wszyscy mieszkańcy. Wraziłam aprobatę dla tego pomysłu, ale wędzarnia potrzebna mi jak buty umarłemu. Co ja miałabym do niej włożyć? Skąd wzięłabym pieniądze na trzy, cztery kilo mięsa? Nie wiem też, dlaczego tak bardzo zależało jej na budowaniu wędzarni, przecież Grzesiek pracuje w zakładzie mięsnym w Miłakowie. Zawsze mogą kupić po cenach hurtowych świeże wyroby. Ja sama kupuję wędliny od Nowaków, bo to taniej niż w sklepie czy nawet markecie. Siedziałyśmy więc sobie i gadałyśmy o tej wędzarni i innych rzeczach. Ewa narzekała na męża, że nie interesuje się dziećmi, że całe dnie gdzieś się włóczy. Ja jej mówiłam, że nie ma na co narzekać. Niech lepiej będzie wdzięczna losowi, że nie trafiła na takiego faceta jak mój były.

Ewa z córką wyszły późno, było już po dwudziestej drugiej. Zagoniłam moje dziewczynki do łazienki i kazałam szybko się myć. Nasza łazienka jest na korytarzu, korzystamy z niej na spółkę z Joanną i Robertem. Zawsze pilnuję, aby moje ślicznotki nie zajmowały łazienki zbyt długo, żeby nikt do mnie i do nich nie miał pretensji. Gdy one się myły, ja rozstawiłam deskę do prasowania. Przy trójce dzieci prasowanie jest jak nigdy niekończąca się opowieść. Wołałam

poprosować trochę w sobotę późnym wieczorem, żeby niedzielę mieć wolną. Gdy dziewczynki położyły się do łóżek, zajrzałam do nich, aby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Poprawiłam prześcieradło na łóżku Asi, podniosłam z podłogi spodnie Izy. Asia rzuciła mi się na szyję i mocno mnie uściskała, jakby swoimi ramionkami chciała

125  
mnie ochronić, jak gdyby przeczuwała, że tej nocy może mi się stać coś złego. Łazienka była wolna, poszłam więc wziąć prysznic. Nie zamknęłam mieszkania na klucz. Nigdy tego nie robiłam. Uważałam, że nie ma takiej potrzeby. Dopiero teraz wiem, jaka byłam lekkomyślna. Zostawiałam moje dzieci zupełnie bezbronne. Każdy mógł do nich wejść i je skrzywdzić albo nawet porwać.

W łazience przed lustrem leżały okulary Krysi, a pod zlewem jej skarpetka. Zawsze przypominam moim dziewczynkom, że mają zostawiać po sobie porządek, zwłaszcza w miejscu, które dzielimy z innymi osobami. Zdarza im się jednak zachłapać całą łazienkę albo coś tam zostawić.

Umyłam się szybko i wróciłam do mieszkania. Było po dwudziestej trzeciej. Włączyłam telewizor i wsunęłam się pod kołdrę. Oglądałam romantyczną komedię. Po północy poczułam, że muszę siku. Niestety, toaletę mamy razem z łazienką. To jest problem, zwłaszcza przy dzieciach. Nie raz kazałam dziewczynkom siusiać do wiaderka, bo akurat Joanna albo Robert brali prysznic. Tamtego wieczoru wyjrzałam na korytarz i zobaczyłam, że w łazience pali się światło. Wróciłam więc do łóżka. Zerkając na budzik, czekałam. Po dziewięciu minutach znowu otworzyłam drzwi. Łazienka była wciąż zajęta. Pęcherz zaczynał mnie boleć. Wyłączyłam telewizor i lampkę nocną. Usiadłam na brzegu wersalki i w ciemnościach nasłuchiwałam dźwięków nadchodzących z korytarza. Wreszcie usłyszałam jakieś stuknięcie. Zerwałam się i wyjrzałam. Korytarzem ktoś szedł. Słyszałam kroki, ale nikogo nie widziałam, bo było zupełnie ciemno. Teraz zastanawia mnie fakt, że w holu panował taki mrok, przecież przed drzwiami frontowymi pali się żarówka i przez okna wychodzące na dziedziniec wpada

126  
trochę światła. Wtedy jednak najważniejsze było dla mnie, że łazienka jest wolna. Wskoczyłam z mieszkania. Oczywiście nie zaprzętałam sobie głowy zamykaniem drzwi na klucz. Prawie po omacku odnalazłam drzwi łazienki, po omacku wróciłam też do siebie. Nie było mnie trzy może cztery minuty. Gdy weszłam do mieszkania, od razu przekreśliłam klucz w zamku i położyłam się do łóżka.

Nagle uświadomiłam sobie, że ktoś jest w pokoju. To nie było przecucie, lecz pewność. Wiedziałam, że to nie jest żadna z dziewczynek, to był ktoś obcy. Ogarnęło mnie przerażenie, potworny paraliżujący strach. Czułam, że całe



ciało mi drętwieje. Głos w mojej głowie mówił: „Uciekaj, broń się, broń dziewczynkę”. Nie mogłam się jednak ruszyć, nie miałam władzy nad własnym ciałem. Serce waliło mi jak oszalałe. Myślałam, że ze strachu zaraz stracę świadomość. Wyteżęłam wzrok tak mocno, że aż bolały mnie oczy. Chciałam w ciemnościach dostrzec zagrożenie. Niczego jednak nie zobaczyłam, ale każdą komórką z osobna rejestrowałam czyjąś obecność. Czułam pochylając się nade mną sylwetkę, czułam czyjś oddech. Niczego nie słyszałam, żadnego szmeru, w uszach tętniła mi moja własna krew. Czekałam na atak, ale nie nadchodził. Myślałam, że już dłużej nie wytrzymam tego napięcia, i wtedy się na mnie rzucił. Przygniółł mnie swoim wielkim, ohydny cielskiem. Na moment straciłam oddech. Gdy się podniósł, raptownie wciągnęłam powietrze do płuc. Zerwał ze mnie koldrę i podciągnął mi koszulę nocną do góry. Na krótką chwilę odzyskałam siły. Instynktownie poczułam, że muszę się bronić. Zacisnęłam dłonie w pięści i zaczęłam wymachiwać. Trafiłam go tylko raz. Silny cios spadł na moją twarz. Nie krzyknęłam, od razu znieruchomiałam. Mąż bił

127  
mnie przez dziesięć lat, nauczyłam się w takich sytuacjach nie krzyczeć, nie płakać, żeby nie wystraszyć dziewczynki. Tamtej nocy zadziałał mechanizm, który wypracowałam w sobie przez dekadę. Nie krzyczałam, nie broniłam się, bo moje córeczki spały w pokoju obok. Ich bezpieczeństwo było najważniejsze. Ten facet przekręcił mnie na brzuch, przycisnął mi głowę do poduszki i mnie zgwałcił. Potem się podniósł i podszedł do drzwi. Usłyszałam, jak przekręca klucz i wychodzi. Zerwałam się i podbiegłam do drzwi, aby je szybko zamknąć. Bałam się, że on zaraz wróci. Ręce tak mi się trzęsły, że nie mogłam złapać klucza. Gdy go przekręciłam, oparłam się plecami o drzwi i stałam tak kilka minut. Cała dygotałam i płakałam bezgłośnie. Nie wiedziałam, co mam robić. Czułam się jak mała, bezbronna dziewczynka pozostawiona przez rodziców w jakimś obcym miejscu. Oderwałam się od tych drzwi i zaczęłam miotać się po pokoju, ale nie miałam pojęcia, w jakim celu. W końcu przewróciłam się na wersalkę, ale natychmiast poderwałam się z tej śmierdzącej pościeli. Już wiedziałam, co mam zrobić. Musiałam założyć czyste poszewki. Włączyłam lampkę nocną i zaczęłam zdejmować, a właściwie zdierać brudną pościel. Robiłam to z dziką pasją i zarazem obrzydzeniem. Zerwałam z siebie koszulę nocną i wraz z cuchnącą pościelą rzuciłam w kąt pokoju. Byłam brudna, chciałam znaleźć się pod prysznicem i lać na swoje zbrudzone ciało gorącą wodę, tak gorącą, aby wypaliła wszystkie bakterie, zarazki. Za żadne skarby nie wyszłabym jednak z mieszkania. Przecież on mógł czaić się za drzwiami. Podeszłam z czystym ręcznikiem do zlewu kuchenne-

go. Zmoczyłam go i namydliłam. Potem przetrłam nim całe ciało, wypłukałam go i znowu się wytarłam. To było 128

jednak za mało, wciąż czułam się brudna. Wzięłam nowy ręcznik i powtórzyłam tę czynność. Kiedy wydawało mi się, że ablucja przyniosła efekt, włożyłam czystą piżamę. Rozścieliłam na wersalce pachnące prześcieradło. Kołdrę i poduszkę ubrałam w świeże poszewki. Zanim się położyłam, zajrzałam do pokoju dziewczynek. Wszystkie spały. Pochylając się nad nimi, nie mogłam powstrzymać łez. Ogarnął mnie ogromny żal, smutek. Tamtej nocy prawie w ogóle nie spałam. Budziłam się co kilka minut. O szóstej rano odważyłam się wyjść z mieszkania. Najpierw uchyliłam drzwi i wystawiłam głowę. Korytarz był pusty, wyszłam więc, zamykając za sobą drzwi na klucz. Umyłam się szybko, bo nie chciałam moich córeczek na długo zostawiać samych.

Całą niedzielę przesiedziałyśmy w mieszkaniu. Była piękna pogoda. Dziewczynki chciały wyjść na dwór, Madzia po nie przychodziła, ale ja ich nie wypuściłam. Tamtego dnia byłam trochę odrętwiała, mało komunikatywna, jakby po psychotropach. Pamiętam, że siedziałam przed telewizorem i bez odrobiny zaangażowania oglądałam jakieś programy. Iza przychodziła do mnie i przytulała się. Brała moją twarz w swoje rączki i przemawiała do mnie pieszczotliwym głosem, a ja nie byłam w stanie zrewanżować się jej podobnymi czułościami. Dopiero gdy zaczęłam robić kolację, gdy kroiłam chleb i pomidory, coś się ruszyło w mojej głowie, jakieś trybiki zaskoczyły i zmusiły mnie do myślenia. Uświadomiłam sobie, że zostałam zgwałcona. Dotarło do mnie, jakie zagrożenia mogą się z tym wiązać, ciąża, choroba weneryczna, ponowny gwałt, uraz psychiczny, strach. Potem zastanowiłam się, kto to mógł zrobić. W pierwszej chwili przyszedł mi do głowy Mariusz. 129

Jedno, co mogłam powiedzieć o gwałcieliu, to że był wielki i ciężki, a Mariusz właśnie taki jest, poza tym to kryminalista. Istotny wydawał mi się też fakt, że jego dziewczyna była już w siódmym miesiącu ciąży. Może Anka nie chciała się z nim kochać, a on miał dosyć celibatu. Potem pomyślałam sobie, że gwałcieliel wcale nie musiał być taki wielki. Jestem przecież bardzo drobna, każdy facet w takiej sytuacji wydałby mi się ogromny. To równie dobrze mógł być Robert. To zapewne on był w łazience, może to jego kroki słyszałam w ciemnym korytarzu. Zobaczył albo usłyszał, że wychodzę z mieszkania. Nie poszedł do siebie, tylko wszedł do mnie i zaczął, aż wróć. Robert robi wrażenie dobrze wychowanego mężczyzny, ale kto wie, co tak naprawdę w nim siedzi. Podobno jego matka została zamordowana, to musiało jakoś na niego wpłynąć.

Jednego byłam pewna, a mianowicie tego, że gwałci-  
cielem jest ktoś z pałacu. Gwałciiciel musiał wiedzieć, że  
wchodzi do mieszkania, w którym nie zostanie mężczyzny,  
w którym mieszka samotna kobieta z trójką dzieci. Musiał  
też wiedzieć, że ja zajmuję pierwszy pokój, a moje córeczki  
drugi. Zaczęłam zastanawiać się nad kolejnymi lokatorami.  
Adam Kirage, samotny, bez partnerki, dziwny, często  
w nocy wychodzi z pałacu i spaceruje nad jeziorem. Może  
właśnie wracał z takiej przechadzki i zaszedł do mnie. Po-  
myślałam o Misiaku, Grześku Nowaku i Leszku Lasockim,  
intuicja mi mówiła, że to żaden z nich. Zastanowiłam się  
nad Wołodią. Mój umysł poszedł tym samym torem skoja-  
rzeń, co w przypadku Mariusza, bo Reznikow też był wiel-  
kim facetem. Ci wszyscy mężczyźni kotłowali mi się w głó-  
wie, widziałam ich twarze, złe, ohydne twarze. W pew-  
nej chwili uświadomiłam sobie, że pominęłam jednego  
130

lokatora. Nie wzięłam pod uwagę profesora Firleja. Praw-  
dopodobnie podświadomie uznałam go za najporządniej-  
szego człowieka w pałacu, za kogoś bez skazy, kto nie  
mógłby dopuścić się takiego przestępstwa. Gdy jednak za-  
częłam się nad nim zastanawiać, to jego nieskazitelne ma-  
niery zaczęły wydawać mi się podejrzane.

Usiadłam z moimi dziewczynkami do kolacji, ale nie  
mogłam niczego przełknąć. Machinalnie mieszałam ły-  
żeczką herbatę i z niepokojem myślałam o moim dalszym  
życiu pod jednym dachem z oprawcą. Nagle ktoś szarpnął  
za klamkę. Oczywiście drzwi były zamknięte na klucz. Roz-  
legło się głośne, natrętne pukanie. Zaraz potem usłyszałam  
nawołujący mnie głos Ewy. Otworzyłam drzwi i zoba-  
czyłam ją bladą, zdenerwowaną. W pierwszej chwili po-  
myślałam, że spotkało ją to samo co mnie. Ewa złapała  
mnie za rękę i wyciągnęła na korytarz. Powiedziała mi  
o Reznikowach. Powiedziała, że wszyscy nie żyją, wszyscy  
zostali zamordowani. Następnego dnia dowiedziałam się,  
że nie wszyscy, bo ciała Soni nie znaleziono, a więc jest na-  
dzieja, że żyje. Tamtej niedzieli, późnym wieczorem  
w pałacu zaroilo się od policjantów. Kilka razy wycho-  
dziłam na korytarz z zamiarem porozmawiania, opowie-  
dzenia o tym, co mnie spotkało. W obliczu morderstwa  
gwałt na mojej osobie nabrał innego wymiaru. Uświado-  
miłam sobie, że ja i moje córki mogłyśmy zostać zabite,  
że nadal znajdujemy się w dużym niebezpieczeństwie.  
Chciałam, żeby ktoś przyszedł do mojego mieszkania  
i zdjął odciski palców, chciałam, żeby jak najszybciej go za-  
trzymali, odizolowali ode mnie i moich dzieci. Kręciłam się  
po korytarzu. Widziałam, jak gliniarze chodzą po schodach  
w tę i z powrotem. Próbowałam któregoś zagadać, aż  
131

w końcu jeden z nich warknął, że mam nie przeszkadzać.

Dwa dni później zostałam wezwana na przesłuchanie. Myślałam, że wreszcie będę mogła powiedzieć o gwałcie. Na komendzie skierowano mnie do pokoju, w którym stały trzy biurka, przy każdym ktoś siedział. Rozmawiał ze mną bardzo młody policjant. Zadał mi kilka krótkich pytań. Czy dobrze znałam Reznikowów? Czy mieli wrogów? Jakie stosunki łączyły ich z sąsiadami? Czy coś tamtej nocy zwróciło moją uwagę? Którego z sąsiadów podejrzewam o to morderstwo? Policjantka przy sąsiednim biurku gawędziła z kimś bliskim przez telefon, to mnie rozpraszało. Chciałam porozmawiać, ale byłam w stanie udzielać jedynie jednozdaniowych odpowiedzi. Zbierałam się w sobie, żeby powiedzieć o tym najważniejszym, ale policjant podziękował mi za przybycie i pozwolił mi już iść. Wstałam więc i wyszłam.

Do dziś zastanawiam się, czy morderca i gwałcielel to ta sama osoba. Nie daje mi to spokoju. Czy to możliwe, żeby tej samej nocy w dwóch różnych lokatorach odezwał się demon? Tyle miesięcy tu mieszkam i zawsze był spokój, nie licząc burd urządzanych przez Misiaka. Aż tu nagle jednej nocy dwa przestępstwa. To niemożliwe, żeby były dokonane przez dwóch mieszkańców. Intuicja mówi mi, że tamtej nocy był u mnie w mieszkaniu morderca. Zastanawiam się jednak nad psychologicznym prawdopodobieństwem takiej ewentualności. Po co niby miał mnie gwałcić, skoro w jego rękach miały zaraz znaleźć się Ludmiła i Sonia? Szybko znalazłam odpowiedź na to pytanie. Otóż gwałt nie był jego celem. On szedł do Reznikowów, aby ich zabić, a do mnie przyszedł wcześniej, żeby rozładować ogromne napięcie. Z każdym dniem nabieram przekonania,

że sprawca jest jeden i jest to na pewno mieszkaniec pałacu, tylko nie wiem, który. Wszyscy zachowują się wobec mnie jak przed gwałtem i morderstwem, ale jednocześnie są jacyś inni.

## Rozdział XII

Pokój pani Blumfeld wyglądał jak komnata. Z podziwem patrzyłam na mozaikową podłogę i zdobiony sufit. Drzwi były rzeźbione i miały pięknie wygiętą masywną klamkę. Na kominku, wyższym ode mnie, palił się ogień.

— Gdzie ja jestem? — zapytałam oszołomiona stylowym pięknem tego wnętrza.

Pani Blumfeld rozejrzała się po swoim pokoju, jakby widziała go po raz pierwszy, i po chwili powiedziała:

- W pałacu jesteś, moja droga, w najprawdziwszym pałacu.

— Ale jak udało się pani przywrócić dawny charakter temu pomieszczeniu?

- To nie było trudne. Kominiek już tu był, mozaikowa

podłoga też. Z drzwi kazałam zdrapać olejną farbę. Wyszukałam tapetę, która nadała pokojowi stary klimat, i zgromadziłam stylowe meble.

Pani Blumfeld usiadła na fotelu z rzeźbionymi poręczami. Przed nią stał stolik z okrągłym blatem, a na nim dwie filiżanki. Miałam wrażenie, że mam przed sobą arys-

134  
tokratkę. Siwe włosy upięte w wysoki kok i ciemnobrązowa sukienka nadawały jej majestatyczny wygląd. Miałam już usiąść naprzeciwko niej, ale moją uwagę przykuły zdjęcia stojące na wąskiej komódce. Były to cztery czarno-białe fotografie w miedzianych ramkach. Pierwsze zdjęcie przedstawiało młodą kobietę w krótkich włosach i jasnej sukience, stojącą na tle wody.

— Kim jest ta piękna pani? - zapytałam.

— To moja matka, Greta. Była znakomitą śpiewaczką. W 1931 roku występowała w największym kabarecie w Berlinie. W kronikach towarzyskich nazywana była najpiękniejszą kobietą Berlina. Potem musiała wyjechać, bo nastroje się popsuly. Do dyrektora kabaretu przyszło dwóch panów w czarnych płaszczach i kazali zerwać kontrakt z Gretą.

Na drugim zdjęciu mała dziewczynka kuciała w rogu jakiegoś podwórka. Miała bardzo jasne włoski i szeroko otwartą buzię. Nie był to jednak uśmiech. Można było odnieść wrażenie, że dziewczynka krzyczy.

— To jestem ja. Zdjęcie zostało zrobione w getcie — powiedziała pani Blumfeld.

— Była pani blondynką?

— Nie, rodzice utlenili mi włosy. Mieli nadzieję, że to pomoże, ale nie pomogło.

Kolejna fotografia przedstawiała starszą kobietę siedzącą w ogromnym fotelu. Była podobna do pani Blumfeld. Ta sama drobna sylwetka i białe włosy. Na ostatnim zdjęciu zobaczyłam młodego mężczyznę we fraku i z bujnymi włosami.

— To mój ojciec i jego matka, czyli moja babka — wyjaśniła starsza pani.

135

Usiadłam na fotelu i sięgnęłam po filiżankę z kawą.

W kominku przyjemnie trzaskał ogień, w rogu pokoju uspokajająco cykał duży zegar. Jego grube złote wskazówki wydawały się zataczać koło w zwolnionym tempie. Miałam wrażenie, że znalazłam się w oku cyklonu. Komnata pani Blumfeld jawiła mi się jako jedyne bezpieczne miejsce w pałacu. Wokół szerzyło się zło, morderstwo i gwałt, a tutaj było spokojnie i ciepło. Gospodyni uśmiechała się do mnie uprzejmie.

— Pamięta pani swój pobyt w getcie? — zapytałam.

— Oczywiście, że pamiętam. Gdy tam trafiliśmy, mia-

łam osiem lat. Moja mama śpiewała w kawiarni w getcie, akompaniował jej sam Władysław Szpilman. Gdy wracała z występów, zwykle przynosiła coś do jedzenia. Wchodziła do mieszkania zawsze ubrana w czarną suknię, ja się zrywałam z łóżka i leciałam do niej, aby się przytulić. Pachniała perfumami i tytoniem. Brała mnie na kolana i dawała słodkie mleko. Najbardziej lubiłam, jak Greta przynosiła słodkie mleko w puszcze. Nalewała mi trochę do miseczki, ja maczałam w nim chleb i jadłam. Do dziś pamiętam ten smak, do dziś kojarzy mi się z największym dobrobytem. Dokładnie nie wiem, jak długo przebywaliśmy w getcie, ale prawdopodobnie kilkanaście miesięcy. Potem przyjaciele mamy po stronie aryjskiej zorganizowali nam ucieczkę. Resztę okupacji przesiedziałyśmy w jakiejś piwnicy, skąd wyszłyśmy dopiero po powstaniu.

Pani Blumfeld umilkła. Już się nie uśmiechała. Siedziała nieruchomo z przymkniętymi oczami i spuszczoną głową. Miałam ochotę uścisnąć jej drobną pomarszczoną dłoń. Nie zrobiłam jednak tego. Nie chciałam intymnym gestem urazić tej doświadczonej kobiety, która teraz musi

136  
samotnie egzystować pośród nierozumiejących ją sąsiadów. Pani Blumfeld przypominała mi mojego ojca. Tata miał trzy córki, ale też był samotny. Siedział sam w wielkim domu i rozmawiał z żoną której nie było obok niego. Chcąc sprawić przyjemność starszej pani, powiedziałam:

- Od profesora Firleja wiem, że jego żona bardzo lubi pani towarzystwo.

- Ja też lubię towarzystwo Ady. Ona przypomina mi moją matkę. Ada jest artystką, tego rodzaju artystką, dla której kontakt z widownią jest najważniejszy. Greta również ceniła sobie publiczne występy. Nie potrafiła bez nich żyć. Czy wyobraża sobie pani, że ona myślała o powrocie do getta, aby móc znowu śpiewać? Chciała oddać mnie na przechowanie do jakiejś rodziny, a sama planowała wrócić na drugą stronę muru.

Pani Blumfeld rozejrzała się po pokoju. Wyglądała na zaniepokojoną. Drobne dłonie zacisnęła na poręczach. Po chwili zapytała:

- Czy słyszała pani Romla?

- Nie - odparłam i też się rozejrzałam.

Pani Blumfeld głosem małej, niepocieszanej dziewczynki mówiła dalej:

- Słyszałam miauczenie. Na pewno gdzieś tu jest, tylko się schował. On się często przede mną chowa.

Byłam pewna, że kot się nie odzywał, powiedziałam jednak:

- Może miauczenie dochodziło z korytarza.

- Moja droga, mogłabyś sprawdzić, czy jest za drzwiami? — poprosiła starsza pani.

Podeszłam do drzwi i otworzyłam je. Romel wkroczył do pokoju majestatycznym krokiem i niespiesznie zbliżał się do swojej właścicielki. Pani Blumfeld pisnęła na jego widok. Gdy wskoczył na jej kolana, zaczęła przemawiać do niego pieśzchotliwym głosem. Znowu usiadłam przy kominku.

— Joanna też do pani przychodzi? - zapytałam.

— Przychodzi, ale nie lubię jej. Mieszka z mężczyzną, który mógłby być jej synem. Żeby chociaż byli małżeństwem. Pozostali lokatorzy uważają mnie za złośliwą staruchę, nie rozumieją, że ja po prostu mam zasady. Wymagam porządku, chcę, abyśmy wszyscy wspólnie dbali o to miejsce. A sama widzisz, jak inni traktują pałac. Te zagracone korytarze! Przecież w razie pożaru nikt z pierwszego piętra się nie uratuje. Dobrze, że chociaż mieszkam na parterze. Nie musimy żyć jak rodzina, ale żeby zaraz się mordować?

— No właśnie, kogo pani podejrzewa o to potworne morderstwo?

— Ada mi powiedziała w wielkiej tajemnicy, że to ten okropny Nowak zabił Reznikowów. Ja też myślę, że to on. Romel rozłożył się na szczupłych kolanach swojej pani. Z jednej strony zwisała jego głowa, z drugiej ogon. Głośne mruczenie roznosiło się po pokoju. Ogień na kominku przygasał.

— Co pani pamięta z dnia morderstwa? - zapytałam.

Relacja pani Blumfeld z mieszkania numer 2

Jestem stara, mam prawie osiemdziesiąt lat. Lepiej pamiętam, co się działo pół wieku temu niż wczoraj. Mogę powiedzieć, co jadłam na obiad w moje dziewiętnaste urodziny, a nie pamiętam, czy Ada była u mnie w ostatnią

138  
niedzielę. Czasami nawet zapominam o Romlu, a przecież on jest dla mnie najważniejszy. Nie jestem pewna tych wydarzeń sprzed kilku tygodni. Może sobie pewne rzeczy wyobraziłam? Pamiętam, że uchyliłam drzwi i zobaczyłam Nowaka skradającego się ciemnym korytarzem. Bardzo się wystraszyłam i szybko zatrzasnęłam drzwi. Ada próbowała mnie przekonać, że nie mogłam go widzieć w dzień morderstwa, bo wtedy ona była u mnie. Podobno przyszła późno, ja byłam już w szlafroku. Rozmawiałyśmy długo. Gdy po północy wychodziła, przekreśliłam za nią klucz. Miałam od razu się położyć. Romel był w pokoju, spał na fotelu, czyli nie było powodu, dla którego miałabym jeszcze wyglądać na korytarz. A jednak wydaje mi się, że to właśnie tamtego wieczoru otworzyłam drzwi i zobaczyłam Nowaka skradającego się wzdłuż ściany. Teraz sobie myślę, że to mógł być ktoś zupełnie inny. Było przecież ciemno, nie mogłam widzieć jego twarzy, jedynie sylwetkę.

Następnego dnia po morderstwie cały dzień dręczył mnie dziwny niepokój. Romel też się niepokoił. Miauczał przeciągle, nie chciał jeść szprotek. Myślałam, że jest chory. Z tego wszystkiego dostałam migreny. Poszłam do Ludmiły, aby dała mi coś przeciwbólowego, ale u Reznikowów nikt nie otworzył. Udałam się więc do Joanny, lecz jej też nie było. Zrobiłam sobie zieloną herbatę, niestety, nie pomogła na migrenę. Znowu zastukałam do Ludmiły. Pukałam długo, ale bezskutecznie. Krążyłam po dziedzińcu i wokół pałacu, wypatrując Soni. Ona zawsze kręciła się na terenie posesji, ale tym razem jej nie było. Zauważyłam, że samochód Reznikowów stoi przed pałacem. Ogarnęło mnie przeczucie, właściwie przekonanie, że coś złego się stało. Wtedy zaalarmowałam lokatorów. Najpierw poszłam

139  
do Nowaków, najbliższych sąsiadów Ludmiły. W ogóle się nie przejęli losem Reznikowów. Gdy poszłam do nich drugi, a może trzeci raz, ten okropny Nowak popchnął mnie. Mogę nawet powiedzieć, że mnie uderzył. Byłam też u pana Lasockiego. Nie powiem, zainteresował się losem sąsiadów. Podobnie jak ja zauważył, że od rana żadne z Reznikowów się nie pokazało. Dzwonił nawet na komórkę do Ludmiły i Soni. Gdy się pojawiłam u niego, wziął swój aparat i oboje poszliśmy pod drzwi Reznikowów. Najpierw wybrał numer Soni. Nie odebrała. Potem zadzwonił do Ludmiły, oczywiście też nie odebrała, ale usłyszeliśmy, a właściwie on usłyszał sygnał jej komórki dochodzący zza drzwi.

Zaskoczyła mnie gwałtowna reakcja pana Lasockiego. Złapał się za głowę i zaczął lamentować. Zawodząc, powtarzał: „Już po nich, już po nich”. Położyłam mu rękę na ramieniu i próbowałam uspokoić. Sama byłam poddenerwowana, ale żeby zaraz tak rozpaczać? Przecież nie wiadomo było jeszcze, co tak naprawdę stało się z Reznikowami. Podejrzewam, że Leszek Lasocki musiał o czymś wiedzieć, może wiedział o jakimś konflikcie pomiędzy Nowakiem a Wołodią. Znał impulsywny charakter Nowaka i domyślił się tragedii. Lasocki powiedział, że trzeba zadzwonić na policję. Poprawiłam okulary na jego nosie, bo mu się przekrzywiły, i przekonałam, żebyśmy poszli do profesora poprosić go o pomoc w otworzeniu drzwi do mieszkania Reznikowów. Profesor Firlej to wspaniały człowiek, typ przedwojennego dżentelmena. Szkoda, że nie poznałam takiego mężczyzny, kiedy byłam młoda. Oczywiście natychmiast pospieszył nam z pomocą. Nigdy niczego mi nie odmówił. Raz, gdy Romel zwrócił jedzenie, profesor

140  
polecił mi zawinąć kota w koc i zabrał go do weterynarza. On jeden rozumie, kim dla mnie jest Romel. Wydaje mi się, że profesor ma do mnie słabość. Jak to miło, że są jeszcze



panowie, którzy widzą w kobiecie nie tylko jej wiek, ale także szyk i elegancję. Pamiętaj, moja droga, że u kobiety najważniejszy jest szyk. Te dzisiejsze panny nawet nie wiedzą, co to takiego ten szyk.

Profesor Firlej uzbrojony w narzędzia zaczął rozwalać zamek w drzwiach Reznikowów. Robił to bardzo zręcznie, z dużym oddaniem. Widać było, że zależy mu na spełnieniu mojej prośby. Byłam w niego tak wpatrzona, że nie zauważyłam Nowaków, którzy wyszli sprawdzić, kto tak hałasuje. Dopiero gdy Nowak coś burknął, odwróciłam się w ich stronę. Zobaczyłam zaskoczoną minę pani Ewy. Wydaje mi się, że chciała z nami porozmawiać, ale mąż brutalnie wepchnął ją do mieszkania. Biedna kobieta, szkoda mi jej i dzieci, na pewno nie jest im łatwo mieszkać i żyć z takim człowiekiem. Zastanawiałam się, czy ona wie, że jej ślubny jest mordercą, czy go chociaż podejrzewa. Jeżeli tak, to nie chciałabym być w jej skórze. Biedaczka zapewne żyje w ciągłym strachu.

Gdy profesor otworzył drzwi, zobaczyliśmy coś potwornego. Los nie oszczędził mi równie przerażających widoków. Mieszkałam przecież w getcie, przeżyłam powstanie warszawskie. Widziałam trupy leżące na ulicy, widziałam człowieka z rozprutym brzuchem, który rękami próbował powstrzymać wypływające wnętrzności. Ktoś mógłby pomyśleć, że powinnam być oswojona z widokiem krwi. Nic bardziej mylnego. W chwili, gdy profesor otworzył drzwi, obrazy z dzieciństwa powróciły wraz z tamtym panicznym lękiem. Wpadłam w histerię. Miałam wrażenie, że dopadło

141  
mnie tamto zło z przeszłości, przed którym udawało mi się uciekać kilkadziesiąt lat. Nie chciałam dłużej patrzeć na ciało Wołodii. Chciałam jak najszybciej wrócić do siebie, do bezpiecznego miejsca. Zbiegając ze schodów, wpadłam w ramiona Joanny. Pomogła mi dojść do pokoju i położyć się do łóżka. Długo nie mogłam dojść do siebie. Przez wiele dni żyłam w strachu. Przeszłość stała się teraźniejszością. Do równowagi wróciłam dzięki Adzie, jej mężowi i oczywiście Romłowi.

### Rozdział XIII

Zapukałam do mieszkania numer 10. Nikt nie otworzył. Wiedziałam, że Renata nie słyszy mojego pukania. Powinnam nacisnąć klamkę i po prostu wejść, nie miałam jednak śmiałości. Postanowiłam odnaleźć małego Tomka Lasockiego i poprosić go, aby zaanonsował mnie swojej mamie. Kwadrans temu widziałam go na dole w holu, w towarzystwie Wojtusia Nowaka. Obaj próbowali wypłoszyć Romla zza ogromnej komody. Wojtuś kopał w mebel, a Tomek wkładał długi kij za komodę. Zeszłam na dół. Chłopców już nie było. Kot leniwie przeciągał się na parapecie. Gdzieś rozległy się głosy i krótki chłopięcy śmiech.

W pierwszej chwili myślałam, że to z któregoś mieszkania. Zbliżyłam się do drzwi z numerem 4. Może Wojtuś i Tomek wprosilili się do dziewczynek Marty. Znowu usłyszałam głosy chłopców. Dochodziły z oddali, jakby z innego pomieszczenia połączonego tunelem wentylacyjnym z holem pałacowym. Zapukałam do mieszkania Marty. Otworzyła mi Krysia.

- Czy słyszysz głosy chłopców? - zapytałam.

Wyszła na korytarz i nasłuchiwała chwilę.

143

- Tak, słyszę - odpowiedziała.

- Gdzie oni są?

- W piwnicy.

- Gdzie jest ta piwnica?

W odpowiedzi ruszyła korytarzem. Poszłam za nią.

Minęliśmy mieszkanie pani Blumfeld i, lawirując pomiędzy rowerami, narzędziami ogrodowymi, plastikowymi koszykami i kartonami, dotarliśmy do ściany za spiralą schodów. Krysia wskazała ręką w stronę wąskiego wykuszu. Domyśliłam się, że tam znajdują się drzwi do piwnicy. Podeszła bliżej. Drzwi były otwarte. Wionęło na mnie wilgotne piwniczne powietrze. Chłopców nie było słychać, widocznie zamilkli na moment. Stojąca za moimi plecami Krysia wyszeptała:

—Ja raz zeszałam sześć schodków, dalej się bałam. Tam kiedyś uwięziono jakąś księżniczkę, bo nie chciała wyjść za męża. Umarła z głodu. Powiedziała nam o tym pani Blumfeld.

Zaczęłam schodzić po schodkach. Były wąskie, nierówne, zakręcały w lewo. Trzymałam się kamiennej zimnej ściany. Do palców przykleiła mi się pajęczyna. Nie mogłam się jej pozbyć. W końcu wytarłam rękę w spodnie. Wilgotna zatechła woń stawała się coraz ostrzejsza. Znowu usłyszałam chłopców. Grobowym głosem przemówił Wojtuś:

- W tamtym korytarzu leży kościotrup.

- Ja się boję, spadajmy stąd — powiedział Tomek.

Zeszłam z ostatniego schodka i znalazłam się w wąskim korytarzu. Jakieś trzy metry przede mną widziałam nikłe światło. Domyśliłam się, że chłopcy mają latarkę.

- Ktoś się skrada, słyszę kroki - stwierdził Wojtuś.

144

- Nie strasz mnie! - zawołał płacząco Tomek.

- Naprawdę ktoś idzie. - Teraz w głosie Wojtusia słychać było autentyczny przestach.

Stałam w drzwiach prostokątnego pomieszczenia.

Na moją twarz padł snop elektrycznego światła. W tej samej chwili rozległ się przeraźliwy krzyk. To chłopcy wrzeszczeli, tak bardzo przeraził ich mój widok.

- Nie bójcie się! - zawołałam.

Światło zgasło, chłopcy umilkli. Zaczęłam przemawiać do nich spokojnym tonem:

-Jestem waszą sąsiadką. Nie bójcie się mnie. Czy moglibyście włączyć latarkę? Chciałabym obejrzeć tę piwnicę. Usłyszałam szepot, a zaraz potem rozbrzmiało światło.

Podeszłam do chłopców.

- Ale nas pani wystraszyła - powiedział Wojtuś.

- Wolno wam tutaj wchodzić? - zapytałam.

Obaj spuścili głowy, dając mi w ten sposób do zrozumienia, że nie mają zgody rodziców. Tomek świecił latarką w podłogę.

- Daj mi latarkę — poprosiłam.

Gdy wręczył mi ją posłusznie, zobaczyłam, że nie jest to latarka, lecz komórka. Rzuciła wąski, mocny snop światła. Przesuwałam się, oświetlając sobie drogę. Chłopcy szli za mną.

- Czy pani ma pistolet? - zapytał Wojtuś.

-Ja? Pistolet? - zdziwiłam się.

- Pan Adam powiedział, że pani jest psem, a więc powinna pani mieć pistolet - wyjaśnił Wojtuś.

Nakierowałam snop światła na twarz małego Nowaka i ostro powiedziałam:

- Nie jestem psem, jestem pisarką.

145

Znowu zaczęłam oświetlać piwnicę. Znajdowaliśmy się w pomieszczeniu mającym około ośmiu metrów szerokości i pięć metrów długości. Prowadziły od niego cztery korytarze, ten, którym weszłam, i jeszcze trzy rozchodzące się w pozostałe strony świata. Jeden korytarz zasypany był gruzem, w drugim leżały belki, do trzeciego można było wejść, ale kamienna podłoga była mocno wybrakowana, ponadto sufit z każdym metrem się obniżał.

— Mój tata kiedyś sprawdzał, co tam jest — pochwalił się Wojtuś Nowak.

— I co tam jest? - zapytałam.

— Tam są doły, można do nich wpaść i już nigdy nie wyjść. Właśnie dlatego nie możemy tutaj wchodzić.

— Wracamy na górę — zakomenderowałam i skierowałam się w stronę korytarza prowadzącego do wyjścia. Nagle snop światła wydobył z ciemności jakiś niewielki kształt. Moje oko nie zdążyło zarejestrować i rozpoznać tego kształtu. Zaczęłam więc wyszukiwać go w ciemnościach. Powoli przesuwałam strumień światła po kamiennej podłodze, aż w końcu na coś trafiłam.

— To kubek! — zawołał Wojtuś.

Podeszłam bliżej i pochyliłam się. To faktycznie był kubek. Stał przy samej ścianie, blisko korytarza, którym mieliśmy wyjść. Podniosłam go i obejrzałam. Kubek ozdobiony był wizerunkiem słonia z uniesioną w górę trąbą. Oddałam Tomkowi komórkę i poleciłam kierować

się do wyjścia. Szłam za nimi po kamiennych schodkach.

U szczytu czekały na nas Krysia i Marta.

— Dobrze, że jesteście cali — powiedziała z wyraźną ulgą Marta. - Krysia przybiegła do mnie z płaczem, że coś ci się stało, bo weszłaś do piwnicy i potem krzyczałaś.

146

— To chłopcy krzyczeli, nie ja — wyjaśniłam.

Zajrzałam do kubka. To, co w nim było, wyglądało na zaschnięte fusy kawy.

— To jest kubek Anki, poznaję po tym czerwonym słoniku — stwierdziła Marta.

— Oddam go jej przy okazji - oznajmiłam.

Na schodach dogoniłam Tomka. Poprosiłam, aby uprzedził mamę, że przyjdę do niej za dziesięć minut. Zanim przyniosłam kubek do swojego pokoju. Postawiłam go na parapecie. Umyłam ręce, wzięłam moją książkę i wyszłam z mieszkania. Lasoccy zajmowali pokój na drugim końcu piętra. Szłam przez zagracony korytarz. Minęłam drzwi Nowaków, zza których dochodził podniesiony głos Ewy. Chyba krzyczała na Madzię. Kilkanaście metrów dalej przystanąłam przed mieszkaniem Misiaków i przez chwilę nasłuchiwałam bełkotu pana Rysia. Za drzwiami Firlejów panowała cisza, u pana Kiragi grało radio. Gdy stanęłam przed mieszkaniem Renaty, zastanowiłam się, czy mam znowu zapukać, czy może od razu nacisnąć klamkę. Zapukałam. Otworzył mi Tomek.

— Mama na panią czeka — powiedział, minął mnie i wyszedł na korytarz. Zanim zamknął drzwi, poprosił jeszcze: — Niech pani nie mówi mojej mamie, że byłem w piwnicy.

Renata podeszła do mnie. Miała miłą okrągłą twarz.

Jasne, krótkie włosy ścięte na pazia nadawały jej dziewczęcy, niewinny wygląd. Uśmiechała się. Też się uśmiechnęłam.

Podając jej książkę, powiedziałam:

— To są opowiadania kryminalne mojego autorstwa.

Mam nadzieję, że się pani spodobają. Chciałabym porozmawiać z panią i pani mężem o morderstwie Reznikowów.

147

Mam zamiar napisać powieść o tej zbrodni. Interesuje mnie, co mają do powiedzenia lokatorzy.

Mówiłam powoli, starannie układając usta, ale nie byłam pewna, czy zostałam zrozumiana. Renata wskazała ręką na krzesło przy stole. Usiadłam. Podeszła do kredensu i oparła moją książkę o stojący tam pękaty wazon, następnie podpaliła gaz pod czajnikiem. Wróciła do mnie. Podniosła ze stołu duży czerwony notes, otworzyła go i podsunęła mi pod nos. Palcem wskazała wypowiedź numer 3.

Przeczytałam:

— Kawę czy herbatę?

Patrząc na nią, poprosiłam o kawę. Wskazała kolejne

zdanie. Tym razem przeczytałam:

- Mój mąż będzie za pół godziny.

Kiwnęłam potakująco głową. Renata wróciła do części kuchennej mieszkania. Wyłożyła ciastka na talerzyk i przygotowała filiżankę. Patrzyłam na jej szerokie ramiona osłonięte jasnożółtą cienką bluzką, pod którą wyraźnie odznaczały się szerokie ramiączka biustonosza. Czarne dzinsy do kolan dobrze leżały na jej obfitych biodrach i masywnych udach. Poruszała się bardzo energicznie. Postawiła na stole dużą cukiernicę. Za chwilę doniosła kawę i ciastka. Myślałam, że usiądzie naprzeciwko mnie i porozmawiamy. Wróciła jednak do kuchni, założyła fartuch i przystąpiła do smażenia kotletów. Gdyby jakaś inna gospodyni bez słowa pozostawiła mnie samą sobie, poczułabym się nieswojo. Z Renatą było inaczej. Podświadomie uwzględniałam fakt, że jest głuchoniema i konwersowanie ze mną może być dla niej kłopotliwe.

Piłam kawę i rozglądałam się po mieszkaniu. Państwo Lasoccy zajmowali duży pokój liczący około czterdziestu

148 metrów kwadratowych. W rogu wydzielono za pomocą pilśniowych płyt niewielkie pomieszczenie. Uznałam, że jest to pokoik Tomka. Na wszystkich ścianach porozwieszane były barwne akwarele w antyramach. Dzięki nim mieszkanie stało się przytulne i radosne. Podeszłam do ściany, aby bliżej przyjrzeć się obrazkom. Większość z nich przedstawiała aniołki i kwiaty. Moją uwagę przykuł wizerunek anioła, a raczej anielicy o bardzo kobiecych kształtach. Anielica wyłaniała się z błękitnego kwiatu. Na kolejnej akwareli były trzy dzbanki, każdy innego koloru. Na dzbankach widniały czarne wzorki. Zatrzymałam wzrok na tych dzbankach, wtedy wzorki zaczęły przybierać kształt liter i układać się w zdania. Przybliżyłam twarz do akwareli i przeczytałam pierwszy napis: „Człowiek potrzebuje człowieka, żeby być człowiekiem”. Na drugim dzbanku było napisane: „Dla dobrych być dobrym i dobrym być dla niedobrych, oto najwyższa dobroć”. Trzeci dzbanek informował: „Miłość rodzi miłość”. Zaczęłam ponownie przyglądać się obrazkom. Na wielu z nich widniały sentencje. Zostały tak zręcznie wkomponowane w akwarelę, że na pierwszy rzut oka nie były widoczne. Moja dalsza kontemplacja polegała na wyszukiwaniu sentencji. Miałam ochotę zapytać Renatę, czy to ona je malowała. Postanowiłam jednak poczekać, aż skończy przygotowywać obiad. Wróciłam do stołu, zjadłam jedno ciastko i dopiłam kawę. Renata wyciągnęła z kieszeni komórkę i sprawdziła wyświetlacz. Potem napisała SMS-a. Podeszła do mnie i zabrała ze stołu filiżankę, ciastka oraz cukiernicę.

Do mieszkania wszedł Leszek Lasocki. Zaskoczył go mój widok. Zatrzymał się przy drzwiach, jakby nie był

pewien, czy wolno mu wejść dalej. Bałam się, że zaraz  
149

wymknie się pod byle pretekstem, powiedziałam więc  
uprzejmie:

- Czekam właśnie na pana.

- Na mnie? - zapytał z niedowierzaniem.

- Tak, na pana. - Wskazałam na swoją książkę opartą  
o wazon. — Jestem autorką kryminałów. Mam zamiar napi-  
sać powieść o morderstwie Reznikowów. W tej sprawie  
przyszłam do państwa. Mam nadzieję, że mi pomożecie,  
udzielając informacji.

Leszek Lasocki powoli podszedł do stołu. Długa  
chuda szyja i duże okulary w czarnych grubych oprawkach  
upodabniały go do owada. Białe, zbyt długie pasma włosów  
przyklejone do podłużnej czaszki dodawały mu lat. Wy-  
glądał na sześćdziesiątkę, ale prawdopodobnie miał mniej.  
Był przeciwieństwem swojej dorodnej, młodej żony. Po-  
myślałam, że nadawałby się jako statysta do serialu Daleko  
od noszy, błądy, chudy i wystraszony, nawet nie musieliby  
poddawać go charakteryzacji. Czarny sweter z wycięciem  
w szpic nałożony na szary podkoszulek nie poprawiał jego  
wyglądu. Nie miałam wątpliwości, że nie jest autorytetem  
dla swoich uczniów. Gdyby nawet znał kilka języków ob-  
cych, gdyby podjechał pod szkołę sportowym wozem, to  
też by mu nie pomogło.

Renata nie zapytała, czy zjem z nimi obiad. Po prostu  
postawiła przede mną talerz z ziemniakami, kotлетem i su-  
rówką ze świeżej kapusty. Państwo Lasoccy usiedli po prze-  
ciwnej stronie stołu. Obok mnie stał talerz dla Tomka, ale  
jego samego nie było. Dziwiło mnie, że żadne z rodziców  
nie idzie zawołać syna. Powiedziałam w końcu:

- Chyba Tomkowi wystygnie obiad.

Na moje słowa zareagował pan Lasocki.

150

— Syn zaraz się pojawi. Żona wysłała mu SMS-a z in-  
formacją, kiedy ma przyjść. Zwykle jest punktualny.

Drzwi otworzyły się i do mieszkania wpadł zdyszany  
Tomek. Usiadł do stołu i zaczął łapczywie jeść. Chyba  
zgłodniał, a może jedynie spieszył się do Wojtusia.

— Czy to pani akwarele? — zwróciłam się do Renaty.  
Spojrzała na czerwony notes, leżący na brzegu stołu,  
a potem na męża. Ten wyręczył ją, udzielając mi odpo-  
wiedzi:

— Żona lubi malować. Na początku chowała akwarele  
do szuflady, ale w końcu było ich tyle, że zaczęliśmy wieszać  
je na ścianach.

Po obiedzie Renata sprzątnęła ze stołu. Stała przy  
zlewku i zaczęła zmywać. Gdy Tomek wybiegł z miesz-  
kania, zwróciłam się do Leszka Lasockiego, pytając  
wprost:

— Co pan wie o morderstwie Reznikowów?

Głowa kiwała mu się na chudej szyi. Zdjął okulary, bez nich wyglądał jeszcze żałośniej.

— Dlaczego pani myśli, że coś wiem na ten temat? Żle pani trafiła, od nas nic pani nie wyciągnie.

— Nie mam zamiaru niczego od was wyciągać. Jeżeli coś pan mi powie, to tylko z własnej woli. Jeżeli nie chce pan mówić o samym zabójstwie, to może opowie mi pan o Reznikowach. Jacy byli, z kim się przyjaźnili i tego typu rzeczy.

Leszek Lasocki bawił się okularami. Nie patrząc na mnie, zaczął mówić:

— O tym zabójstwie mogę powiedzieć tylko tyle, że nie powinno do niego dojść. Mamy nadzieję, że Sonia żyje, że wkrótce się odnajdzie. Postanowiliśmy, że ją przygarniemy  
151

i będziemy kochać jak własne dziecko. Wyprowadzimy się stąd, a Sonię zabierzemy ze sobą. Ona nie powinna mieszkać w miejscu, gdzie zamordowano jej rodziców.

Renata skończyła zmywać. Wytarła ręce i podeszła do nas. Z dłoni męża wyjęła okulary, przeczyściła je i nałożyła mu na nos.

— Czy coś jeszcze chce mi pan powiedzieć? — zapytałam.

— Nie. To już wszystko — odparł i spuścił głowę.

Renata napisała coś w notesie i podała go mężowi.

Przeczytał, zamknął głośno notatnik i oznajmił:

— Moja żona chce, abym powiedział pani wszystko, co wiemy.

Kręcił się na krześle, chrząkał, kartkował czerwony notes. Widać było, że nie ma ochoty wyjawić mi swojej wiedzy, że robi to wyłącznie na życzenie żony. W końcu zaczął mówić:

— Dwa dni przed morderstwem przyszła do nas Ludmiła. Powiedziała, że się boi o siebie, córkę i męża. Była bardzo zaniepokojona. Zdziwił mnie ten jej niepokój. Nigdy jej takiej nie widziałem. Zawsze była pewna siebie i opanowana. Próbowalem się dowiedzieć, czego właściwie się boi, ale ona powtarzała w kółko, że są w niebezpieczeństwie. Mówiła, że powinni się stąd wyprowadzić, ale Wołodia nie chce. Mówiła o nim, że jest jak niedźwiedź, silny i głupi, że nie zdaje sobie sprawy, co im grozi. Powiedziała, że Wołodia ryzykuje życiem jej i córki. Mimo moich nalegań nie wyjawiała, o co chodzi. Spod swetra wyjęła szarą kopertę i poprosiła, żebym ją przechował. Oczywiście zgodziłem się. Chociaż w taki sposób mogłem jej pomóc. Musiałem jej przysięgać, że nikomu o tej kopercie nie powiem,  
152

że schowam ją w bezpiecznym miejscu. Nie zapytałem, co w niej jest. Otworzyłem ją dopiero tydzień po ich

śmierci.

Leszek Lasocki podszedł do komody i zdjął ze ściany akwarelę. Położył ją na stole i rozmontował antyramę. Między dwiema szybkami znajdował się obrazek, a pod nim szara koperta. Otworzył ją i wyjął złożoną na pół kartkę, którą podał mi, mówiąc:

- To właśnie dała mi na przechowanie Ludmiła.

Trzymałam w ręku poślizgnięty gruby papier. Widniało na nim od ręcznego wyblakłe pismo. Nagłówek zapisany większymi literami był dla mnie czytelny: „Das Testament”. U dołu dokumentu zobaczyłam datę: „Ponarien, der 19 Januar 1945”. Domyśliłam się, że Ponarien to niemiecka nazwa Ponar. Przystąpiłam do rozszyfrowywania podpisu. Literując, odczytałam imię i nazwisko: „Benita von der Groeben”. A zatem był to sporządzony po niemiecku testament ostatnich właścicieli pałacu.

Pan Lasocki wręczył mi kolejną kartkę i powiedział:

- To jest tłumaczenie. Sam je zrobiłem. Znam trochę niemiecki, wspierałem się też słownikiem.

Zacząłam głośno czytać:

- „Ja, niżej podpisana Benita von der Groeben, urodzona w 1887 roku pozostawiam moją własność, pałac nad jeziorem Ponary, Siergiejowi Reznikow, urodzonemu w 1912 roku. Jednocześnie wydziedziczam mojego syna Hermana von der Groeben”.

Czułam, że ten dokument to klucz do zagadki morderstwa, motyw, którego kazał mi szukać Adam Kirage. Musiałam jeszcze tylko dopasować do niego zamek i przekręcić klucz we właściwą stronę.

153

- Zdołał pan ustalić, kim jest Siergiej Reznikow? - z pytałam.

- Domyślałam się, że to krewny Wołodii, najprawdopodobniej jego ojciec. W Ponarach i okolicznych miejscowościach mówi się, że ostatnia właścicielka pałacu Benita von der Groeben została zastrzelona przez radzieckiego oficera. Podobno zabił ją, bo wygrała z nim w szachy. To było w styczniu 1945 roku, data na testamencie się zgadza. Wygląda na to, że to ojciec Wołodii albo inny jego krewny zabił panią von der Groeben. Ona prawdopodobnie próbowała ocalić swoje życie, przekupując go pałacem. Siergiej Reznikow wziął testament, choć był on dla niego bezwartościowy. Wiadomo, że w tamtych czasach nie mógłby stać się właścicielem arystokratycznej posiadłości. Po Siergieju testament odziedziczył Wołodia i chyba postanowił upomnieć się o swoje.

Leszek Lasocki włożył testament i tłumaczenie do koperty. Żona podsunęła mu antyramę. Zaczął ją składać, chowając kopertę między akwarelę a tylną szybką. Nagle wszystko odłożył i machnął ze zrezygnowaniem ręką.



Załamującym się głosem oznajmił:

— Nie ma sensu tego chować, przecież Ludmiła już po to nie przyjdzie. Powiniennem zanieść ten testament na policję. - Pociągając głóśno nosem, zwrócił się do mnie: - pani o tym wszystkim sądzi?

— Myślę, że Reznikowowie zginęli przez ten testament. Wołodia zapewne chciał zostać właścicielem pałacu. Od Joanny wiem, że Reznikowowie planowali sprzedać niebieski bursztyn, posag Ludmiły. Potrzebne były im pieniądze, zapewne na adwokata. Sprawa byłaby trudna do wygrania, ale nie niemożliwa. Problemem byłyby intencje autorki

154 testamentu, pisała go pod presją. Myślę jednak, że dobry adwokat by sobie z tym poradził. Ktoś jednak dowiedział się o planach Wołodii i postanowił zapobiec przejęciu tej nieruchomości. Nie rozumiem tylko, dlaczego temu komuś tak bardzo zależało na powstrzymaniu Reznikowa, że aż go zabił.

—Ja wszystko rozumiem — powiedział Lasocki. — Myślę podobnie jak pani, że chodzi o testament. Wołodia to był gaduła. Jak sobie wypił, usta mu się nie zamykały. Jestem pewien, że komuś się pochwalił, prawdopodobnie Nowakowi. Nowak przekazał tę wiadomość dalej. No i sąsiedzi się wściekli. Postanowili, że nie oddadzą Ruskom swoich mieszkań.

Kręciłam przecząco głową. Nie mogłam się z tym zgodzić, bo w wywodzie pana Lasockiego brakowało logiki. - Przecież nikt by ich nie wyrzucił na bruk - zaczęłam tłumaczyć. — Gmina zapewniłaby im nowe, może nawet lepsze lokale. Poza tym, niektórzy z ich są tu tylko tymczasowo, podnajmują mieszkania od prawowitych lokatorów. Anka z Mariuszem pomieszkują w mieszkaniu należącym do jej kuzynki.

Zaskoczyła mnie gwałtowna reakcja pana Lasockiego. Głowa latała mu we wszystkie strony, jakby w ogóle nie miał kręgow szyjnych. Otwartymi ustami łapał powietrze. Jego głos zamienił się w nieprzyjemny pisk.

- Czy pani wie, co to jest zawiść? Wszyscy jesteśmy biedni, równi i nagle Reznikowowie mieliby się wybić. Z sąsiadów mieliby się stać panami. Oni, obcy, Ruscy, pokazaliby nam, Polaczkom, gdzie nasze miejsce. I tak wszystkie kobiety zazdrościły Ludmile urody i miały do niej pretensję, że jest taka dumna. Przejęcia pałacu by jej

155 nie podarowały. Wołałyby ją zabić. Nienawiść połączyła ludzi. Zmówili się, Nowakowie, Firlejowie, Kirage, Mariusz, Anka, Robert, Joanna. Zmówili się i zabili Reznikowów. Nie dziwi pani, że nikt nie słyszał, jak ich mordowano? Wierzy pani, że jedna osoba zdołała zabić wielkiego Wołodię, jego żonę i jeszcze ukryć żywą bądź martwą Sonię. Ja nie jestem

aż tak naiwny. Uważam, że zrobili to we trzech, Mariusz, Nowak i Kirage. Profesor Firlej i Robert nie brali bezpośredniego udziału w zabójstwie. Ich uczestnictwo było jednak kluczowe, bo to oni zaplanowali morderstwo i czuwali nad jego przebiegiem. Wydaje mi się, że Marta Kruczek i pani Blumfeld o niczym nie wiedziały. Mnie i mojej żony też nie próbowali wciągnąć w tę zbrodnię, bo wiedzieli, że im się to nie uda, że uprzedzimy Reznikowów. Na pewno nie wtajemniczyli też Misiaków.

- Czy pan nie przesadza? — zapytałam.

— Nie, nie przesadzam. Niech pani pamięta, że ja patrzyłem na nich, na ich reakcję, gdy odkryliśmy ciała Reznikowów. Najpierw Firlej i Nowak stanęli nad zwłokami. Spoglądali na siebie porozumiewawczo. Profesor z uznaniem kiwnął głową, Nowak się uśmiechnął, jego kąciki ust uniosły się tylko na moment, ale zdążyłem to zauważyć. Nie mogłem znieść potworności tej zbrodni i ich spokojnych rzeczowych uwag. Rzuciłem się do ucieczki. Biegając korytarzem, minąłem Adama Kirage i Roberta. Dobrze pamiętam ich drapieżne, zadowolone twarze.

Rozdział XIV

Stałam przy oknie w swoim pokoju. Żółtawe strumienie deszczu spływały po brudnej szybie. Lało od kilku godzin i nie zapowiadało się na poprawę. Sine niebo zmieniło barwę na atramentową. W ogrodzie stały ogromne kałuże. Woda wyzłobiła sobie rów w żwirowej drodze prowadzącej do jeziora i spienionym strumieniem płynęła w dół. Patrzyłam na ponury krajobraz i myślałam o spiskowej teorii, jaką kilka dni temu przedstawiła mi ekspedientka w sklepie. Wtedy nie potraktowałam poważnie przypuszczenia, że mordercami mogą być wszyscy mieszkańcy pałacu, jak to się zdarzyło w Orient Expressie. Ale wczoraj podobną teorię wyłożył Leszek Lasocki i musiałam przyznać, że coś w niej jest. Skuliłam się, w mieszkaniu było wilgotno i zimno. Z tęsknotą pomyślałam o przytulnej komnacie pani Blumfeld z kominkiem, w którym pali się ogień.

Wciągnęłam polar na sweter, usiadłam do laptopa i zaczęłam przeglądać kronikę kryminalną:

157

Mechanik znalazł w fordzie kawałek ludzkiego nosa

Policjanci zatrzymali dwudziestosześcioletnią kobietę podejrzaną o śmiertelne potrącenie mężczyzny- Sprawczyni uciekła z miejsca wypadku. Sprawa wyszła na jaw, gdy mechanik naprawiający jej auto znalazł fragment ludzkiego nosa.

Najpierw napad, później obiad, a na końcu odsiadka

Dwaj młodzi rabusie od kilku miesięcy siali postrach w województwie warmińsko-mazurskim, gdzie napadali na sklepy spożyw-

cze i stacje benzynowe. Gdy wpadli w ręce policji, okazało się, że skradzione pieniądze przeznaczali na obiady w McDonalds. Jechał pijany, ruszyło go sumienie i wezwał policję Sławomir J., mając 2,1 promila alkoholu w organizmie, urządził sobie przejażdżkę cudzym samochodem. W czasie podróży zaczęły go dręczyć wyrzuty sumienia, doniósł więc na siebie policji. Ukradli mu bojler, który sam wcześniej ukradł Józef C. powiadomił policję, że ktoś ukradł mu grzejnik i bojler. Urządzenia zginęły z podwórka domu w Nowym Mieście Lubawskim. Kiedy funkcjonariusze szukali sprawców kradzieży, w komendzie pojawił się inny Nowomieszczanin, który twierdził, że jemu również zginął grzejnik i bojler. Policjanci ustalili, że to właśnie Józef C. ukradł te urządzenia, a potem sam został okradziony. Przywłaszczył sobie telefon, teraz odpowie przed sądem

Dwudziestotrzylatek znalazł aparat komórkowy dwa miesiące temu na osiedlowym chodniku. Postanowił go zatrzymać, ale przywłasz-

158  
czenie telefonu to przestępstwo. Ze swojego postępków będzie tłumaczył się przed sądem. Grozi mu do trzech lat pozbawienia wolności.

Ktoś energicznie zapukał do moich drzwi. To była Anka. Wtoczyła się do pokoju, podtrzymując rękami ogromny brzuch. Czerwony sweter był zapięty tylko na piersiach. Nie wyglądała dobrze, miała opuchniętą twarz i przymknięte oczy. Oddychała z trudem, łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami. Opadła ciężko na wersalkę, aż sprężyny zajęczały. Bez słowa podałam jej szklankę wody. Wypiła i powiedziała:

- Znaleźli Sonię.

- Gdzie ją znaleźli?

- Pod kurhanem.

- A więc nie żyje.

- Tak, nie żyje. Chyba nie jesteś zaskoczona? Wszyscy podświadomie wiedzieliśmy, że ona nie żyje. Ja też to wiedziałam, ale jak usłyszałam, że znaleźli jej ciało, to się płakałam. Mariusz stwierdził, że to ciąża tak mnie rozmiękcza. On nie lubi, jak kobiety ryczą.

Wyjęła z kieszeni czerwonego swetra zgniecioną paczkę papierosów i pudełko zapalek. Oparła się łokciem o poręcz. Przez chwilę bawiła się papierosem, potem niespiesznie zapaliła zapalną. Widać było, że te czynności sprawiają jej przyjemność. Trzymając papierosa w ustach, powiedziała:

- Sonia nie żyje. To chyba ważna informacja dla ciebie, dla twojej powieści.

Kiwnęłam twierdząco głową i zapytałam:

- Gdzie jest ten kurhan, w którym znaleziono Sonię?

- Nie wiem, w którym ją znaleziono. My tu mamy pięć kurhanów, to są jakieś zabytki archeologiczne. Jeżeli chcesz

159

coś więcej wiedzieć na ich temat, to pogadaj z Robertem.

On się tym interesuje, dla mnie to zwykle usypiska ziemi. Te kurhany znajdują się w odległości kilometra, może półtora od pałacu.

Pochyliła się do przodu i strzepnęła popiół na chusteczkę higieniczną. Lewą dłoń trzymała na wydętym brzuchu.

- Nie powinnaś palić - wyrwało mi się.

- Wiem o tym. Nie potrafię jednak przestać.

- Napijesz się herbaty z miodem? - zapytałam.

Pokręciła przecząco głową.

- Zaraz wracam do siebie. Mariusz chce, żebym usmażyła mu naleśniki.

Pokazując na laptopa, powiedziałam:

- Przeglądałam właśnie kronikę policyjną na olsztyńskiej stronie. Jeszcze nie ma komunikatu o znalezieniu ciała Soni Reznikow.

Anka wypuściła siwy obłok dymu i rzekła:

- To wiadomość z ostatniej chwili. Radio Olsztyn ją podało. Oczywiście nikt nie zidentyfikował zwłok, ale policja przypuszcza, że to właśnie Sonia.

Patrząc na żarzącą się końcówkę papierosa, zaczęłam mówić:

- Misiakowa zdradziła mi, że przyłapała Sonię w intymnej sytuacji z jakimś dorosłym facetem. Czy wiesz, kim jest ten mężczyzna?

Anka, nie wyjmując papierosa z ust, wyrzuciła z siebie kilka słów:

- Ja pierdołę! To na pewno był Robert, bo przecież to nie mógł być nikt inny. Gdyby Joanna dowiedziała się o tym, to by mu jaja urwała. - Nosem wypuściła kolejny obłok dymu i spokojniej dodała:

- Ale czy Misiakowej można wierzyć? Ja niczego nie zauważyłam. Owszem, Sonia podrywała Roberta, ale to były dziecinne zaloty. Gdy widziałam, jak przewraca oczami i robi do niego słodkie minki, to czasami brało mnie na śmiech. Nie sądzę, żeby on na to poleciał.

W szybę uderzył silny podmuch wiatru wraz z grubymi kroplami deszczu. Anka spojrzała w okno i powiedziała:

— Jak będzie dalej tak lało, to trudno będzie stąd wyjechać samochodem. Dla mnie i Mariusza to może być duży problem, bo ja niedługo się rozsypię. Dzisiaj ledwo się wczłapałam po tych schodach.

Deszcz przybierał na sile. Jak zahipnotyzowane wpatrywałyśmy się w szarą ścianę wody i wsłuchiwałyśmy się w ryk ulewy połączony z hukiem wiatru. W pokoju zrobiło się ciemno. Nacisnęłam włącznik światła.

— Skąd masz mój kubek? — zapytała zaskoczona.

— Znalazłam go w piwnicy.

Zgasiała niewypalonego do końca papierosa i zawinęła go w chusteczkę higieniczną. Podniosła się ciężko i podeszła do zlewu. Odkręciła kran, zmoczyła chusteczkę z niedopalkiem, a następnie wyrzuciła zawiniątko do kosza. Stała przy parapecie i wzięła kubek.

— Znalazłam go w piwnicy, w środku były fusy po kawie - powtórzyłam.

Obracając nerwowo kubek w rękach, zaczęła mówić:

— Mariusz lubi chodzić po pałacu z kawą. On nigdy nie usiedzi w miejscu. Łazi tak i łązi, z piwem albo z kawą. Ja mu mówię, żeby usiadł, posiedział ze mną i ze mną wypił tę kawę, a on bierze kubek i wychodzi. Każdy ci powie, że

161  
on łązi po pałacu i zwykle coś pije. Na pewno zszedł z kawą do piwnicy i tam zostawił kubek.

Mówiła bardzo szybko, nie patrząc na mnie. Miałam wrażenie, że stoi przede mną mała dziewczynka, która za potokiem słów próbuje ukryć prawdę. Gdy pierwszy raz opowiadała mi o Reznikowach też wyrzucała z siebie zdania z prędkością karabinu maszynowego. Może wtedy również chciała zagadać, zasypać słowami to, co naprawdę ważne.

— Powiedz swojemu Mariuszowi, żeby do mnie przyszedł. Chcę z nim porozmawiać.

— On nie lubi gadać, zwłaszcza z kobietami. Uważa, że my potrafimy mówić tylko o podpaskach i tipsach.

— Przekonaj go, żeby do mnie przyszedł, to w jego interesie.

— Czego od niego chcesz? — zapytała zaniepokojona.

— On sam się przekona, jak do mnie przyjdzie.

Ujęłam ją pod rękę i podprowadziłam do drzwi.

Miałam nadzieję, że jej niepokój udzieli się Mariuszowi. Gdy czemuś winni ludzie tracą poczucie bezpieczeństwa, zwykle dużo mówią, bo czują potrzebę usprawiedliwienia się. Chciałam, aby facet Anki przyszedł do mnie z zamiarem udowodnienia swojej niewinności, może wtedy nie będę musiała ciągnąć go za język.

Usiadłam do laptopa i kontynuowałam przeglądanie kroniki kryminalnej. Komunikatu o znalezieniu ciała Soni wciąż nie było. Czas płynął, a Mariusz nie przychodził. Gdy zegar komputerowy pokazał dziewiętnastą, ktoś zapukał. Otworzyłam drzwi i zobaczyłam wielką sylwetkę w dresie. Widziałam go parę razy z daleka i wiedziałam, że jest duży, ale z bliska jego postura robiła jeszcze większe wrażenie.

162

— Siemanko. Anka chciała, żebyś podrzucił pani kawę - powiedział grubym głosem.

W olbrzymiej dłoni trzymał małą paczkę kawy.

— Czy Wołodia był tak wielki jak pan? - zapytałam.

-Jaki ja tam pan, Mariusz jestem. A Wołodii trochę do

mnie brakowało.

Odsunęłam się, gestem zapraszając go do środka. Nie ruszył się jednak.

— Muszę wracać, moja kobieta smaży naleśniki.

— Chciałam z tobą porozmawiać. Anka ci nie mówiła?

— Miałem tylko przynieść pani kawę — rzekł i z ociąganiem wszedł do pokoju.

Była w nim jakaś niezdarność. Ciężko opadł na wersalkę, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie wcześniej siedziała jego dziewczyna. Pod nim również zajęczały sprężyny. Usiadłam naprzeciwko niego i zapytałam:

— Anka wspomniała ci, że znalazłam w piwnicy wasz kubek z fusami po kawie?

— Coś tam głądziła, ale nie słuchałem. A pani niech, kurde, nie chodzi po piwnicach, bo tam są nierówne schody. Można się, kurde, potknąć i skrócić kark. No nie?

— Szkoda, że twój znajomy, niejaki Major, nie skrócił karku na tych schodach, bo gdyby się na nich zabił, to może Reznikowowie by dzisiaj żyli. Wiem, że w piwnicy pałacu ukrywałś Majora. Wiem, że to on jest mordercą. Chciałabym wiedzieć, czy pomogłeś mu w zabiciu Reznikowów. Krótkim zdaniem skomentował moje słowa. Potakując głową, powiedział:

— A w tej bajce były smoki.

Pochyliłam się do przodu. Poczułam od niego woń potu i dymu papierosowego.

163

- Jeżeli nie porozmawiasz ze mną na ten temat, to pójdę do Anki i ją zapytam o Majora. Na pewno się zdenewruje, zacznie płakać, ale może coś ciekawego mi powie.

- Nie chce mi się z panią gadać - rzekł takim tonem, jakby wygłaszał kwestię przed kamerą.

- W takim razie chodźmy do Anki. - Podniosłam się z krzesła.

Mariusz nie wstał. Patrzyłam teraz na niego z góry.

Jego łysa głowa osadzona na olbrzymim tułowiu wydawała się śmiesznie mała.

- O co, kurde, pani chodzi? — zapytał.

Usiadłam z powrotem i zaczęłam spokojnie wyjaśniać:

- Czytałam w Internecie o ucieczce Majora z aresztu w Morągu. Od Joanny wiem, że policja szukała go w pałacu. To było na cztery dni przed zabójstwem Reznikowów. Nie podejrzewałabym cię, gdyby nie wasz kubek w piwnicy. Nie przekonasz mnie, że poszedłeś sobie tam na kawę. Nie dziw się, że próbuję połączyć wszystkie fakty. To nie jest jakaś błaha sprawa, tutaj chodzi o morderstwo.

- A mi się wydaje, że pani chodzi tylko o kasę, jaką pani zarobi na swojej powieści. Napisze pani, że Major ich

zabił, i w dupie będzie pani miała fakt, że ktoś za to zapłaci głową.

Już wiedziałam, czego Mariusz się boi. Mało przyjemnym głosem oznajmiłam:

- Tak, napiszę, że Major zabił Reznikowów, napiszę też, że ty go sypnąłeś. Jak tylko Anka urodzi, pakujcie się i uciekajcie, najlepiej za granicę, może tam ludzie Majora was nie znajdą.

164

Ulewa zmieniła się w umiarkowany deszcz. Wiatr chyba ucichł, bo futryna przestała trzeszczeć. Mariusz milczał przez chwilę, potem powiedział:

- Opowiem pani jak to było. Może przekonam panią, że warto do książki znaleźć innego podejrzanego.

Relacja Mariusza z mieszkania numer 3

Major to mój ziomal, wychowaliśmy się na tej samej dzielnicy. Poznałem go jak miałem dziewięć lat. On był starszy ode mnie o trzy lata, a mimo to traktował mnie jak kumpla. Z nim wypaliłem pierwszą fajkę i obaliłem pierwszego browara. Wtedy Major był dla mnie ważniejszy niż moi starzy. Kurde, jakie to były piękne czasy. Nazywaliśmy go Majorem, bo jego ojciec był wojskowym. Major to był gość. Nigdy nie zapomnę, że nie wydał mnie psom, gdy razem robiliśmy kiosk. Ja stałem na czatach i zdążyłem zwiać, gdy dyskoteki nadjechały. Jego, niestety, złapali. Raz sam zrobiłem włam do przedszkola, w którym sprzątała moja matka. Wyniosłem stamtąd maszynę do pisania i aparat telefoniczny. Nie wiedziałem, co mam z tym zrobić, zanieśli więc fanty do Majora. Schowaliśmy je w szafie u niego w pokoju. Na drugi dzień znalazła je jego stara. Ojciec łał go wojskowym pasem, ale on nie zdradził, że to ja przyniosłem. Przez trzy lata razem szorowaliśmy butem po rewirze, do czasu aż Major poszedł do poprawczaka. Na dzielnicę już, kurde, nie wrócił, bo jego ojca przenieśli do innego miasta. Cztery lata temu spotkałem Majora w Miłokajkach. Pracowałem tam jako bramkarz. Przyszedł do klubu z jakimiś nadzianymi facetami. Zaproponował mi robotę u siebie. Na początku się napaliłem. Nie powiem, lubię

165

łatwą kasę. Ale jak się dowiedziałem, na czym to tak naprawdę polega, to się, kurde, wycofałem. Na samo ściąganie haraczy, zastraszanie to bym jeszcze poszedł, ale porywanie ludzi to poważna sprawa. Wolę ściągać paliwo z tirów stojących na parkingach i nim handlować. Jak mnie złapią, to dostanę rok albo dwa, może nawet w zawiasach, ale na pewno nie pójdę do pierdła na piętnaście lat.

Z Majorem spotykałem się od czasu do czasu na popijawę, bilard i panienki. Koło niego zawsze kręciło się dużo lasek, bo lubił rozdawać prezenty. Mi też dawał różne rzeczy, najczęściej drogie alkohole, chociaż ja najchętniej

piję browar. Prawie padłem trupem, gdy trzy lata temu подарował mi swojego harleya. Niestety, musiałem go opylić, bo wciągnąłem się w jednorękiego bandytę. Do dzisiaj gram, parę miesięcy temu miałem spory dług u Fryzjera. Masakra. Ludzie Fryzjera mi grozili, w dodatku Anka truła, że nie ma pieniędzy na łóżeczko dla Rumcajsa. Poprosiłem Majora, żeby pomógł mi spłacić ten dług. Obiecałem, że odrobię to u niego. Zgodziłem się wziąć udział w porwaniu. Major dał mi pieniądze z góry i jakiś czas później go zatrzymali. Nie ukrywam, że kamień, kurde, spadł mi z serca. Dług u Fryzjera miałem spłacony, porwaniem nie musiałem się martwić, bo Major siedział. Długo się, kurde, nie cieszyłem spokojem. Usłyszałem, że Major nawiał z aresztu w Morągu. Z Morąga do Ponar rzut kamieniem, czułem, że tu przyjdzie. Masakra. Z drugiej strony liczyłem, kurde, na to, że nie będzie aż taki głupi. Przecież psiarze dobrze wiedzą, że się znamy, i mogą go u mnie szukać.

Z aresztu urwał się w poniedziałek, w pałacu pojawił się we wtorek późnym wieczorem. Po prostu zapukał do drzwi mojego mieszkania i zapytał, czy go przechowam.

166

Myślałem, że się, kurde, przekręcę. Powiedział mi, że przez dwa dni krążył po lesie. Dziwne, że psy go nie wywęszyły. Pod pałacem był już w nocy z poniedziałku na wtorek, ale nie mógł wejść, bo brama akurat była zamknięta na klucz. Nie wiedziałem, kurde, co mam robić. Nie mogłem wpuścić go do pokoju. Anka spała. Bałem się, że zaraz się obudzi i narobi krzyku. Zaprowadziłem Majora do piwnicy, dałem mu koc i poduszkę. Wróciłem do siebie i całą noc myślałem, jak rozwiązać tę sprawę. Chciałem pomóc ziomalowi i ocalić własny tyłek. Wiedziałem, że psy przyjdą do pałacu. Bałem się, że zaraz wejdą do pokoju i wywleką nas z łóżka. Masakra. Musiałem znaleźć Majorowi jakąś kryjówkę poza pałacem. Od tego rozmyślania baniak mi pękał, ale w końcu, kurde, wykombinowałem, gdzie go ukryć na najbliższych kilkanaście godzin. Przy pomoście stoją dwie stare łodzie. Oficjalnie są niczyje, należą do wyposażenia pałacu, ale tak naprawdę jedną przywłaszczył sobie Nowak, a drugą Wołodia. Uznałem, że łódź ukryta w wysokich trzcinach przy którejś z wysepek będzie najlepszą kryjówką. O czwartej rano zacząłem akcję. Najpierw po cichu wyjąłem z łodówki trochę żarcia, wodę i browar. Zapakowałem wszystko do siatki, dorzuciłem też gazetę z gołymi babkami, żeby Major się nie nudził, i na palcach wymknąłem się z mieszkania. Na szczęście Anka, od czasu, jak jest w ciąży, śpi jak zabita.

Wyszedłem przed pałac, żeby sprawdzić, czy teren jest czysty. Doszedłem do pomostu i przyjrzałem się łodziom. Jedno mnie niepokoiło. Co zrobią Reznikow i Nowak, jak zobaczą, że jedna łódź się ulotniła? Prawdopodobnie



wsiądną w drugą i popłyną na jezioro szukać tej zaginionej. Nie miałem, kurde, wyjścia, musiałem jednego z nich  
167

wtajemniczyć w akcję. Zostawiłem siatkę na pomoście i ruszyłem do pałacu. Plan był taki: najpierw wyprowadzić Majora z piwnicy, póki ciemno, i ulokować w łódce, ale tak, aby nawet Romel tego nie zauważył. Potem o przyzwoitej godzinie miałem iść do Wołodii i jakoś wyjaśnić mu, gdzie podziła się łódka. Już na samym początku wszystko się, kurde, sypnęło. Wchodząc na dziedziniec, wpadłem na Sonię. Masakra. Gdy się zderzyliśmy, tak się wystraszyła, że aż wrzasnęła. Dostoczył do nas jej ojciec. Dobrze, że mnie, kurde, w porę rozpoznał i nie skrzył mi karku. Poklepał mnie po plecach i powiedział, że wziął mnie za tego bandytę, który uciekł z aresztu. Wołodia trzymał w ręku dwie wędki. Szedł na ryby. Były wakacje, wziął więc ze sobą córkę. Miałem totalny mętlik w głowie. Nie wiedziałem, co mam, kurde, robić. Gdyby Wołodia był sam, poprosiłbym go o pomoc, ale kobiet i dzieci w takie sprawy nie należy mieszać. Poszedłem za nimi na pomost. Sonia od razu zauważyła siatkę, którą tam zostawiłem. Odciągnąłem Reznikowa na bok i, kurde, powiedziałem mu o Majorze i moim pomysle, aby ukryć ziomala na łodzi w trzcinach.

Wołodia cmokał, sapał, a czas leciał, robiło się już widno. W każdej chwili mogli przyjechać psiarze i zgarnać mnie i Majora. Gotowało się we mnie. Miałem ochotę dać temu Ruskowi w mordę, ale jakoś się pohamowałem. W końcu, kurde, wystękał, że łódź nie nadaje się na kryjówkę. Wziąłem siatkę i chciałem wrócić do pałacu, ale mnie zatrzymał. Reznikow to jednak był, kurde, ziomuś, chociaż Rusek. Spokojnie wytłumaczył mi, że psy mają lornetki i motorówki, że będą sprawdzać okoliczne wysepki i szybko znajdą łódź stojącą w trzcinach. Zaproponował, kurde, coś innego, jego zdaniem pewniejszego. Kazał mi  
168

natychmiast przyprowadzić Majora. Pokazałem na Sonię. Zajarzył, o co mi chodzi i pogonił córkę do domu. Wracała do pałacu, powłócząc nogami. Nie była zadowolona, że ją splawiamy. Szedłem za nią. Na korytarzu poczekałem, aż wejdzie na górę, dopiero potem zszedłem do piwnicy. Gdy wyszliśmy z Majorem na korytarz, Sonia stała na schodach. Masakra. Wróciła, żeby sprawdzić, co robię. Wścibska gówniara. Gdyby to była moja córka, przelożyłbym ją, kurde, przez kolano i wlał w ten mały tyłek. Powiedziałem Wołodii, że Sonia nas widziała. Zapewnił, że ona nikomu słowa nie piśnie. Reznikow kazał Majorowi wejść pod pomost i wcisnąć się na wąską półkę, która znajduje się zaraz na początku pomostu. Niewiele tam było miejsca. Masakra. Musiał leżeć na boku z podkulonymi nogami. Ale on wtedy, kurde, kłął, nie miał jednak wyjścia. Dałem mu trzy batony,

pół chleba i butelkę wody. Na wypadek pojawienia się gliniarzy, miał zsunąć się do wody. Obiecałem, że potem znajdę dla niego lepszą kryjówkę.

Psiarze przyjechali dopiero o szesnastej. Przetrzęsnęli cały pałac. Jak zobaczyłem, że mają ze sobą psy tropiące, to mnie, kurde, siódme poty oblały. Myślałem, że psy go wywęszą, ale nic z tego. Doprowadziły gliniarzy do piwnicy i na pomost, ale tym kretynom nie przyszło do głowy, żeby zajrzeć pod pomost. Pytali jedynie, czy mamy więcej łodzi, czy tylko te dwie. Dobrze, że Reznikow odradził mi tę kryjówkę na łodzi. On to jednak był łepski facet, szkoda go, jego kobiety i córki też. Gliniarze rozmawiali prawie ze wszystkimi i pokazywali zdjęcie Majora. Mnie, kurde, przycisnęli porządnie, ale nic im to nie dało. Przyznałem się, że znam Majora, ale oni o tym dobrze wiedzieli. Straszili mnie, kurde, przesłuchaniem na komendzie, a nawet aresztem.

169

Zacząłem udawać, że mięknię. Podłapali to. W końcu spuściłem głowę i powiedziałem, że ukryłem go w komórce. Zapytali, gdzie jest ta komórka. A ja wtedy wyjąłem z kieszeni telefon i powiedziałem: „Tutaj”. Ale im szczęki opadły! Wrzucili mnie do kabaryny i zawieźli na komendę. Tam dalej mnie cisnęli. Myśleli, że Anka coś im powie. Próbowali ją, kurde, podejść. Mówili jej, że grozi mi pięć lat, a ona może mnie uchronić przed odsiadką, wystarczy, że powie, czy był tu Major. Oczywiście powiedziała tyle, ile, kurde, wiedziała, czyli zeznała, że go nie było. Nie dała się długo męczyć. Położyła się na wyrku i oświadczyła, że się źle czuje. Co w takiej sytuacji mieli zrobić gliniarze? Musieli wyjść, bo przecież nie będą się, kurde, znęcać nad kobietą z brzuchem. Baby to jednak mają dobrze, zajdzie sobie taka w ciążę i już jest nietykalna.

Do domu wróciłem późnym wieczorem. Już było ciemno. Zastanawiałem się, czy pójść po Majora. Bałem się, kurde, że gdzieś w pobliżu została jakaś menda, aby mieć mnie na oku. Wyszedłem z fajkami przed pałac. Krążyłem wokół, nikogo nie zauważyłem. Postanowiłem jednak, że nie zabiorę Majora do piwnicy. Niech lepiej nocuje pod pomostem albo w łódce. Jak, kurde, pojawią się psy, rzuci się do jeziora, może pod osłoną nocy zdoła zwiać. Gdy Anka usnęła, zgarnąłem trochę jedzenia, dresy i koc. Poszedłem z tym do Wołodii. Nie musiałem mu, kurde, tłumaczyć, co ma zrobić. Wziął mój majdan, wiadro, wędki i podreptał na pomost. Wrócił po dwóch godzinach. Była już północ. Czekałem na niego na korytarzu. W wiadrze miał trzy małe płotki. Poklepał mnie po plecach i kazał wracać do wyra. Kurde, jaki z niego był ziomus. Następnego dnia rano znowu przyjechali gliniarze, trochę się pokręcili i odjechali.

170

Dopiero trzeciej nocy zabrałem Majora do piwnicy, to było

w piątek. Psiarze trochę odpuścili. Właśnie w piątek dwa razy jeździłem do Miłakowa i nie trafiłem na żaden patrol. Niestety, jak szykowałem żarcie dla Majora, Anka mnie, kurde, przyłapała. Masakra. Od razu zakumała, co jest grane. Wcześniej zapewniałem ją, że nie mam nic wspólnego z ucieczką Majora. Zaczęła ryczeć. Straszyla mnie, że przeze mnie poroni. Obiecałem jej, kurde, że następnego dnia go splawię. Całą sobotę jeździłem samochodem po okolicy i sprawdzałem, gdzie stoją psy. Wieczorem powiedziałem Majorowi, że w niedzielę zawiozę go w bagażniku do Warszawy. Nie chciał się zgodzić, twierdził, kurde, że to nie wypali. Udało mi się go jednak przekonać. Powiedziałem mu, że moja kobieta pojedzie z nami i gdy policja nas zatrzyma, ona, kurde, zacznie udawać, że rodzi. To nie był zły pomysł, Anka w siódmym miesiącu wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozsypać. Musiałem tylko jeszcze ją przekonać, żeby pojechała ze mną do Warszawy. To nawet, kurde, nie było trudne. Obiecałem jej zakupy w „Złoty Tarasach”. Powiedziałem jej też, że w nocy Major wyjdzie z pałacu i ukryje się w lesie, skąd zabierze go jedna z jego lasek.

Wszystko poszło jak po maśle. Najpierw wyprowadziłem Majora i zamknąłem go w bagażniku. Dwie godziny później wsiedliśmy z Anką do samochodu. Prawie całą drogę kimała na przednim siedzeniu. Planowałem, że powiem jej o przewożonej bombie zegarowej dopiero wtedy, gdy trafimy na patrol. Miałem, kurde, nadzieję, że szybko wyczuje zagrożenie i zacznie wrzeszczeć, że chce na porodówkę. Często zatrzymywaliśmy się na stacjach benzynowych, żeby Anka mogła opróżnić pęcherz. Gdy ona była

171

w kiblu, ja uchylałem bagażnik i wpuszczałem Majorowi powietrza. Lubię szybką jazdę, zwykle mam na liczniku 140, ale wtedy, kurde, jechałem przepisowo jak nigdy. Dotarliśmy do Warszawy. Wyrzuciłem Ankę przy „Złoty Tarasach”, potem pojechałem na Pragę. Zaparkowałem na jakimś podwórku, rozejrzałem się i otworzyłem bagażnik. Major wyskoczył i momentalnie rozpląnął się w powietrzu. Wiedziałem, kurde, że sobie poradzi. Miał w Warszawie wielu kumpli. Postanowiłem odwiedzić starych znajomych, bliźniaków Lodziarzy. Lodziarze to ich ksywa, tak ich nazwaliśmy, bo kręcą niezłe lody. Wypiliśmy po kilka browarów. Mam, kurde, mocny łeb. Mogę sporo wypić i potem prowadzić. Kolesie zawsze mi tego, kurde, zazdrościli. Anka zadzwoniła po pięciu godzinach. Czekala na mnie w McDonald's. Zaciągnęła mnie jeszcze, kurde, do kina na głupią komedię, potem wróciliśmy do Ponar. Pod pałacem stały aż trzy suki. Anka zaczęła histeryzować. Musiałem, kurde, wrzasnąć, bo inaczej by się nie zamknęła. Nie było czego się bać, przecież Major był daleko

stąd. Gdy przechodziliśmy przez bramę, jakiś stary pies zapytał, czy tu mieszkamy, i poprosił mnie o prawo jazdy. Myślałem, że zaraz wepchną mnie, kurde, do wozu, ale nic z tych rzeczy. Podziękował i oznajmił, że możemy iść. Coś mi, kurde, nie pasowało. Na dziedzińcu podszedł do nas profesor i powiedział, że Reznikowowie zostali w nocy zamordowani. Masakra. Ance zrobiło się słabo. Pode mną też się nogi ugięły. Profesor pomógł mi zaciągnąć ją do mieszkania. Gdy wyszedł, Anka zaczęła mnie, kurde, opieprzać. Wrzeszczała, że przeze mnie zginęli, przez moje kumpowanie się z bandytami. Bałem się, że zaraz, kurde, ktoś usłyszy jej wrzaski. Strzeliłem ją więc, nie mocno, żeby się

172  
uciszyła. Padła na łóżko, wsadziła głowę pod poduszkę i ryczała. Otworzyłem browar, usiadłem w fotelu i próbowałem, kurde, zakumać, co się stało. Nie miałem, kurde, wątpliwości, że to sprawa Majora. Nie mogłem jednak rozkminić, dlaczego on to zrobił, przecież nie jest mordercą. Włamy, pobicia, porwania tak, ale, kurde, nie zabójstwa. Tylko w jeden sposób mogłem to sobie wytłumaczyć. Major zapewne poszedł do Wołodii po kasę. Może pomyślał, że uda mu się wydębic od sympatycznego Ruska trochę szmalu. Jak w piątek w nocy zszedłem do piwnicy, to chwilę sobie pogadałiśmy. Wypytywał mnie o lokatorów. Krótko opowiedziałem mu o wszystkich i podałem, gdzie kto mieszka. Bez problemu mógł więc trafić do Reznikowów. Nie mam, kurde, pojęcia, co tam się stało. Musieli się pokłócić. Może Major dobierał się do Ludmiły. Wołodia był, kurde, wrażliwy na tym punkcie.

Przez następne dni chodziłem, kurde, tak podminywany, że nawet Anka bała się do mnie zagadać. Zacząłem też, kurde, wąpic, czy to faktycznie Major ich zamordował. No bo przecież morderca musiał, kurde, mieć rękawiczki, skoro nie zostawił odcisków palców, choćby na szyi Ludmiły. A skąd Major miałby, kurde, wziąć rękawiczki? Poza tym, dlaczego jego dres nie był poplamiony krwią i co, kurde, miałby zrobić z Sonią. To ostatnie najbardziej mnie męczyło. Było tylko jedno miejsce, w którym mógłby ukryć Sonię, a mianowicie któryś z korytarzy w piwnicy. Wziąłem latarkę i zszedłem sprawdzić, czy jej tam nie ma.

W jednym korytarzu leży gruz, w drugim belki. Trochę tam poświeciłem i nic nie zauważyłem. Potem wszedłem w trzeci korytarz. Tam trzeba uważać, bo są doły. Przeszedłem kilkanaście metrów, dalej musiałbym iść na czworakach,

173  
zrezygnowałem więc. Ta sprawa nie dawała mi, kurde, spokojnie żyć. Postanowiłem skontaktować się z Majorem. Pojechałem do Warszawy i poprosiłem jednego z Łodziarzy, aby załatwił mi widzenie z Majorem. Czekałem, kurde, dwanaście godzin, ale się doczekałem. Major, kurde, przy-

sięgał na swoją matkę, że to nie on ich zabił. A ja mu powtarzałem, że ściemnia. Wtedy przyznał się do czegoś zupełnie innego.

W sobotę wieczorem Major wyszedł z piwnicy. Było już po północy. Nie miał konkretnych zamiarów, po prostu nie mógł usiedzieć tak długo w jednym miejscu. Na chwilę wyskoczył na dziedziniec, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Najpierw jednak wyłączył światło palące się przed wejściem frontowym. Potem wrócił na korytarz. Usłyszał, że gdzieś otwierają się drzwi, przycisnął się więc do ściany. Zobaczył, że jakaś stara baba wygląda na korytarz, to była oczywiście pani Blumfeld. Nie miał ochoty schodzić jeszcze do piwnicy, klapnął więc na jakimś kartonie pod schodami. Widział, jak jakiś facet wychodzi z jednego pomieszczenia i wchodzi do drugiego. Potem otworzyły się inne drzwi i na korytarz wyjrzała młoda kobieta, to była Marta. Major obejrzał ją sobie w świetle padającym z łazienki, bo właśnie tam poszła. Wydała mu się niezłą dupcią, taka drobna jak nastolatka. Przypomniał sobie, co mówiłem mu o lokatorach pałacu. Wiedział, że jest to samotna kobieta z trójką dzieci. Kiedy była w łazience, wszedł do jej mieszkania. Na moment włączył światło i obejrzał sobie pokój. Stał za drzwiami i czekał. Marta wróciła i nie zapalając światła, wskoczyła do łóżka, a Major rzucił się na nią i ją przeleciał. Nawet go, kurde, rozumiem, tyle czasu bez kobiety i jeszcze ten stres. Musiał się, kurde,

174

zrelaksować. Wiem, że to też przestępstwo, ale bez przesady. Puknięcie laski to przecież nie to samo, co wymordowanie całej rodziny. Marta też, kurde, na tym skorzystała, bo przecież nie ma faceta na stałe, a tu niespodziewanie ktoś jej, kurde dogodził.

## Rozdział XV

Koła mojego samochodu kręciły się w miejscu, rozpryskując błoto na boki. Zobaczyłam Misiaka idącego wzdłuż muru. Otworzyłam drzwiczki i zawołałam:

— Panie Ryśku, niech pan mnie popchnie!

Ruszył w moją stronę chwiejnym krokiem. To nie był dobry pomysł, żeby poprosić go o pomoc. Jest zbyt pijany, w każdej chwili może się przewrócić. Z bramy wyszedł Michał Nowak. Nie musiałam go wołać. Podbiegł i wraz z Misiakiem popchnęli mój samochód. Ruszyłam.

Dziesięć minut wcześniej zadzwoniła do mnie pani Genia i zakomunikowała, że ojca nie ma w domu. Na jego biurku znalazła kartkę z informacją, że wyszedł na spacer z Pawłem. Próbowалаm połączyć się z mężem, aby to potwierdzić. Niestety, nie odbierał. Chciałam już dzwonić na policję. Niech go szukają, może gdzieś się błąka po ulicy bez czapki i płaszcza. Wsiadłam w końcu w samochód

i obrałam kierunek na Dobre Miasto. Po pięćdziesięciu minutach byłam na miejscu. Miałam już wejść do domu, gdy zobaczyłam ojca i Pawła idących chodnikiem. Obaj nieśli złożone parasole. Tata miał szyję starannie owiniętą

szalikiem. Co za ulga, nic mu się nie stało. Przytuliłam się do ojca. Poglaskał mnie po policzku. Weszliśmy wszyscy do domu.

— Dlaczego nie odbierałeś komórki? — zapytałam Pawła. - Martwiłam się o tatę - dodałam.

- Nie słyszałem, żeby dzwoniła - odparł, nie patrząc na mnie..

Wyminął mnie i poszedł za ojcem do jego gabinetu.

Przede mną stanęła pani Genia. Pełnym emocji głosem powiedziała:

— Jak dobrze, że pan profesor się znalazł. Tak się zdenerwowałam, jak zobaczyłam, że go nie ma. Chyba nie ma pani mi za złe tego alarmu?

— Bardzo dobrze pani zrobiła, dzwoniąc do mnie — uspokoiłam ją.

Weszliśmy do kuchni. Pachniało tutaj smażonymi kotletami i kaszą gryczaną. Pani Genia zaczęła szatkować kapustę. Mnie poleciła obrać i pokroić trzy cebule. Gdy obiad był już gotowy, poszłam po ojca i męża. Tata siedział sam w gabinecie. Wyjęłam mu z ręki ołówek i poleciłam iść do kuchni. Pawła znalazłam w łazience. Szorował wannę.

- Od dwóch tygodni czaję się, żeby to zrobić - powiedziałam. - Nie zareagował, ciągnęłam dalej: - Zrobiłeś mi przykrość, zabierając zdjęcia Weroniki. One miały dla mnie dużą wartość. Naprawdę je spaliłeś?

Milczał. Miałam dosyć takiego traktowania.

- Weź coś w końcu, kurwa, powiedz! - krzyknęłam.

Natychmiast zakryłam usta dłonią. Nie powinnam podnosić głosu, przecież tata może się zaniepokoić, poza tym chyba pani Genia jeszcze nie wyszła. Paweł cisnął gąbkę do wanny, wyprostował się i powiedział:

177

- Po co ci jej zdjęcia, przecież ona nie żyje. Po co trzymać albumy, po co stawiać nagrobek? Komu to potrzebne?

- Mnie to jest potrzebne - rzuciłam.

- Tobie potrzebna jest tylko praca. W tydzień po śmierci naszej córki przyniosłaś z sądu jakieś papiery i siedziałaś nad nimi. Myślałem, że cię wtedy zamorduję.

- Nie możesz mieć o to do mnie pretensji. Praca mi pomaga. Każdy radzi sobie z cierpieniem tak, jak potrafi — starałam się mówić spokojnie.

Sprawiał wrażenie, jakby mnie nie słuchał. Tym samym pełnym pretensji tonem ciągnął:

- Teraz, zamiast zająć się własnym ojcem, znowu pra-

cujesz i to nie wiadomo gdzie. Praca i praca, całą resztę masz w dupie. Żebyś zadławiła się tą swoją pracą. Moje dłonie zacisnęły się w pięści. Byłam wściekła. Nienawidziłam go za to, że mnie nie rozumie. Ja robiłam wszystko, żeby być dla niego wsparciem, a on nawet się nie starał, żeby mi pomóc, wręcz przeciwnie, dręczył mnie pretensjami i oskarżeniami. Siląc się na spokojny ton, powiedziałam:

- Dostałam nietypowe zlecenie, bardzo nietypowe. Jest to praca przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dali mi taką robotę, bo wiedzą, że to mi pomaga, że dzięki pracy mogę wyjść z dołka. Obcy ludzie rozumieją mnie lepiej niż ty.

Odwrócił się do mnie plecami. Wyszłam z łazienki. Wściekłość ustępowała miejsca ogromnemu smutkowi. Nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić. Na obiad nie miałam już ochoty, a do pałacu nie chciałam jeszcze wracać. Z torebki wyjęłam komórkę oraz słuchawki i poszłam do gabi-  
178

netu ojca. Usiadłam przy biurku i odnalazłam nagranie rozmowy z Mariuszem. Zaczęłam ją odsłuchiwać. Z każdą minutą moja koncentracja wzrastała. Mój umysł pracował na pełnych obrotach, analizował, klasyfikował i oceniał. Słuchając, oddalałam się od rzeczywistości, od własnych problemów.

Gdy Paweł wszedł do pokoju, zdjęłam słuchawki.

Podał mi grubą kopertę i powiedział:

- Tutaj są wszystkie zdjęcia, jakie zabrałem.

Położyłam kopertę na biurko i zapytałam:

- Zjadłeś obiad?

- Nie, czekam na ciebie.

- Nie czekaj, ja nie będę jadła.

Włożyłam słuchawki do uszu i uruchomiłam dyktafon. Myślałam, że Paweł wyjdzie, on jednak usiadł na krześle ojca i oznajmił:

- Wylali mnie z roboty. Parę razy nie przyszedłem do pracy, parę razy się spóźniłem, no i mnie wylali.

- Kiedy?

- Miesiąc temu - odpowiedział, spuszczać głowę.

- Miesiąc. To przynajmniej jeszcze nie masz kłopotów finansowych.

- Od miesiąca odwiedzam twojego ojca.

- To ty wyprasowałeś jego koszule — domyśliłam się.

Kiwnął twierdząco głową.

- Tata próbował mnie przekonać, że to mama prasuje mu koszule. Prawie uwierzyłam.

Uśmiechnął się, chyba pierwszy raz od roku.

- Alu, czy mogę pomieszkać trochę z twoim ojcem?

Parę tygodni, zanim nie znajdę pracy. Jest mi to potrzebne, jemu też.

— Przecież wiesz, że jest mi to bardzo na rękę.

— Jutro przywiozę swoje rzeczy. Zajmę twój pokój na piętrze. - Spojrzał na kopertę. - Może powkładam te zdjęcia — zaproponował.

— Nie, ja to zrobię. Ty byś nie zwracał uwagi na chronologię.

Wzięłam kopertę i poszłam na górę.

Ze zdjęć patrzyła na mnie uśmiechnięta Weronika.

Miała okrągłą buzię, cudownie odstające uszy i wielkie oczy swojego ojca. Nawet nie dane mi było powalczyć o życie własnego dziecka. Może lepiej, bo gdybym tę walkę przegrała, to teraz byłoby mi jeszcze ciężiej.

Przypomniały mi się trzy drobne twarzyczki: Krysi, Asi i Izy. Gdy Paweł wszedł do pokoju, powiedziałam:

— Poznałam w Ponarach trzy fajne dziewczynki. Chciałabym im oddać zabawki i książki naszej Weroniki.

— To dobry pomysł — oznajmił.

Wziął do ręki zdjęcie, na którym nasza córka w stroju wróżki stała przed mikrofonem.

— Gdzie właściwie są jej rzeczy? Przecież w naszym mieszkaniu ich nie ma.

— Tutaj w piwnicy, w trzech pudłach. Mógłbyś wrzucić mi je do samochodu? Chciałabym zaraz jechać.

— Nie możesz zostać do jutra? — zapytał.

— Nie mogę. Czuję, że jestem blisko rozwiązania zagadki morderstwa w Ponarach. - Patrzył na mnie z wyrzutem. Zaczęłam się tłumaczyć: - Nie mogę teraz tego zostawić. Skoro się zobowiązałam, muszę całą sprawę doprowadzić do końca. Jestem już blisko. Poza tym pobyt w Ponarach dobrze mi robi.

Paweł poszedł do piwnicy, a ja weszłam do gabinetu, żeby pożegnać się z ojcem. Pocałowałam go w policzek i powiedziałam:

— Tato, od jutra przez parę tygodni będzie mieszkał z tobą Paweł.

— Dobrze, kochanie. Zosia też się ucieszy.

Czekałam na męża przy samochodzie. Pojawił się z dwoma kartonami. Włożył je do bagażnika i poszedł po kolejny. Gdy wrócił, oznajmiłam:

— Jak zakończę tę sprawę, przyjadę do was i trochę pomieszkamy wszyscy razem.

— Trzymam cię za słowo — powiedział.

Wsiadłam do samochodu i ruszyłam do Ponar.

## Rozdział XVI

Romel siedział na brzegu blaszanej wanny, przednie łapki opierał o butelkę po winie. Butelka się poruszyła, kot przez chwilę przebierał łapkami w miejscu, potem zsunął



się w szczelinę pomiędzy dwa kartony. Szybko stamtąd wyskoczył i z wysoko uniesionym ogonem zaczął wędrować po stercie gazet. Jedno z kolorowych pism przesunęło się, popychając puszkę po piwie. Romel przycisnął brzuch do gazet i sunął ku puszcze, ale ona wciąż oddalała się od niego. W końcu rzucił się na nią. Przez chwilę bawił się nadgniecionym kawałkiem aluminium, potem zainteresował się zwiniętą szmatą. Tak długo ją szarpał, aż wysunął się z niej czarny prostokątny przedmiot. Podniosłam tę rzecz. Był to męski zniszczony portfel. Czyżby to był portfel Grześka Nowaka, rzekomo zgubiony w lesie w dzień morderstwa? Zapukałam do mieszkania numer 8. Państwo Nowakowie siedzieli przy stole. Ewa wycinała z kolorowego pi-semka jakiś artykuł, prawdopodobnie przepis kulinarny. Włosy miała niedbale ściągnięte gumką. Gdy weszłam, podniosła obie ręce do góry. Poprawiając fryzurę, odsłoniła ciemne plamy potu pod pachami. Grzesiek przeglądał

182

ulotki z marketu. Stał przy nim Wojtuś z otwartym zeszytem.

- Czy to pana? — zapytałam, wyciągając w stronę Nowaka czarny portfel.

Ewa zareagowała pierwsza.

- Grzesiu, zobacz, Alicja znalazła twój portfel.

- To nie mój — burknął, nie odrywając wzroku od ulotek.

Ewa wzięła portfel i zaczęła go oglądać. Po chwili z wyraźną satysfakcją powiedziała:

- To twój, podszywka rozerwana jest w tym samym miejscu.

Podsunęła mężowi portfel pod nos. Ten stanowczo odepchnął jej rękę.

- Gdzie go znalazłeś? — zwróciła się do mnie.

- To właściwie Romel go znalazł, a nie ja. Leżał w tej blaszanej wannie na korytarzu.

- Skąd się tam wziął? Przecież zgubiłeś go w lesie.

W głosie Ewy pojawił się niepokój. Wyczekująco patrzyła na męża. Rzucił ulotki na stół i wysyczał przez zaciśnięte zęby:

- Może wypadł mi jeszcze na terenie pałacu. Ktoś go znalazł, wyjął kasę i wrzucił go do wanny.

Wojtuś skulił się, przyciskając zeszyt do piersi. Potem bezgłośnie postąpił kilka kroków do tyłu. Chciał zejść ojcu z oczu. Najwyraźniej wiedział, do czego ten jest zdolny, gdy się zdenerwuje. Ewa też uznała, że lepiej nie drażnić męża.

Łagodnie poprosiła:

- Może sprawdzisz Wojtusiowi matematykę? On już tyle czeka.

Grzesiek zerwał się, głośno odsuwając krzesło. Złapał

183

kurtkę i wybiegł z mieszkania, trzaskając drzwiami. Po chwili z korytarza dobiegło żalosne miauknięcie. Prawdopodobnie nieostrożny Romel stanął Nowakowi na drodze. Ewę sparaliżował niepokój. Stała nieruchomo, jakby pozowała do zdjęcia. Wojtuś przylgnął do niej, mocno obejmując ją w pasie. Chcąc przywrócić miłą atmosferę, zapytała uprzejmie:

— Co gotujesz? Tak ładnie pachnie.

— Strogonowa - odparła machinalnie.

Po chwili energicznie pokręciła głową, jakby chciała odgonić nieprzyjemne myśli. Chyba dopiero teraz dotarło do niej moje pytanie. Uśmiechnęła się i powiedziała:

— Robię Strogonowa, bo Grzesiek przyniósł wczoraj kawałek ładnej polędwicy. Gdybyś chciała taniej kupić mięso albo wędliny, to mów, Grzesiek ci przywiezie. On pracuje w zakładach mięsnych w Miłakowie.

Poklepała syna po plecach i kazała mu iść do pokoju.

— A moja matematyka? — odezwał się malec płaczliwym głosem.

Wzięła od niego zeszyt i głośno odczytywała działania z jedną niewiadomą. Znowu poklepała go po plecach i oznajmiła, że jest dobrze. Gdy Wojtuś znikł za drzwiami swojego pokoju, wyjęła z szafki dwie wąskie szklaneczki oraz butelkę z ciemnozłocistym płynem.

— Napijemy się jabłecznika - zaproponowała.

— Jak robisz Strogonowa? — zapytałam.

— Prawdziwie po rosyjsku. Tak samo, jak robiła go Ludmiła. Nie umiała zbyt dobrze gotować, ale Strogonow zawsze się jej udawał. Rosyjski tradycyjny Strogonow to bardzo gęsty gulasz z polędwicy wołowej z ogromną

184

ilością cebuli. Pieczarki i paprykę też się dodaje, ale w niewielkich ilościach.

Napełniła szklanki winem i podała mi jedną. Usiadłam na kanapie, ona na krześle. Mówiła dalej:

- Wyobraź sobie, że Strogonow nie jest twórcą Strogonowa. To danie wymyślił jakiś francuski, a może włoski kucharz i nazwał je Strogonow na cześć rosyjskiego hrabiego Aleksandra Grigorowicza Strogonowa. Ten Strogonow prowadził w Odessie coś w rodzaju otwartego stołu, to znaczy każdy mógł wejść do jego domu wprost z ulicy po to, żeby sobie zjeść. Był tylko jeden warunek, gość musiał być schludnie ubrany i dobrze się zachowywać. Też bym chciała prowadzić taki otwarty stół, tylko musiałabym mieć pieniądze i oczywiście pomoc kuchenną. U mnie obowiązywałyby te same zasady, co u hrabiego Strogonowa, a więc Misiaki nie mieliby dostępu do mojego stołu.

Mówiła swobodnie, uśmiechając się. Zachowywała się jak przystało na uprzejmą panią domu. Poczęstowała

mnie winem, zabawiała rozmową i nawet zaproponowała skosztowanie Strogonowa. Był to jednak pozorny spokój. Siedziała nieruchomo jak na egzaminie albo kole-dzie. Co chwilę zerkła na stół, gdzie leżał czarny męski portfel.

- Co cię gryzie? — zapytałam niespodziewanie.

Uśmiechnęła się szeroko, nienaturalnie, jakby brała udział w wyborach miss.

- Nic mnie nie gryzie - odparła.

Szklanka głośno zadźwięczała na jej zębach. Za jed-nym przechyleniem wypła połowę zawartości. Zobaczyłam, jak unosi rękę zaciśniętą w pięść i wkłada ją sobie do ust, żeby nie krzyknąć.

185

— Co się dzieje? Powiedz mi wszystko — zwróciłam się do niej.

— To ja bym chciała wiedzieć, co się dzieje. Chciałabym wiedzieć, dlaczego mój mąż mnie oszukuje? Dlaczego powiedział mi, że zgubił portfel w lesie, skoro wrzucił go do wanny? Chciałabym wiedzieć, co on ma wspólnego ze śmiercią Reznikowów? Dlaczego od tamtego dnia jest zupełnie innym człowiekiem?

Ewa zaczęła płakać. Emocje trzymane na wodzy przez wiele tygodni teraz znalazły ujście.

— Może powinnaś z nim porozmawiać, poprosić o chwilę szczerości. Może by ci wszystko wyjawiał — zasugerowałam.

— Boję się poruszyć ten temat. Grzesiek jest taki nerwowy.

— Gdzie teraz jest twój mąż?

— Nie wiem, gdzie poszedł. Przecież pada deszcz, zmoknie. Może znowu siedzi nad jeziorem i patrzy bezmyślnie w wodę. Od czasu morderstwa chodzi bardzo często na ryby, tylko że od tamtej pory nie złowił ani jednej. Czasami idzie na ryby i nawet wędek nie weźmie. Raz zwróciłam na to uwagę, to powiedział, że jestem głupia i żebym siedziała cicho.

Odstawiłam pustą szklankę.

— Pójdę porozmawiać z twoim mężem — powiedziałam.

— Nie! - krzyknęła Ewa. - On pomyśli, że ja coś ci o nim mówiłam. Znowu będzie miał do mnie pretensje. Gdy się podniosłam, złapała mnie za rękę. Uwolniłam się i oznajmiłam:

— Grześka coś gryzie. Powinien o tym komuś powiedzieć. Może mi wyjawi, co mu leży na sercu.

186

Odgarnęła ze spoconego czoła kosmyk włosów.

Wierzchem dłoni wytarła z policzków łzy i wyszeptowała:

—Ja chyba nie chcę się dowiedzieć, co mu leży na sercu.

Boję się poznać prawdę.

Mówiła tak cicho, że musiałam się pochylić, aby usłyszeć ostatnie słowa.

Opuściłam mieszkanie państwa Nowaków i poszłam do siebie. Nałożyłam kurtkę, do kieszeni wsunęłam włączony dyktafon i ruszyłam w stronę schodów. Romel podążał za mną. Patrzyłam w ciemną, klaustrofobicznie zwężającą się przestrzeń korytarza. Wsunęłam się między dwie olbrzymie szafy, które pochylały się ku sobie, jakby miały ostatecznie zagrodzić mi drogę. Nagle stanął przede mną profesor Firlej. Drgnęłam na jego widok. Miałam wrażenie, że wyszedł zza szafy. Ukłonił się i zagadnął:

— Wybiera się pani na spacer?

Kiwnęłam potakująco głową.

— Powinna pani włożyć płaszcz przeciwdeszczowy.

Nadal pada, trochę słabiej, ale jeszcze pada.

— Niestety, nie mam płaszcza przeciwdeszczowego.

- Może tutaj coś znajdziemy — powiedział, otwierając szafę.

Cofnęłam się, robiąc mu miejsce. Usłyszałam szelest, potem zobaczyłam w rękach profesora czerwoną przeciwdeszczową pelerynkę.

- Czyje to? - zapytałam.

- W tej chwili należy do pani - odparł i delikatnie zaczął wciągać mi ją przez głowę.

Podziękowałam i poszłam dalej.

187

Z niskiego szarego nieba siąpił deszcz. Było zimno.

Wstrząsnęły mnie dreszcze. Pochyliłam głowę i ruszyłam w stronę jeziora. Po kilkudniowej ulewie żwirowa droga zamieniła się w błotnistą maź. Grzęzły mi w niej stopy. Poślizgnęłam się parę razy. Na początku szłam ostrożnie, potem zaczęłam zbiegać w dół. Rozpostarłam ręce, żeby w razie poślizgnięcia utrzymać równowagę. Zatrzymałam się przed pomostem. Deski były prawie czarne od deszczu. Grzegorza tutaj nie było. Już miałam się odwrócić i pójść do pałacu, ale przez szum deszczu dosłyszałam jakiś dziwny dźwięk. Stałam, nasłuchując. Gdzieś niedaleko rozlegało się jakby kwilenie, ale nie dziecka, lecz osoby dorosłej. Weszłam na pomost. Szłam ostrożnie po deskach śliskich jak lodowisko. Kwilenie momentami przechodziło w przeciągły jęk. Zobaczyłam Grześka Nowaka. Siedział w łódce. Był zgięty w pół, ramionami obejmował kolana. Cały się trząsał. Co chwilę podrzucał głowę. Dojrzałam jego twarz, wyglądała upiornie. Miał mocno zaciśnięte powieki, odsłonięte zęby, policzki mu drgały tak mocno, jakby były odrębnym, nadmiernie aktywnym organizmem. To on wydawał te dziwne dźwięki.

- Panie Nowak, czy pan źle się czuje? — zawołałam.

Nie odpowiedział mi. Byłam pewna, że ma jakiś atak. Obiema dłońmi złapałam poręcz i zsunęłam się do łódki. Grzesiek wyprostował się gwałtownie i wymachując rękami, krzychał:

- Zostaw mnie! Odejdź!

Bałam się, że zaraz popchnie mnie do wody. Zamachnęłam się i uderzyłam go pięścią w twarz. Znieruchomiał i otworzył oczy. Patrzył na mnie zaskoczony.

- To pani? — zapytał.

188

- Tak, to ja. Co panu jest?

Trzęsącymi się rękami naciągnął kaptur na głowę.

Jąkając się, wydukał:

- Wziąłem panią za Sonię. Ma pani taki sam płaszcz jak ona. Sonia nigdy spokojnie nie schodziła po tej drodze, zawsze zbiegała. Kiedy pani pędziła w tej czerwonej pelerynce, to pomyślałem sobie, że to ona do mnie biegnie. Czułam, jak przemakają mi buty. W łódce było kilka centymetrów wody. Zimny deszcz wciąż siąpił.

- Może wrócimy do pałacu. Zapraszam pana do siebie na bardzo mocną kawę. Porozmawiamy sobie.

- To nie jest temat na rozmowę przy kawie — oznajmił, odczepiając łódkę od pomostu. Podniósł wiosło i ponownie zwrócił się do mnie: — Może pani jeszcze wysiąść.

Nie wysiadłam. Zająłem miejsce na mokrej ławce. Patrzyłam, jak z każdym metrem oddalania się od brzegu pałac ogromnieje. Rozrastał się wszcz i w górę. Poszarzałe mury niemal dotykały niskiego siniego nieba i górowały nad czarnymi, bezlistnymi drzewami. W tej scenerii było coś monumentalnego i groźnego. Miałam przed sobą miejsce zbrodni, okrucieństwa i zła.

- Nie boi się pani ze mną płynąć? - zapytał Grzesiek.

- Czego miałabym się bać?

- Tego, że panią zabiję. Uderzę wiosłem w głowę i wrzucę do jeziora.

Deszcz spływał po jego rozdygotanej twarzy. Spływał też po moim czerwonym płaszczku, który należał kiedyś do Soni. Deszcz mącił ciemnoszarą powierzchnię jeziora.

Patrząc w wodę, powiedziałam:

- Nie boję się pana. Nie jest pan mordercą.

189

-Pani teraz kłamie. Pani wie, że jestem mordercą, i dlatego pani się mnie boi. — Uderzył wiosłem w wodę tak mocno, że aż się zachwiał. Z emocji głos mu się załamywał, mówił jednak dalej: - Nie musi pani więcej udawać pisarki. Ja już wiem kim pani jest, Adam mi powiedział.

- Co pan Kirage panu powiedział?

-Powiedział, że pies zawsze wywęszy drugiego psa.

Uniosłam głowę i ściągnęłam trochę kaptur. Chciałam.

żeby widział moją twarz. Spokojnie oznajmiłam:

- Panie Nowak, my już dużo wiemy. Mamy pana na oku od dawna.

-Wiecie, że zabiłem Sonię? - zapytał cicho.

Wstrzymałam oddech. Pałac zaczął się ruszać, jakby nagle ożył.

-Panie Nowak, niech pan wszystko mi opowie. Niech pan powie, jak to było. Tylko w ten sposób może pan sobie pomóc - rzekłam i cała zamieniłam się w słuch.

Relacja Grzegorza z mieszkania numer 8

Zabiłem Sonię, ale przysięgam, że to był wypadek

To był nieszczęśliwy wypadek, nie chciałem zrobić jej krzywdy. Żałuję bardzo tego, co się stało, i nigdy nie prze stanę żałować, ale to również jej wina. Znęcała się nade mną, dręczyła mnie, szantażowała, była okrutna. Z miłej dziewczynki zamieniała się w bezwzględną, nieobliczalną kobietę. Wtedy miałem ochotę ją udusić, ale to tylko były myśli, głupie myśli. Każdy ma takie myśli, każdy chce kogoś zabić. Ja nie uwiodłem Soni, pod tym względem jestem nie winny. To ona mnie uwiodła. Była dla mnie dzieciakiem koleżanką mojej córki, i tak ją traktowałem. Ale ona nie

190  
pozwalala tak się traktować, wszystko zepsuła. Zachowywała się wstętnie, pozbawiła mnie spokoju, zrobiła ze mnie złego człowieka, zrobiła ze mnie pedofila. Nie potrafiłem się przed nią obronić. Była jak pijawka. Przysssała się i nie chciała puścić. Boże! Co ja przez nią wycierpiałem, co ja przez nią przeżyłem.

Nigdy nie zapomnę tego dnia, kiedy pierwszy raz rozebrała się przede mną do gołego. To było 1 czerwca, w Dzień Dziecka, niecałe pięć miesięcy temu. Umówiłem się wtedy z Wołodią na ryby, na piątą rano, ale on nie przyszedł, przysłała za to Sonia. Wskoczyła mi do łódki i powiedziała, że tacie nie chciało się wstać, a ona ma dopiero na trzecią lekcję, może więc ze mną popłynąć. Nie miałem ochoty brać ze sobą dzieciaka. Sonia nieraz wypływała ze mną i Wołodią na ryby i zwykle po godzinie zaczynała marudzić, że chce już wracać. Kazałem jej spadać do domu, ale ona jakby nie słyszała. Ułożyła w łódce swoje wędki, wiadro i skrzyneczkę ze szpargałami. Machnąłem ręką i odbiłem od pomostu. Sonia na początku siedziała cicho, zarzuciła swoje wędki i patrzyła na spławiki. Po godzinie zaczęła mnie zagadywać. Nie odpowiadałem. Nie chciało mi się gadać z gówniarą. Nagle powiedziała, że jej matka ma kochanka, że ojciec o niczym nie wie, ale ona wie, bo ich przyłapała. Nie powiem, zaciekawiło mnie to. Zacząłem z nią rozmawiać, zacząłem ją wypytywać. Oczywiście liczyłem się z tym, że ściemnia, ale przeczuwałem, że może coś w tym być. Chciałem wiedzieć, kto jest tym kochankiem, ale Sonia nie miała zamiaru mi tego tak od razu zdra-

dzień. Powiedziała, że mi wyjawia jego nazwisko pod jednym warunkiem, że jej pokaże swojego penisa. Ona użyła innego określenia. Gówniara, wstrętna gówniara! Dobrze, że

191

moja córka taka nie jest. Warknąłem wtedy na Sonię, że rodzice za mało jej tyłek przetrzepali. A ona mi na to, że ja mogę jej teraz tyłek przetrzepać. Opuściła spodnie i majtki i wypięła się w moją stronę. Nie mogłem oderwać od niej oczu. Zapytała, na co czekam. Pamiętam, że papieros wypadł mi z ust, przydeptałem go butem. Sonia, wciąż stojąc do mnie tyłem, zdjęła buty, skarpetki, spodnie, majtki. Na końcu zdjęła polar, pod nim nic nie miała. Mała dziwka, wszystko sobie zaplanowała. Odwróciła się do mnie przodem, a potem wskoczyła z piskiem do wody. Nie było najcieplej, wróciła więc po dwóch, trzech minutach. Rozłożyła się na dnie łodzi. Powiedziała, że musi teraz wyschnąć. Podłożyła sobie pod głowę polar i patrzyła na mnie bezczelnie. Boże, jaka ona była bezczelna, rozpustna. Stare kurwy mogłyby się uczyć od niej takiego spojrzenia. Rozpiąłem spodnie i ją przeleciałem. A właściwie to ona mnie przeleciała, bo jak skończyłem, to powiedziała, że sprawiła sobie ze mnie prezent na Dzień Dziecka.

Romansowaliśmy przez całe lato. To zawsze ona była inicjatorką spotkań. Przysyłała mi SMS-y z informacją, w którym miejscu na mnie czeka. Zawsze dopisywała coś wulgarnego, coś w tym stylu, że już zdjęła majtki albo że cipka ją swędzi. W tamtym czasie pilnowałem komórki jak oka w głowie. Bałem się, że Ewa albo któreś z dzieci przeczyta SMS-a od Soni. Sam wpadłem w jakiś nerwowy nawyk ciągłego sprawdzania, czy przysłała wiadomość. Gdy pojawiał się SMS, rzucałem wszystko i leciałem na spotkanie. Często urywałem się z roboty, bo Sonia miała wakacje i chciała się ze mną pieprzyć o dziesiątej rano. Jaka ona była złośliwa i okrutna. Przybiegałem na randkę do lasu, a jej nie było. Dzwoniłem do niej, a ona słodkim głosem

192

przepraszała i mówiła, że jest w innym miejscu lasu. Pędziłem tam z wywalonym językiem i okazywało się, że tam też jej nie ma. Dawałem sobą pomiatać i nienawidziłem siebie za to. Czuję, że ona z tego samego powodu też mną gardzi. Obiecywałem sobie, że już więcej nie pozwolę się upokarzać, ale, niestety, nie miałem tyle sił. Kolejny SMS od niej odbierał mi rozum.

Zacząłem unikać Wołodii. Nie potrafiłem spokojnie patrzeć mu w oczy. Gdy namawiał mnie na wędkowanie, próbowałem wykręcić się wszelkimi sposobami. Mówiłem, że muszę się wyspać, że chcę trochę pobyć z rodziną, w końcu wyjawiałem mu, że mam bolesne hemoroidy. W to ostatnie uwierzył. Zaczął się śmiać tak głośno, że prawie bębienki w uszach mi pękły, a potem powiedział, że teraz

rozumie, dlaczego jestem oziębły seksualnie. Patrzyłem na niego zaskoczony. Zdradził mi, że Ewa poskarżyła się Ludmile na mój brak aktywności w łóżku. Poprosiła ją nawet o jakieś ziółka dla mnie. Najgorsze były te chwile, gdy Sonia przychodziła do mojej Madzi. Zachowywała się wtedy jak skromna nieśmiała dziewczynka. Bałem się o córkę, bałem się, że może stać się taka jak Sonia. Bałem się, że ta mała dziwka ją zepsuje. Madzia to dobre niewinne dziecko, niestety, podatne na wpływy. Z trudem też znosiłem wspólne grillowanie z Reznikowami. Grill to najgorsza rozrywka lata, już rzygałem tymi kiełbaskami i szaszłykami, które musiałem pożerać, siedząc między Wołodią i Ludmiłą. Byłem wdzięczny Lasockim, gdy się do nas przyłączali. Z Leszkiem ciężko się gada, straszny sztywniak, nudziarz, ale wolałem, aby Reznikow jego klepał po plecach, a nie mnie. Sonia dużo mówiła o rodzicach, o ojcu dobrze, o matce zwykle źle. Nie mogła jej darować tego kochanka.

193

W pewnej chwili przestało mnie interesować, kto nim jest. Powiedziałem Soni, żeby mi o tym już nie gędziała. Ale ona robiła wszystko, żebym zainteresował się facetem Ludmiły. Najpierw wyjawiała, że to jest ktoś z pałacu. Wtedy mnie olśniło, że to musiał być ten piękniś Robert. On przecież lubił starsze babki, Joanna mogłaby być jego matką. Poza tym był z niego taki przystojniak, że faktycznie Ludmiła mogła z nim zdradzić męża. Wiem, że każda kobieta w pałacu marzy o tym, żeby pójść z Robertem do łóżka, nawet Misiakowa, ale nie każda by to zrobiła. Moja żona na pewno by się z nim nie przespała, nawet gdyby ją o to błagał na kolanach. Wiedziałem, że Soni też bardzo się podobał Robert, zaczynałem rozumieć jej nienawiść do matki. Sonia podkochiwała się w Robercie, a Ludmiła zabrała go dla siebie. Sonia zaprzeczyła, że to Robert jest kochankiem. Gdyby to miał być on, to nawet zrozumiałaby matkę i wybaczyła jej tę zdradę. Powiedziała, że szczęka mi opadnie, jak się dowiem, kto to jest. Jak mi w końcu wyjawiała jego nazwisko, to nie uwierzyłem. Wybuchłem śmiechem, bo to było śmieszne, łączyć Ludmiłę z kimś takim. Pokazała mi na komórce zdjęcie, które im zrobiła, gdy ich przyłapała nad jeziorem. Faktycznie szczęka mi opadła. Na zdjęciu zobaczyłem, jak Ludmiła siedzi na kolanach Leszka Lasockiego i się do niego przytula. Nie rozumiem, jak temu cieniasowi udało się uwieść taką piękną kobietę. Jak ona w ogóle mogła zadawać się z kimś takim, z taką niedojdą? Teraz było dla mnie jasne, dlaczego podczas grilla Leszek Lasocki siedział zawsze cicho i ze spuszczoną głową. Wiedziałem, jak się wtedy czuł, bo ja czułem się tak samo. Co za cyrk! Reznikow siedział i pił z dwoma facetami, z których jeden pieprzył jego żonę, a drugi jego córkę.

194



Sonia powtarzała mi, że jak jej ojciec się o nas dowie, to mnie zabije. Nie wątpiłem, że mówi prawdę. Zacząłem żyć w strachu, bałem się, że mój romans wyjdzie na jaw. Gdyby tak się stało, to żona by mnie rzuciła, dzieci znienawidziły, a Wołodia urwałby mi jaja. Gdybym uszedł przed nim z życiem, to zamknęliby mnie za pedofilię. Czasami marzyłem w nocy, że Reznikowowie znikają, pakują się i opuszczają pałac, odjeżdżają daleko, najlepiej na koniec Rosji, aż pod Kamczatkę. Wtedy znowu mógłbym żyć normalnie. Znowu mógłbym być mężem i ojcem, a nie bojącym się wszystkiego pedofilem. Nawet nie przypuszczałem, że moje marzenie o zniknięciu Reznikowów tak szybko się spełni. Ostatnia sobota sierpnia była najgorszym dniem w moim życiu. Koszmar, co za koszmar. Gdybym wiedział, co się stanie, nie poszedłbym na spotkanie z Sonią. Nie widzieliśmy się od kilku dni. Już miałem nadzieję, że da mi spokój, że nie przyśle więcej żadnego SMS-a. Z drugiej strony denerwowałem się, że mnie rzuci, że już nigdy więcej nie będę miał z nią przyjemności. Gdy więc dostałem krótką wiadomość, że czeka między dwoma brzoźowymi zagajnikami, złapałem za koszyk i powiedziałem Ewie, że idę na grzyby. Gdy przyszedłem na umówione miejsce, zobaczyłem Sonię siedzącą na drzewie. Ucieszyła się na mój widok, powiedziała, że tęskniła. Wyciągnąłem do niej rękę, żeby ją zdjąć z gałęzi. Oznajmiła, że zejdzie dopiero wtedy, jak spełnię jej życzenie. Poprosiła słodkim głosem, żebym się rozebrał do naga. Podnieciła mnie ta prośba. Szybko zrzuciłem ubranie, a wtedy ta mała suka zaczęła robić mi zdjęcia komórką. Pstrykała i pstrykała. Zacząłem pospiesznie się ubierać. Byłem wkurzony na nią, a jeszcze bardziej na siebie, że daję się tak

195

wodzić za nos tej małej dziwce. Kazałem jej natychmiast usunąć te zdjęcia. Roześmiała się i zaczęła mnie wyzywać. Rzucała mięsem lepiej niż moi kumple. Miałem dosyć tego upokarzania, jej też miałem dosyć. Powiedziałem, co o niej myślę, nie przebierałem w słowach. Chyba nikt do niej wcześniej tak nie mówił, bo wkurzyła się na maksa. Z nerwów aż nie mogła mówić, w końcu wydukała, że wysłała Madzi zdjęcie, które mi przed chwilą zrobiła. Zaczęła przyciskać klawisze komórki. Tego było już za wiele. Chwyciłem ją za nogę i pociągnąłem. Krzyknęła. Jej komórka przeleciała obok mojej głowy. Widziałem, że Sonia spada. Próbowałem ją złapać. Przez krótki moment trzymałem ją za obie nogi, ale ona wyszarpnęła mi się. Jakoś dziwnie się wygięła i poleciała do tyłu. Uderzyła głową w kamień. Uderzyła tak mocno, że aż huknęło.

Przez chwilę stałem nieruchomo. Potem padłem na kolana, złapałem ją za ramiona i usiłowałem podnieść. Pamiętam, że westchnęła, ale później już nie dawała żadnych

oznak życia. Głowa opadła jej do tyłu, miała przymknięte oczy, otwarte usta. Nie musiałem sprawdzać, czy oddycha, czy bije jej serce. Wiedziałem, że nie żyje. Byłem przerażony. Właśnie zabiłem dziecko. Instynkt nakazywał mi uciekać z miejsca zbrodni, póki nikt mnie nie przyłapał na gorącym uczynku. Zacząłem biec. Wpadłem między niskie choinki. Ostre gałęzie uderzały mnie w twarz. Odgarniałem je obiema rękami. Wtedy dotarło do mnie, że nie mam koszyka. Pod tamtym drzewem zostawiłem koszyk na grzyby. Musiałem po niego wrócić. Wahałem się, przecież takich koszyków jest wiele. Potem pomyślałem o odciskach palców na nożu, który został w koszyku. Następnie przypomniałem sobie komórkę Soni i ze zgrozy zabrakło mi tchu.

196

Zdjęcia i SMS-y wysyłane do mnie mogły posłać mnie do pierdła na dwadzieścia pięć lat, a ja nie mogłem iść siedzieć, bo przecież mam rodzinę. Ta komórka to był gwóźdź do mojej trumny. Zawróciłem, ale już nie biegłem. Powoli zbliżyłem się do miejsca, gdzie leżała Sonia. Starłem się na nią nie patrzeć. Zgięty wpół szukałem w trawie komórki. To był intensywnie różowy aparat, powinienem znaleźć go bez problemu, ale przerażenie mnie oślepiło. W końcu poczułem aparat pod butem. Wziąłem go, złapałem koszyk i znowu zacząłem uciekać. Chciałem jak najszybciej pozbyć się komórki. Gdy więc wypadłem z lasu od razu wrzuciłem ją do jeziora. Dopiero kilka dni później pożałowałem, że nie usunąłem zdjęć i SMS-ów albo że jej nie uszkodziłem przed wyrzuceniem.

Wróciłem do mieszkania i zacząłem gorączkowo myśleć. Chciałem odsunąć od siebie jakiegokolwiek podejrzenie. Nieszczęśliwy wypadek, właśnie na to liczyłem. Sonia weszła na drzewo i spadła, takie będą ustalenia policji, a wtedy nie będzie żadnego śledztwa, nie będą szukać mordercy. A jeżeli zaczną sprawdzać, czy była sama? Zaczną szukać śladów po butach, jakiegoś wyrzuconego drobiazgu. Przetrzęsnałem swoje kieszenie. Tam pod drzewem rozebrałem się i rzuciłem ubranie na trawę. Coś przecież mogło mi wypaść. Po sprawdzeniu kieszeni na moment odetchnąłem z ulgą, ale zaraz uprzytomniłem sobie, że dotykałem Soni, dotykałem jej ramion, twarzy i nóg. Jeżeli dojdą do tego, że ktoś z nią był, będą szukać na jej ciele odcisków palców. Jedna myśl kotłowała mi się po głowie: ratuj się przed więzieniem, ratuj się za wszelką cenę. Podjąłem decyzję, że wrócę do Soni i zakopię jej ciało gdzieś w krzakach. Uznałem, że w ten sposób odwlekę

197

odnalezienie jej zwłok o kilka lub kilkanaście dni, że proces gnilny unicestwi odciski palców na jej ciele. To był pomysł szalony, ale wtedy wydawało mi się, że nie mam innego wyjścia. Powiedziałem Ewie, że jadę do Boguchwał po piwo.

Ukradkiem schowałem łopatę do bagażnika i wsiadłem do samochodu. Dojechałem do samych Boguchwał i od razu zawróciłem. Zaparkowałem samochód spory kawałek od miejsca, gdzie leżała Sonia. Wiedziałem, że sporo osób będzie widziało mój wóz stojący przy lesie, ale miałem na to wytłumaczenie. Wszystkim zainteresowanym postanowiłem mówić, że wróciłem do lasu szukać portfela, który zgubiłem podczas grzybobrania. Trochę się bałem, że mogę natknąć się na gliniarzy, bo oni wciąż tropili tego zbiega z aresztu.

W lesie było wyjątkowo cicho. Pomyślałem sobie, że wszystkie ptaki wyzdychały. Gdy dotarłem na miejsce i zobaczyłem to, co zobaczyłem, to nogi się przede mną ugięły, aż musiałem oprzeć się o łopatę. To było niewiarygodne, szokujące, niezrozumiałe. Ciało Soni znikło. Stałem i patrzyłem na drzewo, na kamień, na trawę. W pierwszej chwili pomyślałem, że ktoś już ją znalazł, może nawet policja. Ale zaraz uzmysłowiłem sobie, że czynności śledcze ciągną się całymi godzinami, a więc powinno się tu roić od gliniarzy. Potem przyszło mi do głowy, że Sonia się ocknęła i poszła do domu. Wracając do samochodu, modliłem się, żeby tak właśnie było. Ta możliwość była nieprawdopodobna, ale całym sercem pragnąłem, żeby Sonia żyła. Wróciłem do pałacu i nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Czekałem, aż coś się wyjaśni, ale nic się nie wyjaśniało. Ewa widziała, że jestem zdenerwowany. Dopytywała się, co się stało, dlaczego nie kupiłem piwa, gdzie tak długo byłem? Na 198

odczepnego powiedziałem, że zgubiłem portfel. Na korytarzu znalazłem jakąś brudną szmatę, zawinałem w nią portfel i wrzuciłem do wanny. Wysłałem Konrada do Rezników. Miał przekazać Wołodii, że nie przyjdę na mecz. Czekałem na jego powrót z niecierpliwością. Liczyłem na to, że przyniesie jakieś informacje o Soni, ale pomyliłem się. Konrad wrócił i nic nie powiedział, a ja bałem się zapytać, czy widział Sonię. Padłem na łóżko i zasnąłem. Obudziłem się po kilku godzinach. Ewy, Madzi i Wojtusia nie było w mieszkaniu. Michał z Konradem oglądali mecz. Dołączyłem do nich. Czekałem, aż zaczną mówić o Soni, ale nawet się nie zająknęli, jakby nic się nie stało. Po dwudziestej drugiej wróciła Ewa i też nie przyniosła żadnych niesamowitych wieści.

W niedzielę jak zwykle wstaliśmy o ósmej. Zjedliśmy śniadanie i zaczęliśmy szykować się do kościoła. Byłem cały spięty. Miałem dosyć tej niepewności. Myślałem nawet, żeby podesłać Ewę pod byle pretekstem do Rezników. Może by się czegoś dowiedziała. Nie odważyłem się jednak na ten krok. Do pałacu wróciliśmy po trzynastej. Dzieciaki chciały popływać. Poszedłem z nimi nad jezioro. Gdy byliśmy już na pomoście, Madzia powiedziała, że pójdzie

po Sonię. Serce biło mi jak szalone, gdy patrzyłem na moją córkę biegnącą pod górę do pałacu. Mogłem ją zawrócić, ale nie zrobiłem tego. Przez całe cztery minuty czekałem z nerwami napiętymi do granic możliwości. W końcu Madzia pojawiła się na drodze, była sama.

Wchodząc na pomost, oznajmiła, że u Reznikowów nikt nie otwiera. Rzuciłem się na leżak. Byłem zmęczony. Paliłem papierosa za papierosem. Miałem ochotę wsiąść do samochodu i odjechać gdzieś daleko, gdzie mógłbym

199  
przeczekać ten koszmar. Chciałem wyrzucić z głowy Sonię i jej rodziców, ale bezskutecznie. Nie potrafiłem nie myśleć o niej. Wciąż zastanawiałem się, jakim cudem znikło jej ciało i dlaczego znikli też Ludmiła i Wołodia. Nie znajdowałem żadnej sensownej odpowiedzi. Pamiętam, że na pomost przyszli państwo Firlejowie. Profesor niespodziewanie zapytał, dlaczego nie ma z nami Soni. Jak ja się wystraszyłem. Myślałem, że on coś wie. Nie mogłem znieść wzroku jego żony. Patrzyła na mnie tymi swoimi wielkimi oczami, jakby chciała mnie nimi przewiercić i zajrzeć do mojej głowy. Poczułem ulgę, gdy się oddalili.

Po osiemnastej przyszła do nas pani Blumfeld. Zapytała, czy nie wiemy, co się dzieje u Reznikowów. Okazało się, że ona też ich nie widziała od rana. Potem przyszła jeszcze raz i znowu o nich pytała. Nerwy zaczęły mi puszczać. Wyrzuciłem starą Blumfeld z mieszkania. Gdy profesor Firlej zaczął rozwalać drzwi Reznikowów, miałem ochotę zapaść się pod ziemię. Wiedziałem, że zaraz wszystko się wyda, zaraz moja rodzina dowie się, że jestem mordercą. Gdy usłyszałem krzyk starej Blumfeld, wypadłem z mieszkania, ale nie po to, żeby sprawdzić, co się stało, lecz po to, żeby uciec. Nie uciekłem jednak. Wydaje mi się, że to ciekawość pchnęła mnie w stronę mieszkania Reznikowów. Musiałem zobaczyć, co się tam stało, ale to, co ujrzałem przerosło moje wyobrażenia. Reznikowowie nie żyli, oboje zostali zamordowani. Soni nie było, ale ja najlepiej wiedziałem, że ona też nie żyje. Wiem, że wtedy w obecności profesora Firleja, Adama Kiragi, Roberta i chyba Leszka Lasockiego powtórzyłem kilka razy, że Sonia nie żyje. Dobrze, że nikt nie zwrócił uwagi na moje słowa. Nie zastanawiałem się wówczas, kto zamordował Reznikowów.

200  
Zwyczajnie czułem ulgę, że już ich nie ma. Nigdy nie dowiedzą się, że ich jedyne dziecko nie żyje. Nie będę musiał, patrząc im w oczy, składać kondolencji. Jaka to była ulga. Czułem się uratowany, cudownie ocalony. Dopiero po kilku dniach zacząłem się zastanawiać, kto ich zamordował i dlaczego. Najbardziej ciekawił mnie los Soni. Policja nie mogła znaleźć jej ciała. Pomyślałem nawet, że ona przeżyła upadek z drzewa, że po uderzeniu w głowę straciła pamięć, że może

ktoś ją zabrał do samochodu i przygarnął na stałe. Tak intensywnie utrwaląłem tę wersję wydarzeń w swojej głowie, że odnalezienie jej zwłok wyprowadziło mnie z równowagi. Znowu chodzę roztrzęsiony i wystraszony. Nie mogę dłużej żyć w takim napięciu, to jest straszne. Wciąż myślę o tym, kto mógł przenieść jej ciało i zakopać w kurhanie, kto zadał sobie tyle trudu? Komuś bardzo zależało na tym, żeby szybko się nie odnalazła. Czy to był morderca jej rodziców? Czy widział, że to ja zabiłem Sonię?

## Rozdział XVII

Leszek Lasocki siedział przy stole i rozglądał się.

Widać było, że wizyta w mieszkaniu zamordowanej kochanki jest dla niego sporym przeżyciem. Ciężko oddychał, poświstując nieprzyjemnie. W kącikach zaciśniętych ust zebrała mu się ślina. Cienkie kosmyki włosów miał przyklejone do spoconego czoła. Przerwałam milczenie, mówiąc:

— Panie Leszku, pan mnie chciał wyprowadzić w pole. Pan chciał, żebym poszła fałszywym tropem, i prawie się to panu udało.

Uniósł wysoko brwi. Czoło pomarszczyło mu się, jak gdyby nagle postarzał się o dwadzieścia lat.

— Jak mam to rozumieć? - zapytał.

— Pokazując mi testament Benity von der Groeben, zasugerował pan, że wszyscy lokatorzy zmówili się i zabili Reznikowów. Był pan bardzo przekonujący. Uwierzyłam, że mieszkańcy kierowani zawiścią i ksenofobią mogli to zrobić.

Gdy się odezwał, poczułam nieprzyjemną woń jego oddechu.

202

- Nie chciałem wyprowadzić pani w pole. Ja wierzę w to, co pani powiedziałam. Gdyby mieszkała pani z tymi ludźmi tak długo jak my, to też uwierzyłaby pani w ich winę.

- Nie powiedział mi pan wszystkiego. Nie powiedział pan o swoim romansie z Ludmiłą.

Odrzucił głowę do tyłu, jak gdyby otrzymał mocne uderzenie w twarz. Jego usta drgnęły, ale żaden dźwięk się z nich nie wydobył. Znowu poruszył wargami i tym razem do moich uszu doleciał cichy szept:

- Kto pani to powiedział? Przecież nikt o tym nie wie.

- Sonia o was wiedziała. Zobaczyła pana z Ludmiłą nad jeziorem w intymnej sytuacji. Powiedziała o tym paru osobom. Pozwoli pan, że nie zdradzę, od kogo mam tę wiedzę. Muszę przyznać, że w świetle tego, co teraz wiem, pana relacja dotycząca morderstwa wydaje mi się mało wiarygodna. Był pan niezwykle mocno związany z ofiarą morderstwa. To budzi podejrzenia. Pan jest podejrzanym numer jeden. Może tamtego wieczoru w szale zazdrości zabił pan ich oboje?

- Za dużo się pani naoglądała seriali. To raczej Wołodia powinien zabić mnie, a nie ja jego.

Ukrył twarz w dłoniach i zaczął się kołysać w przód i w tył, jak osierocone dziecko.

—Jak mi jej brakuje — rzekł łamiącym się głosem. —Jak bardzo brakuje mi Ludmiły. Wiedziałem, że nasza miłość nie ma przyszłości, bo ja nigdy nie zostawiłbym żony. Był to jednak najpiękniejszy okres w moim życiu i chciałem, aby trwał wiecznie.

- Jak to się zaczęło? - zapytałam.

- Na pewno się pani zastanawia, jak to możliwe, że tak niezwykła kobieta związała się z kimś takim jak ja. Czasami  
203

sam się temu dziwię. Mam na to tylko jedno wytłumaczenie. Ludmiła szukała bratniej duszy, powiernika, kogoś wrażliwego, rozumiejącego, i dlatego znalazła mnie. Początek naszej przyjaźni był bardzo niewinny. Oboje mieliśmy w piątek korepetycje w Miłakowie o tej samej godzinie. Zaproponowałem więc, żebyśmy jeździli razem moim samochodem. Miło nam się rozmawiało w czasie drogi. Zwykle oboje mówiliśmy po rosyjsku, chociaż czasami przechodziłem na polski. Doskonale rozumiała nasz język, ale się nim nie posługiwała. Wszyscy myśleli, że nie zdołała się go nauczyć, to jednak nieprawda. Z pełną świadomością zrezygnowała z porozumiewania się naszą mową. Pozostała przy języku rosyjskim, żeby go nie zapomnieć. Twierdziła, że gdyby mieszkała na Węgrzech albo w Anglii, to mówiłaby tamtejszymi językami, bo one nie są tak zdradliwe jak polski. Polskie słowa podstępnie odsuwały te rosyjskie w lingwistyczny niebyt. Ludmiła pozostawiała w moim starym fordzie piękny zapach. Była to ciężka słodka woń dojrzałej kobiety. Zwykle czułem ten zapach przez dwa dni. Raz zostawiła na tylnym siedzeniu czarny szal. Nie odniosłem go, bo chciałem, aby pachniało mi w samochodzie dłużej. Lubiłem patrzeć, jak podczas jazdy bawi się frędzlami szala. Nawijała sobie taki frędzel na palec albo na nadgarstek. Miała smukłe zadbane dłonie i wąskie paznokcie zawsze pomalowane na czerwono. Usta też malowała na czerwono, często robiła to w samochodzie, szybko, dwoma, trzema ruchami, bez lusterka. Kiedyś zapytałem ją żartem, czy swój znakomity wygląd zawdzięcza recepturom zielarskim. Odpowiedziała poważnie, że tak. Wyjawiała mi też przepis na homeopatyczny eliksir młodości. Nie pamiętam dokładnie receptury, ale dwa podstawowe składniki  
204

to czosnek i spirytus. Ten przepis podobno pochodzi z Tybetu, z jakiegoś klasztoru. Zapisano go na glinianych tabliczkach. Został opracowany kilkanaście wieków temu. Już wtedy wiadano, że czosnek ma właściwości antysklerotyczne.

Ludmiła opowiadała mi o Wschodniej Syberii, o Republice Buriacji, o Babuszkinie, gdzie mieszkała do dwunastego roku życia z matką. Opowiadała pięknie tym swoim melodyjnym rosyjskim językiem. Prawie czułem, że jestem z nią i jej matką w małej drewnianej cerkwi albo na targu rybnym. Mówiła ze smutkiem i jakąś dziwną melancholią o czerwonych skałach rozciągających się po horyzont, o wyludnionych buriackich wsiach, o stuletniej drewnianej chałupie w Irkucku, w której zamieszkała z dziadkami po śmierci matki. Wyobrażałem ją sobie owiniętą czarnym szalem, stojącą pośrodku stepu z włosami rozwianymi wiatrem. Zaczynałem rozumieć, jak bardzo ona tutaj nie pasuje, jak musi jej być ciężko. Mówiła mi też o swoich marzeniach. Przede wszystkim chciała zabrać Sonię do Buriacji. Pragnęła pokazać córce Bajkał i płonące czerwienią skały. Obiecywała to jej od wielu lat, ale nie miała na tę podróż pieniędzy. Marzyła też o kupnie klasztoru gdzieś w Azji, w którym mogłaby urządzić klinikę dla zamożnych Europejczyków. Planowała leczyć ich ziołami i medytacją. Gdy wracaliśmy z ostatnich korepetycji przed wakacjami, to było w tamtym roku, pogłaskała mnie po dłoni i powiedziała, że będzie jej brakowało tych naszych wspólnych przejażdżek. Znowu w jej głosie pojawiły się smutek i melancholia. Byłem wzruszony. We wrześniu tak ustawiliśmy godziny naszych lekcji, żebym znów mógł ją zabierać. Teraz jeździliśmy wspólnie dwa razy w tygodniu, we

205 wtorek i w piątek. Pewnego wtorku poprosiła mnie, żebyśmy przed korepetycjami pojechali do Morąga, bo miała tam umówioną wizytę u stomatologa. Oczywiście zgodziłem się. Okazało się, że dentysty nie ma, poszliśmy więc na spacer nad rozlewisko. Patrzyła na wodę, a ja na nią. Tamtego dnia odniosłem wrażenie, że w jej oczach jest coś dzikiego, jak gdyby nigdy nie skaziła jej cywilizacja. W następnym tygodniu, gdy dojeżdżaliśmy do Miłakowa, dostała SMS-a z informacją, że matka jej ucznia odwołuje tego dnia korepetycje. Namówiła mnie, abym odwołał swoje lekcje i żebyśmy pojechali do Morąga do kina. Poczujęm się jak osiemnastolatek, który zamierza iść na wagary z najpiękniejszą dziewczyną w klasie. To było uroczę popołudnie. Po trzech tygodniach znowu pojechaliśmy do kina. Podczas seansu Ludmiła w pewnej chwili położyła mi głowę na ramieniu. Jej włosy łaskotały mnie w brodę. Zachłannie wdychałem ich kokosowy zapach. Szybko zabrała głowę, jakby nagle się opamiętała. W trakcie trzeciego pobytu w kinie trzymaliśmy się za ręce. Poza ciemną salą kina nie pozwalaliśmy sobie na takie czułości. Na początku grudnia stała się bardzo milcząca. Zapytałem, co się stało. Rozpląkała się i wyznała, że Wołodia nie rozumie jej tak dobrze jak ja, że w ogóle z nią nie rozmawia. Na koń-

cu dodała szeptem, że boi się swoich uczuć do mnie. Milczałem. Gdy wróciliśmy do pałacu, powiedziała, że nie będzie już więcej ze mną jeździć. Przygnębiła mnie tą informacją. Wiedziałem, że będzie mi brakowało tych wspólnych przejażdżek, a przede wszystkim rozmów. Na korytarzu poprosiłem ją, żeby dalej ze mną jeździła. Objęła mnie ramionami za szyję i zaczęła namiętnie całować. Byłem tak zaskoczony, że w pierwszej chwili

206  
chciałem ją nawet odepchnąć, na szczęście nie zrobiłem tego.

Następnego dnia zadzwoniła do mnie i powiedziała, żebym odwołał swoje piątkowe korepetycje, bo na ten czas zarezerwowała dla nas pokój w pensjonacie w Małdytach. Stałem z komórką przy uchu. Koleżanki, nauczycielki w różnym wieku, mijały mnie, potrącając lekko jak jakiś wieszak. Wydawały się nie zauważać mojej osoby. Zrozumiałem, że nie istnieję dla nich jako mężczyzna, ale za to prawdziwym facetem byłem dla Ludmiły, dla najpiękniejszej kobiety na świecie. Pojechaliśmy do tego pensjonatu. Przez całą drogę żadne z nas się nie odezwało, zaczęliśmy rozmawiać dopiero na miejscu. Przez półtorej godziny leżeliśmy obok siebie i rozmawialiśmy. Uwielbiałem z Ludmiłą rozmawiać. Z żoną nie mogę sobie pogadać. Renata czyta z ruchu warg, ale sama nie mówi, a właściwie mówi, ale ja niewiele z tego rozumiem. Dlatego do mnie pisze, to jednak nie to samo, co spontaniczna wymiana myśli. Z czasem Renata ograniczyła swoje pisanie do lakonicznych równoważników zdań. Ja przy niej też prawie stałem się niemową. Nie potrafiłem rozmawiać z ludźmi. Dopiero przy Ludmile odrodziłem się. Zasmakowałem w rozmowie, dyskusji, pogawędce, słownym flircie. Zacząłem prawić Ludmile komplementy po polsku, ona na nie odpowiadała długimi rosyjskimi zdaniami. Tak bardzo lubiłem słuchać tej jej zmysłowej, pieszczotliwej intonacji, że wymyślałem coraz to odważniejsze komplementy, by znowu móc usłyszeć jej wibrujący głos. Podczas kolejnego pobytu w pensjonacie nie poprzestaliśmy na rozmowie. Ludmiła była bardzo delikatną i czułą kochanką, ale ja wołałem z nią rozmawiać niż się kochać. Wiedziała, jak wielką

207  
przyjemnością jest dla mnie konwersacja, nie żałowała mi więc swoich słów. Często do mnie dzwoniła. Mogłem z nią rozmawiać, będąc w domu. Musiałem jedynie uważać, żeby Renata nie obserwowała ruchu moich warg. Żonie mówiłem, że to dzwoni kolega, który wziął się za robienie doktoratu i chce ze mną skonsultować swoją pracę. Ludmiła stała się dla mnie bardzo ważna. Pokochałem ją całym sercem. Bynajmniej nie przestałem kochać żony. Można kochać jednocześnie dwie kobiety. Za jedną i za



drugą oddałbym życie. Niestety, Ludmiły nie udało mi się ochronić. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że Reznikowie znajdują się w tak wielkim niebezpieczeństwie. Ona na początku też nie przypuszczała, że może grozić im śmierć. Raczej liczyła się z tym, że ktoś będzie próbował wykraść im testament. Na kilka dni przed morderstwem ktoś próbował włamać się do ich mieszkania. Zasugerowałem jej, aby umieścili ten dokument w sejfie bankowym. Zamierzali to zrobić, ale nie zdążyli. Ludmiła opowiedziała mi o testamencie hrabiny von der Groeben. Był on sporządzony na rzecz ojca Wołodii, Siergieja Reznikowa. Siedemnaście lat temu Siergiej umarł. Przed śmiercią złożył ten dokument na jej ręce i powiedział, że to prezent ślubny od niego. Nie posiadała się z radości, dostała przecież pałac. Dobrze ją rozumiem, była młoda, a Wołodia obiecał jej, że będzie bogata. Myślała, że właśnie ta obietnica się spełnia. Po śmierci teścia dopytywała się, kiedy zrealizują testament. Wtedy mąż sprowadził ją na ziemię. Wyjawił, w jakich okolicznościach testament został sporządzony, że żaden sąd nie uzna jego ważności. Schowali dokument, ale dwa lata temu niespodziewanie Wołodia znowu zaczął o nim mówić. Twierdził, że dobry adwokat pomoże im przejąć pałac.

208

Wyszukiwał w Internecie przykłady, jak to ludzie na podstawie mniej wiarygodnych dokumentów odzyskują nieruchomości. W końcu po kilkunastu miesiącach zdecydowali się podjąć formalne kroki.

Na dwa dni przed morderstwem Ludmiła przyszła do mojego mieszkania. Przyniosła kopertę i poprosiła o jej przechowanie do poniedziałku. Oczywiście domyśliłem się, że w środku jest testament. Ludmiła była bardzo zdenerwowana. Chciałem się dowiedzieć, co jest tego przyczyną. Moja żona siedziała jednak z nami przy stole, musieliśmy więc uważać nie tylko na słowa, ale również na gesty i spojrzenia. Gdy tylko Renata odwróciła głowę, zapytałem Ludmiłę, dlaczego jest taka roztrzęsiona. W jej oczach pojawiły się łzy. Powiedziała, że się boi, że Wołodia nie zdaje sobie sprawy, w jakim niebezpieczeństwie się znaleźli, że natychmiast muszą się stąd wyprowadzić. Wtedy wydawało mi się, że przesadza, przecież próba odzyskania pałacu nie mogła wiązać się z tak wielkim niebezpieczeństwem. Chciałem ją objąć i uspokoić, poprosiłem więc, żebyśmy za kwadrans spotkali się na korytarzu przy dużej dębowej szafie. Nie zgodziła się. Już nie zdążyliśmy porozmawiać. Sądzę, że wtedy, na dwa dni przed morderstwem, Ludmiła doświadczyła jakiejś poważnej agresji ze strony któregoś z lokatorów. Ktoś mógł jej powiedzieć, że prędzej ich zabiją, niż pozwolą odebrać pałac. Zawisać to najgorsze z ludzkich uczuć. Nadal uważam, że to mieszkańcy są zabójcami. Sonię prawdopodobnie zabili poza pałacem, dlatego jej

ciało ukryli w kurhanie. To są potwory, a nie ludzie. Nie mogę na nich patrzeć.

Leszek Lasocki wierzchem dłoni wytarł pot z czoła.

Ciężko oddychał otwartymi ustami i mocno pociągał  
209

nosem. Widać było, że próbuje nad sobą zapanować, że powstrzymuje się od płaczu. Był rozemocjonowany, postanowiłam więc to wykorzystać. Pochyliłam się do niego i powiedziałam:

— Panie Lasocki, to nie lokatorzy zamordowali Reznikowów, zrobiła to pana żona. Dowiedziała się o pana romansie z Ludmiłą, prawdopodobnie bała się, że pan ją zostawi. Kobieca zazdrość i strach przed porzuceniem są równie destrukcyjne jak zawiść, też mogą doprowadzić do zbrodni. Pan dobrze wie, że to Renata ich zabiła, dlatego pokazał mi pan ten testament i zasugerował, że to on jest motywem zabójstwa. Chciał pan odsunąć podejrzenie od swojej żony. Prawie panu uwierzyłam.

Odrzucił do tyłu głowę jak wtedy, gdy powiedziałam mu, że wiem o jego romansie z Ludmiłą. Ponownie udało mi się go zaskoczyć. Roześmiał się nerwowo, odsłaniając duże braki w uzębieniu. Zaczął mówić:

— Nie myślałem, że ktokolwiek może podejrzewać moją żonę. To, co pani mówi jest śmieszne, niedorzeczne. Renata jest bardzo dobrą kobietą, muchy by nie skrzywdziła. Na pewno nie wiedziała o moim romansie, a gdyby się dowiedziała, to jestem pewien, że jej stosunek do Ludmiły i jej rodziny by się nie zmienił.

— To dlaczego ukrywał pan przed żoną swój związek z panią Reznikow? Skoro Renata jest taka wspaniałomyślna, może pozwoliłaby panu spotykać się z kochanką w waszym mieszkaniu.

— Gdyby Renata dowiedziała się o moim romansie, to byłoby jej przykro, dlatego ten fakt ukrywałem. Byłoby jej przykro, ale w jej sercu na pewno nie pojawiłaby się nienawiść. Renata naprawdę jest wyjątkowa. Ona uważa, że  
210

w życiu trzeba się kierować miłością i dobrocią, nawet w stosunku do wrogów. Nigdy w mojej żonie nie zauważyłem nawet cienia agresji czy złości.

— I uważa pan, że to jest normalne? — zapytałam.

— Niektórzy ludzie są po prostu bezgranicznie dobrzy - odparł.

— Chciałabym porozmawiać z Renatą. Czy ma pan coś przeciwko temu?

— Wolałbym, żeby pani nie mówiła jej o moim związku z Ludmiłą. Zakłócając spokój mojej żony, nic pani nie zyska, nic więcej pani się nie dowie.

Podniosłam się. Leszek Lasocki zrozumiał, że wizyta u mnie dobiegła końca, i też wstał. Wzięłam ze stołu klu-

cze i ruszyłam za nim do drzwi. Gdy byliśmy już na zewnątrz, odezwał się:

— Nie odpuści pani mojej żonie tej rozmowy?

— Muszę się upewnić, że to nie ona — odpowiedziałam.

— W takim razie zaprowadzę panią i zostawię was same.

Szłam zagraconym korytarzem za małym siwym człowieczkiem. Gdyby nagle znieruchomiał i przywarł do któregoś z mebli, mógłby pozostać niezauważony. Lokatorzy przechodziliby obok niego i myśleli, że jest to porzucone wyposażenie mieszkania. Taki niepozorny mężczyzna, a być może jedna kobieta z jego powodu zabiła, a inna wraz z mężem z jego powodu zginęła.

Leszek otworzył drzwi swojego mieszkania i wpuścił mnie pierwszą. Renata siedziała przy stole. Miała na sobie niebieski fartuch. W dłoni trzymała pędzel umaczany w niebieskiej farbie. Na leżącej przed nią kartce papieru lśniły niebieskie smugi. Podszedł do niej i położył rękę na jej ramieniu. Zobaczyłam, że kiwnęła potakująco głową. Była to

211

reakcja na jego słowa, ale ja nie usłyszałam, co powiedział. Mówił, nie wydobywając z siebie głosu. Ruszał jedynie ustami. Pożegnał mnie niezgrabnym ukłonem i wyszedł z pokoju. Renata odłożyła pędzel i odsunęła akwarelę na brzeg stołu. Uśmiechała się. Na lewym policzku miała niebieską plamkę. Wyglądała jak mała, niewinna dziewczynka, która podczas zabawy wybrudziła się farbami. Niebieską farbą miała też zaplamione dwa palce prawej ręki. Lewą dłonią objęła prawy nadgarstek i powoli ściągnęła prawą rękawiczkę cielistego koloru. Potem zdjęła lewą rękawiczkę. Teraz miała czyste ręce. Mój mózg, prawie mimo woli, zarejestrował fakt, że pani Lasocka używa podczas malowania gumowych rękawiczek, które nie pozostawiają odcisków palców. Wzięła z parapetu czerwony notes, otworzyła go i pokazała wypowiedź numer 3: „Kawę czy herbatę?”. Poprosiłam o wodę. Postawiła na stole dwie wysokie szklanki po brzeg wypełnione przezroczystym płynem. Usiadłyśmy naprzeciwko siebie. Odchrząknęłam i zaczęłam mówić:

— Od kilkunastu dni słucham, co lokatorzy mają do powiedzenia o Reznikowach i próbuję sobie stworzyć portret tej rodziny. Wiem o pewnych faktach, ale chciałabym je sprecyzować, uzupełnić. Myślę, że mogłabyś mi pomóc, jeżeli oczywiście zechcesz. — Ruchem głowy dała znać, że się zgadza, ciągnęłam więc dalej: — Misiakowa powiedziała mi, że Sonia i Ludmiła miały kochanków. Zastanawiam się, czy to prawda. Wiesz coś o tym?

Renata podparła brodę ręką i przymrużyła oczy. Dotknęłam palcem jej policzka i powiedziałam:

— Tutaj masz trochę niebieskiej farby.

Wsadziła palec do szklanki z wodą, a potem potarła nim wskazane przeze mnie miejsce.

-Już jesteś czysta - oznajmiłam.

Otworzyła czerwony notes i zaczęła pisać. Wyczekując wodziłam wzrokiem za długopisem. Patrzyłam, jak wypełnia równym pismem cały jeden wers i połowę drugiego. Tylko półtorej linii i aż półtorej linii. Gdy podsunęła notes w moją stronę, przeczytałam:

— O Soni nic nie wiem. Kochankiem Ludmiły był Leszek.

— Skąd wiesz, że to Leszek? — zapytałam od razu.

Przysunęła sobie notes i zaczęła pisać. Tym razem wypełniła więcej linijek. Piłam wodę i czekałam, aż skończy. Potem odczytałam:

— Leszek zachowywał się dziwnie. Przestał czytać książki, siedział i patrzył w okno. Dużo rozmawiał przez komórkę i zawsze się odwracał, żebym nie wiedziała, co mówi. Nie chciał powiedzieć, o co chodzi. Myślałam, że ma problemy i nie chce mnie nimi martwić. Nie chciałam, żeby sam się zadręczał. Bałam się, że sobie nie poradzi z tymi kłopotami. Musiałam dowiedzieć się, co go gnębi. Gdy więc rozmawiał przez telefon, włączyłam w swojej komórce dyktafon. Potem plik z nagraniem wysłałam dobrej znajomej i poprosiłam o spisanie treści nagrania. Odesłała mi trzystronicowy zapis pełen czułych słówek.

— Co zrobiłaś? — zapytałam, podsuwając jej notes.

— Przeczekałam. Wiedziałam, że to się skończy — odpisała.

— Ja bym swojego męża zabiła i jego kochankę też - powiedziałam.

— Wyrozumiałość jest najprostszą drogą do czynienia dobra — napisała Renata.

Brzmiało to jak sentencja jakiegoś filozofa, którą można przytoczyć, jeżeli nie chce się ujawnić własnych myśli. Podobne frazy umieszczała na swoich akwarelach. Rozejrzałam się wokół. Obrazki wisiały wszędzie, nawet pod sufitem i parę centymetrów nad podłogą. Większość z nich zawierała jakąś pozytywną myśl. To wyglądało jak terapia służąca wyciszeniu złych emocji. Zwróciłam się do Renaty:

— Nie ma wyrozumiałych żon, spokojnie patrzących na zdradę męża. Co naprawdę wtedy myślałaś?

W odpowiedzi podkreśliła zapisaną wcześniej sentencję:

— Wyrozumiałość jest najprostszą drogą do czynienia dobra.

Wyjęłam z jej dłoni długopis i zamazałam to zdanie, mówiąc:

— Gdybyś była taka święta, na jaką się kreujesz, to nie

nagrywałabyś potajemnie rozmów swojego męża, bo to niemoralne. Nie wmówisz mi, że chciałaś pomóc mu w rozwiązaniu jego problemów. Podejrzewałaś, że kogoś ma, i chciałaś jedynie się upewnić, kim jest ta kobieta. Wydaje się, że jakąś obcą babę byś przeboleła, ale nie Ludmiłę, nie piękną sąsiadkę, dla której zawsze byłaś miła i uczynna. Prawdopodobnie żądałaś od Leszka, żeby z nią zerwał. On obiecywał, że to zrobi, ale nadal się z nią spotykał. Tamtej soboty późnym wieczorem postanowiłaś, że sama wszystko zakończysz. Poszłaś do Reznikowów z napisaną kartką. Planowałaś wręczyć ją Ludmile, ale ona zrobiła coś takiego, co cię rozwścieczyło, i ją udusiłaś. Miałaś akurat na rękach gumowe rękawiczki, w których malujesz, dlatego nie zostawiłaś odcisków palców. Wciągnęłaś Ludmiłę pod łóżko,

214

znalazłaś u nich nóż i poczekałaś, aż Wołodia wyjdzie z łazienki. Jesteś bardzo silna, atakując z zaskoczenia, zdołałaś go zabić. Leszek o wszystkim wie, ale cię kryje, bo sam czuje się winny. To on swoim zachowaniem wywołał u ciebie taką agresję.

Czekałam na jej reakcję, na jakiś gest, który potwierdziłby moje słowa. Powinna zasłonić twarz rękami i się rozplakać albo zacisnąć szczęki i gwałtownie zaprzeczać ruchem głowy. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Renata siedziała spokojnie i patrzyła na mnie, uśmiechając się uprzejmie. Pchnęłam w jej stronę notes, dając w ten sposób znak, że oczekuję odpowiedzi. Ujęła długopis i niespiesznie zaczęła pisać:

- Wyrozumiałość jest najprostszą drogą do czynienia dobra. Dla ciebie i twoich podejrzeń też jestem wyrozumiała.

Po przeczytaniu tych zdań podniosłam się. Zanim wyszłam, powiedziałam jeszcze:

- Przepraszam.

Nie byłam pewna, czy Renata dojrzała to słowo wypowiedziane zbyt szybko i mało wyraźnie.

Szłam korytarzem, a właściwie cicho przemykałam, jakbym chciała pokonać tę klaustrofobiczną przestrzeń niezauważona. Czyjeś oczy wypatrzyły jednak moją skuloną sylwetkę, ktoś na mnie czekał ukryty między meblami.

Nagle poczułam mocne szarpnięcie za ramię, które obróciło mnie o sto osiemdziesiąt stopni. Stałam naprzeciwko Leszka Lasockiego.

- Przestraszył mnie pan — powiedziałam.

Chciałam się cofnąć o krok, ale za mną nie było miejsca.

215

- Pomyliła się pani co do mojej żony - wysyczał mi prosto w twarz. Zemdlilo mnie, gdy poczułam nieświeżą woń jego oddechu. Wyszarpnęłam ramię z uścisku i odda-

lając się, rzuciłam:

— Wcale nie jestem pewna, czy Renata jest niewinna. Może po prostu dobrze się maskuje.

### Rozdział XVIII

Leżałam na metalowym łóżku Soni i zastanawiałam się, z kim jeszcze mogę porozmawiać, który z lokatorów zechce wyjawić mi swoją lub cudzą tajemnicę. Może powinnam pójść do Roberta? On przecież interesuje się pałacami i zamkami. Może Wołodia właśnie jemu powiedział o testamencie i swoich planach przejęcia Ponar? Poprawiłam makijaż, skropiłam szyję perfumami i wyszłam z pokoju. Stojąc przed drzwiami mieszkania numer 1, włączyłam nagrywanie w dyktafonie, a następnie zapukałam. Robert był sam. Myślał, że przyszedłam do Joanny. Zaczął wyjaśniać, dlaczego jeszcze jej nie ma. Zgarnął z fotela książki i poprosił, abym usiadła. Sobie zrobił miejsce na kanapie, odsuwając sukienki i zakłady. Miał rozpiętą do pasa koszulę i rozczochrane włosy. Chyba pod wpływem mojego zbyt natrętnego spojrzenia zaczął się zapinać.

- Czy widział pan kiedyś testament hrabiny Benity von der Groeben? - zapytałam niespodziewanie.

Jego palce trzymające guzik koszuli znieruchomiały na moment.

217

— Nigdy go nie widziałem, ale o nim słyszałem. Nie mam jednak pewności, czy naprawdę istnieje.

Mówił powoli, jakby ważył każde słowo, jakby nie chciał za dużo powiedzieć.

— Kto panu wspomniał o testamencie? — pytałam dalej.

Rozejrzał się po pokoju, a potem wymijająco oznajmił:

— Nie wiem, czy w ogóle mamy na myśli ten sam dokument. Może jest kilka testamentów hrabiny von der Groeben. Nie wszystkie muszą być autentyczne.

— Dlaczego pan nie chce porozmawiać ze mną o testamencie, w którego posiadaniu był Wołodia?

Pochylił się do przodu i zapytał:

— Czy pani widziała ten testament?

Gdy kiwnęłam potakująco głową, ożywił się, a nawet ucieszył. Zaczął natarczywie pytać:

— Gdzie pani widziała ten testament? Dlaczego policja go nie znalazła? Czy pani go ma? Kto pani go pokazał? Niech pani powie, przecież ten, kto ma testament, może być mordercą.

Nie pozwoliłam, aby udzieliły mi się jego emocje. Spokojnie odparłam:

— Kiedy ostatni raz z panem rozmawiałam, twierdził pan, że to kochanek Ludmiły zabił Reznikowów.

Kilka razy odetchnął głęboko i zaczął mówić:

— Miałem dwie teorie na temat tego morderstwa. Bardziej skłaniałem się ku temu, że to kochanek Ludmiły ich zabił. Ale zastanowiło mnie, że morderca czegoś szukał w mieszkaniu Reznikowów, bo na łóżku były porzucane książki i papiery. Pomyślałem, że zabójca szukał testamentu, po niego przyszedł, z jego powodu zabił trzy osoby.

218

Ta teoria była niewiarygodna, wręcz fantastyczna, ale dla mnie bardzo pociągająca. Nikomu jednak jej nie przedstawiałem, bo nawet nie wiedziałem, czy ten testament, o którym po pijaku powiedział mi Wołodia, w ogóle istnieje. Gdy trzeźwego Reznikowa zagadnąłem w tej sprawie, tylko machnął ręką i mruknął, że nic nie pamięta. Chciałbym, żeby zapis ostatniej woli hrabiny von der Groeben istniał. Niech pani pomyśli, testament został sporządzony przez pruską hrabinę na rzecz radzieckiego oficera, który był jej katem. Przecież to idealny temat na powieść kryminalną. Gdyby się jeszcze okazało, że zamordowany tutaj Wołodia Reznikow był synem tego radzieckiego oficera, to dopiero byłaby sensacja.

Gdy umilkł, zapytałam:

— Komu tak bardzo mogło zależeć na testamencie, że aż z jego powodu zabił całą rodzinę?

— Nie wiem. Do tej pory uważałem, że ta teoria to moja fantazja. Może jednak się mylę. Niech pani powie, kto ma testament.

Milczałam. Mijały sekundy, a ja wciąż milczałam.

Szczęki Roberta zacisnęły się, rysy wyostrzyły. Gdy się odezwał, usłyszałam w jego głosie złość.

— Pani nie widziała testamentu hrabiny von der Groeben, pani jedynie o nim słyszała. Widocznie Wołodia jeszcze komuś innemu o nim wspomniał. Przyszła pani tutaj, bo myśli pani, że ja go mam, że to ja ich zabiłem.

Wzburzeni ludzie zwykle podnoszą głos, a Robert przeciwnie, mówił cicho. Ostatnie słowa wypowiedział szeptem. Dostosowałam się do jego sposobu mówienia i też ściszyłam głos.

219

— Nie wykluczam, że pan jest mordercą. Być może zabił pan dla kawałka starego papieru, który w pana chorym umyśle jest czymś w rodzaju piątej ewangelii, świętego Graala. Pasjonatom, naukowcom czasami odbija, może panu też odbiło. Nie znalazł pan testamentu w mieszkaniu Reznikowów, bo na dwa dni przed morderstwem Ludmiła przekazała go zaufanej osobie na przechowanie. Nie powiem komu, bo nie wiem, czy nie zabije pan kolejnej osoby, żeby go zdobyć.

Tym razem Robert milczał, a ja niecierpliwie czekałam na jego słowa. Oboje drgnęliśmy, gdy otworzyły się drzwi

i do pokoju weszła Joanna. Za każdym jej ruchem powietrze nappełniało się zapachem perfum. Rozwiązując apaszkę i rozpinając płaszcz, wysłuchiwała zapewnień Roberta, że przyszedł przed chwilą i czekam na nią. Szybko potwierdziłam, że to prawda, to jednak nie rozwiało jej podejrzeń. Spojrzała badawczo na mnie, a potem na swojego mężczyznę. Tonem, jakim zwykle zwraca się uwagę dzieciom, powiedziała:

— Kochanie, masz krzywo zapięte guziki.

Widziałam, jak Robert zaciska szczęki. Chcąc rozładować napięcie, zwróciłam się do niego, szczebiocząc jak nastolatka:

— Kochanie, mogłeś pozwolić, żebym zapięła ci guziczki, zrobiłabym to lepiej.

Joanna roześmiała się głośno. My wtórowaliśmy jej nieco ciszej. Opadła na kanapę w miejsce, gdzie wcześniej siedział Robert i, siląc się na uprzejmość, rzekła:

— Miło, że wpadłaś. Jak ci idzie pisanie powieści?

— Jeszcze nie zaczęłam pisać. Wciąż jestem na etapie zbierania informacji. Właśnie w tej sprawie do was przy-

szłam. Chciałam z wami porozmawiać o testamencie hrabiny von der Groeben.

— O czym? — zapytała, przenosząc wzrok ze mnie na Roberta i z powrotem.

— O testamencie hrabiny von der Groeben — powtórzyłam.

— To coś takiego istnieje?

Była wyraźnie zaskoczona. Robert pospieszył z wyjaśnieniem:

— Nie mówiłem ci o tym, bo nie wiedziałem, czy to prawda, ale podobno Wołodia miał testament hrabiny von der Groeben.

Gdy Joanna się odezwała, w jej głosie słyhać było jeszcze większe zdumienie:

— Wołodia? Ale dlaczego on? Przecież taki testament powinien być w posiadaniu któregoś z potomków von der Groebenów.

— O ile się orientuję, nie ma żadnych potomków tej rodziny, chociaż może się mylę — powiedział Robert.

Joanna pstryknęła energicznie palcami, aż błysnęły pierścionki. Tajemniczy uśmiech pojawił się na jej twarzy, gdy zaczęła mówić:

— Coś wam powiem. Jak byłam w muzeum w Morągu i przyglądałam się portretom von der Groebenów, to przyszło mi do głowy, że nasza pani Blumfeld jest do nich podobna. Co wy na to?

Spodziewała się, że poruszy nas tą informacją, tymczasem Robert spokojnie oświadczył:

— Ja nie zauważyłem żadnego podobieństwa.



Wyciągnęła oskarżycielsko w jego stronę palec zakończony ostrym czerwonym paznokciem i powiedziała:

221

— A gdzie twój instynkt historyka badającego dzieje pałaców i zamków? Każdy trop, nawet najbardziej absurdalny, powinien cię zaciekać. - Następnie zwróciła się do mnie: - Ciebie, Alu, zapewne zainteresują ewentualne kolidacje pani Blumfeld z Groebenami. To mógłby być fajny, poboczny wątek w twojej książce.

— To ciekawe, ale dlaczego starsza pani miałaby ukrywać swoje arystokratyczne pochodzenie? Dlaczego podawałaby się za niemiecką Żydówkę?

— To już twoje zadanie, żeby się tego dowiedzieć — powiedziała Joanna.

Spojrzałam na zegarek. Było parę minut po szesnastej.

Muzeum powinno być otwarte jeszcze przez godzinę.

Pożegnałam się i wyszłam. Pół godziny później zaparkowałam przed barokowym pałacem w Morażu.

— Zaraz zamykamy — zawołała młoda dziewczyna, gdy weszłam do holu.

— Ja na krótko - zakomunikowałam.

Wyszukałam w portfelu siedem złotych i zapłaciłam za bilet. Szybkim krokiem przechodziłam przez kolejne pomieszczenia, z komnaty barokowej do saloniku biedermeierowskiego, następnie do gabinetu w stylu empire i do saloniku secesyjnego. Interesowały mnie tylko rodowe portrety von der Groebenów. Znalazłam je w sali balowej, wisiały pośród podobizn innych członków pruskiej arystokracji. Przesuwałam wzrokiem po twarzach Dohnów, Denhoffów, Lendorfów, Kunheimów, Tettauów, Schwerinów, Podewilsów, Auerswaldów i Groebenów. Zatrzymałam się przed portretem Laury Agnes von der Groeben. Jej okrągła buzia z wystającą bródką nie przywodziła na myśl drobnej, pomarszczonej twarzy pani Blumfeld.

222

Albertyna von der Groeben i Augusta von der Groeben także nie wyglądały na jej krewne. Trudno było dopatrzeć się podobieństwa w wypudrowanych na biało twarzach otoczonych siwymi lokami barokowych peruk. Spuściłam głowę i ruszyłam do wyjścia. Mijając Laurę Agnes von der Groeben spojrzałam na nią jeszcze raz. Miała gładko przyczesane włosy jak pani Blumfeld, miała też równie duże oczy, ale o wiele jaśniejsze.

Po powrocie do Ponar skierowałam się do mieszkania numer 2. Postanowiłam jeszcze raz przyjrzeć się pani Blumfeld, przecież Joanna nie wymyśliła sobie tego podobieństwa. Zapukałam. Nikt nie otworzył, nacisnęłam więc klamkę i weszłam do komnaty. Starsza pani siedziała w fotelu z rzeźbionymi poręczami. Trzymała na kolanach wąskie pudełko, a w ręku białą kopertę. Spojrzała na mnie, wysu-

wając głowę do przodu. Miałam wrażenie, że nie zostałam rozpoznana.

- To ja, Alicja Prus, nowa lokatorka pałacu - przedstawiłam się. — Byłam u pani na kawie parę dni temu.

- Ach, to ty, moja droga. Myślałam, że to ta wścibska Joanna - powiedziała pani Blumfeld, chowając kopertę do pudełka.

Znikła gdzieś przytulna atmosfera, której doświadczyłam tutaj przy pierwszej wizycie. Teraz w komnacie było zimno. W kominku nie palił się ogień. Było też przeraźliwie cicho. Zabytkowy zegar w rogu pokoju nie tykał. W pomieszczeniu unosiła się nieprzyjemna woń lekarstw i kocich odchodów. Gdy zbliżyłam się do starszej pani, przycisnęła do siebie pudełko, jakby obawiała się, że je zabiorę.

- Moja droga, z jaką sprawą do mnie przychodzisz?

- zapytała.

223

— Chciałam z panią porozmawiać o von der Groebenach — odparłam.

— Niestety, moja droga, ja ich nie znałam, moi rodzice też nie znali tej rodziny. Znali za to Dohnów. Jeden z Dohnów kochał się w mojej matce. Nic dziwnego, Greta była przepiękna i śpiewała tak, że porywała wszystkie serca. Kiedyś dostała od hrabiego etolę z lisów. Gdy byłam mała, owijałam się tą etolą i paradowałam przed lustrem.

Patrzyłam na twarz pani Blumfeld gęsto pokrytą zmarszczkami, na blade usta i duże brązowe oczy. Musiałam przyznać, że było jakieś podobieństwo z postaciami na portretach, ale to nie było podobieństwo fizyczne, lecz mentalne, uwidaczniające się w ruchu głowy, w spojrzeniu, w sposobie siedzenia. To podobieństwo można było określić jako „pańskość”. Starsza pani wyglądała jak wielka dama, jak arystokratka przyzwyczajona do wydawania poleceń. Joanna miała prawo widzieć w niej panią na włościach.

— Zimno tutaj, czy napalić pani w kominku? — zapytałam.

— Moja droga, gdybyś mogła. Profesor się zobowiązał, ale dzisiaj nie przyszedł. Nie wiem dlaczego. Chyba będę musiała kogoś innego poszukać do tego zadania.

W holu obok drzwi mieszkania pani Blumfeld stała zbita z desek skrzynia. Znalazłam w niej drwa i stertę gazet. Ułożyłam w kominku niewielki stosik, między szczapy wcisnęłam zwinięty papier i rozejrzałam się za zapalkami. Pani Blumfeld, domyślając się, czego szukam, zakomunikowała:

— Zapalki leżą na komódce.

Gdy sięgałam po pudełeczko, zauważyłam, że zdjęcia w miedzianych ramkach zostały przestawione. Teraz pierw-

224

sza stała fotografia małej dziewczynki, czyli pani Blumfeld,

następnie zdjęcie Grety, jej męża i teściowej. Przytknęłam zapaloną zapalną do papieru. Z przyjemnością patrzyłam, jak języki ognia obejmują kolejne drwa. Odłożyłam zapalną na wąską komódkę. Miałam już wrócić do kominka, ale moją uwagę przykuło zdjęcie Grety. Za plecami młodej kobiety w jasnej sukience rozciągała się tafla wody, zapewne jakieś jezioro. Na fotografii znajdował się też bardzo znajomy element. Patrzyłam z niedowierzaniem na dwa duże bliźniacze kamienie. Już je kiedyś widziałam na innym zdjęciu. To było zdjęcie umieszczone w profilu Soni na Naszej Klasie. Sonia z matką siedziały na identycznych głazach, też na tle jeziora. Bez wątplenia było to jezioro Ponary. Z fotografią Grety w ręku podeszłam do pani Blumfeld i powiedziałam:

- To zdjęcie zostało zrobione tutaj, w Ponarach, przed wojną. A więc Greta знаła von der Groebenów. Dlaczego ukryła pani to przede mną?

— Moja droga, proszę, odstaw zdjęcie mojej matki na miejsce.

Dopiero teraz zauważyłam, że zwrot: „moja droga” nie jest wcale życzliwy. Zwracała się do mnie jak do mało rozgarniętej pokojówki. Upuściłam fotografię w miedzianej ramce na mozaikową posadzkę. Spadła z głośnym stuknięciem. Pani Blumfeld podniosła się gwałtownie. Pudełko leżące na jej kolanach zsunęło się na podłogę. Wyleciały z niego jakieś papiery. Nachyliłam się i podniosłam dużą kartkę. Patrzyłam na wyblakłe pismo, na wielkie ozdobne litery i na pieczęć herbową von der Groebenów. Nie miałam żadnej wątpliwości, że jest to ten sam herb, który ozdabia boczne skrzydło pałacu. Przełamany na pół emblemat,

225

z jednej strony noga drapieżnego ptaka, z drugiej włócznia, całość otoczona liściem akantu. Pani Blumfeld klęczała u moich stóp i zbierała pozostałe papiery. Patrzyłam na jej małą siwą głowę i wąskie plecy. Trzymając się stolika, wstała. Bez słowa wyjęła mi z ręki dokument.

- Hrabino, dlaczego pani ukrywa swoją tożsamość, swoje arystokratyczne pochodzenie? — zapytałam.

W milczeniu układała papiery w wąskim pudełku.

- Hrabino, czy pani wie, że Wołodia planował przejąć pałac? Czy pani ma coś wspólnego ze śmiercią Reznikowów?

Płomienie głośno trzaskały na kominku, rzucając czerwony ślad na posadzkę. W ich świetle leżała fotografia Grety. Hrabina ponownie uklękła i ją podniosła. Najpierw obejrzała zdjęcie, potem, podając mi je, powiedziała:

- Moja droga, musisz bardziej uważać. Przez twoją nieuwagę pękła szybka. Proszę, zajmij się jej wymianą.

Wzięłam fotografię i spojrzałam na nią. Twarz młodej kobiety została zniekształcona przez ciekłą białą kreskę.

- Czy Greta naprawdę była Żydówką? Czy spędziłyście okupację w warszawskim getcie? — pytałam dalej. Pani Blumfeld rozejrzała się po komnacie i zaniepokojonym głosem zauważyła:

- Nie ma Romla. Powinien już wrócić. Gdzie on znowu łązi? Moja droga, czy mogłabyś go odnaleźć i przyprowadzić tutaj?

Starsza pani nie miała zamiaru odpowiadać na moje pytania. Odstawiłam fotografię Grety na komódkę i wzięłam zdjęcie jej teściowej.

- Czy ta kobieta to Benita von der Groeben? Czy to prawda, że przed śmiercią rozegrała partię szachów

226  
z radzieckim oficerem? To Reznikow był tym oficerem? To on ją zabił, a może któryś z jego żołnierzy?

Pani Blumfeld pieszczotliwie, jak mała dziewczynka, nawoływała Romla. Podeszła do długich ciemnobrązowych zasłon i poruszyła nimi. Następnie pochyliła się nad sofą i podniosła każdą z leżących tam poduszek. Usiadłam na fotelu i mówiłam dalej:

- Wołodia to był taki sympatyczny i dobry człowiek. Wszyscy tak mówią. Wszyscy go lubili. Czy pani też go lubiła? A co pani sądzi o Soni? To podobno było dobre dziecko. Szkoda, że nie żyją. Nie zasłużyli na tak okrutną śmierć. Czy pani się ze mną zgadza?

Pani Blumfeld sunęła ku mnie z wysuniętymi do przodu rękami i rozczapierzonymi palcami. Wokół jej bladej twarzy kołysały się uwolnione z koka siwe kosmyki włosów. Przypominała drapieżnego ptaka na polowaniu. Zatrzymała się po drugiej stronie stolika, pochyliła się i wyszczała:

- Wołodia i Sonia to diabelski pomiot. Zasłużyli na to, co ich spotkało. Mam nadzieję, że smażą się w piekle jak ten morderca, który zabił moją babkę.

Ogień buchnął w kominku, owiewając mnie gorącą falą powietrza. Zamarłam, gdy za moimi plecami rozległo się miauczenie. Romel wysunął się zza fotela i podszedł do swej pani. Wciąż miauczając, ocierał się o jej nogi. Hrabina von der Groeben usiadła naprzeciwko mnie, a kot natychmiast wskoczył na jej kolana. Położyła drobną wychudzoną rękę na jego grzbiecie i ciągnęła swój wywód:

- Ruscy wpadli do pałacu jak bydło. Krzyczeli, kolbami walili po meblach, pięściami uderzali w klawisze pianina. Moja babka zwróciła im uwagę, że mają brudne buty, że

227  
zadeptują dywany. Wtedy jeden z nich otworzył górę pianina i się do niego wysikał. Do swoich kompanów krzyknął: „Towarzysze, walcie do instrumentu, bo podłogi szkoda”.

- Wielu poszło za jego przykładem. To było ohydne. Bardzo się bałam. Schowałam się za sofą. Naszą pokojówkę

Matyldę ciągnęli za włosy po podłodze. Błagała tych bandytów o życie, a oni rzeli jak konie i ją gwałcili. Po półgodzinie przestała krzyczeć. Z nich wszystkich najgorszy był Reznikow. Krzesłem powybił szyby we wszystkich oknach. Było bardzo zimno, styczniowa noc, wiatr hulał po komnatach. Siedziałam za sofą i drżałam. Pamiętam, jak żołdaci biegali po pałacu, rozbite szkło chrzęściło pod ich ciężkimi buciorami. W jadalni stała klatka z kanarkiem. Zapalili kilka świec wokół klatki i zaczęli strzelać do kanarka. Reznikow kłął, bo nie mógł trafić w trzepoczącego się małego ptaszka. W końcu jego adiutant zabił mojego kanarka. To jeszcze bardziej rozwścieczyło Reznikowa. Pistoletem uderzył adiutanta w głowę, ten od razu padł na podłogę. Wybiegłam zza sofę, przypadłam do mojej babki i objęłam ją mocno. Reznikow podszedł do nas i dotykając moich pleców pistoletem, powiedział: „Burżujskie nasienie”. Bałam się go, strasznie się bałam.

- Sołdaci przywlekli naszego lokaja Fryderyka. Znaleźli go w piwnicy między dwoma beczkami. Nieszczęśnik myślał, że to dobra kryjówka. Reznikow przyłożył mu pistolet do piersi i wycharczał: „Ty faszystowska świnię, zastrzelę cię”. Fryderyk na kolanach błagał tego bandytę o życie. Reznikow kopnął go w twarz, krzycząc, że na takie faszystowskie ścierwo szkoda kuli. Do Fryderyka dopadli żołdaci. Kopali go i okładali kolbami. Babka przycisnęła moją głowę do swojego brzucha i krzyczała do nich:

228  
„Jesteście zwierzętami!”. Reznikow doskoczył do nas i wrzasnął: „Taka śmierć jest lepsza niż pójście z dymem w hitlerowskim obozie”.

— Sołdaci przynieśli ze spiżarni kilka słoików musztardy. Reznikow zanurzył w musztardzie dwa palce, a potem je oblizał. Złapał mnie za ramię i odciągnął od babki. Myślałam, że teraz mnie zabije, ale on zaczął do mnie przemawiać. „Pamiętaj dziecko, że to władza sowiecka cię wyzwoliła. Pójdiesz do sowieckiej szkoły i porządny sowiecki człowiek z ciebie wyrośnie, a nie jakaś faszystowska gadzina. Starszy element jest na zawsze stracony, musi być więc zlikwidowany, ale dzieci można wychować. Nauczymy cię, jak być komunistką, nauczymy cię kochać partię i Stalina”. Reznikow znowu włożył dwa palce do musztardy, a potem przysunął mi je do twarzy i powiedział: „No mała, poliz sobie”. Odwróciłam głowę w bok, a wtedy on złapał mnie za włosy i wpakował mi te brudne paluchy do ust. Zwymiotowałam na jego buty. Wrzeszcząc, kopał mnie. Moja babka rzuciła się na niego z pięściami. Słyszałam, jak żołdaci tłuką porcelanę, jak psy ujadają, jak gdzieś daleko warczą silniki. Nagle wszystko ucichło.

— Gdy się ocknęłam, leżałam na sofie, za którą wcześniej się ukrywałam. Było mi bardzo zimno. Przez powybi-

jane szyby w oknach wpadał lodowaty wiatr. Przy stole siedziała moja babka i Reznikow. Płomienie świec migały na ich twarzach. Oboje pochylali się nad szachownicą. Przechyłałam, że babka gra o nasze życie. Patrzyłam na czarne pionki, które przesuwiała swoją drobną dłonią. Nie znałam zasad gry w szachy, wiedziałam jedynie, że na koniec pionków babki powinno zostać więcej. Soldaci wciąż biegali po pałacu. Słyszałam dudnienie ich buciorów na drewnianych

229  
schodach. W gabinecie mojego ojca znaleźli gramofon i go uruchomili. Reznikow uniósł głowę, przez chwilę słuchał, potem zaczął śpiewać: „Chorosza strana moja rodnaja, mnogo w niej lesow, polej i riek. Ja drugoj takoj strany nie znaju, Gdzie tak wolno dyszit cziełowiek!”. Przerwał i zwrócił się do mojej babki: „Zaśpiewajcie ze mną, towarzysko”. Babka nie przystała na jego propozycję. W milczeniu wpatrywała się w szachownicę. Rozdrażniło go to. Walnął pięścią w stół i wrzasnął: „Z radzieckim oficerem nie chcecie zaśpiewać!”. Zwinęłam się na sofie. Pragnęłam stać się niewidzialna. Reznikow ciągnął dalej: „Ja mam prawo naszego wielkiego wodza nazywać towarzyszem. Towarzysz Stalin, on, ojciec narodu, jest moim towarzyszem. A czy wy możecie nazwać swojego wodza towarzyszem? Na pewno nie!”.

— Reznikow gadał, przesuwając pionki i pił wódkę ze szklanki. Patrzyłam, jak świece się wypalają i jak ubywa jasnych figurek na szachownicy. Babka wygrywała. Zasłoniłam twarz rękami i prosiłam Boga, żeby jej nie opuszczał. Żołądek podszedł mi do gardła, gdy Rusek zaklął głośno. Spojrzałam w ich stronę. Na szachownicy dominowały czarne pionki. Reznikow machnięciem ręki stracił je na podłogę. Złapał szachownicę i rzucił ją o ścianę. Moja babka zwyciężyła w tej partii, ale to wcale nam nie pomogło. Zsunęłam się z sofy i ponownie ukryłam się za nią. Słyszałam, jak rozmawiają, ale nic nie rozumiałam, bo przeszli na rosyjski. Moja babka mówiła więcej, takim tonem, jakby usiłowała go do czegoś przekonać. Gdy na moment zapadła cisza, wysunęłam głowę. Babka siedziała przy stole i coś pisała, Rusek stał nad nią. Przypuszczam, że to właśnie wtedy sporządziła testament na jego rzecz. Nie wiem, jak przekonała tego zawziętego komunistę do przyjęcia pałacu. Pałac to była zapłata za moje życie, tylko za moje. Gdy skończyła pisać, Reznikow schował dokument do kieszeni. Babka wstała od stołu, podeszła do ściany i zrobiła znak krzyża. Rusek stał na szeroko rozstawionych nogach trzy metry przed nią. Pistolet trzymał w obu rękach. Celował przez kilka sekund i strzelił. Babka zdażyła jeszcze położyć dłoń na sercu, potem osunęła się na podłogę. Klnąc, kopał jej zwłoki. Zacisnęłam powieki i przysięgłam Bogu, sobie i mojej babce, że go zabiję. Gdy zataczając

się, wyszedł z komnaty, wysunęłam się zza sofy i przyczołgałam się do mojej babki. Przytuliłam się do jej jeszcze ciepłego ciała. Pamiętam, że Matylda mnie od niej zabrała.

— Reznikow odebrał mi spokój i najbliższą wówczas osobę. Tamtej nocy poznałam strach i ból. W ciągu kilku godzin przestałam być dzieckiem. Jego zła twarz prześladowała mnie przez wiele lat, śniła mi się po nocach, aż w końcu zobaczyłam ją ponownie. Wołodia podobny był do ojca, bardzo podobny. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że to ta sama osoba. Pojawienie się rodziny Reznikowów to był dla mnie wstrząs. Przeszłość powróciła, a wraz z nią żal i nienawiść, wielka nienawiść. Każdego dnia życzyłam Wołodii śmierci. Nie mogłam znieść, że jest szczęśliwy, że jest lubiany. Jak widziałam go uśmiechniętego, zadowolonego, to przypominał mi się jego ojciec stojący na szeroko rozstawionych nogach i strzelający do mojej babki. Z każdym dniem nabierałam przekonania, że Wołodia jest zły, że Sonia jest zła, przecież płynęła w nich ta sama krew, co w mordercy mojej babki. To nie był przypadek, że pojawili się w moim życiu, to Bóg postawił ich na mojej drodze

231

i tym samym przypomniał mi o mojej przysiędze. Reznikowie musieli zginąć, musieli zapłacić za zbrodnię swojego przodka.

Ogień na kominku przygasł. W komnacie zrobiło się ciemno. Drobną sylwetką hrabiny von der Groeben była mało widoczna. Jedyne jej siwa nieruchoma głowa odcinała się od ciemnego oparcia. Spoczywający na jej kolanach Romel poruszył się. Zobaczyłam jego błyszczące zielone oczy. Przeniosłam wzrok na dogasający ogień i zapytałam:

— Kto ich zabił? Przecież nie pani, kto więc to zabił?

Nie widziałam twarzy hrabiny, ale byłam pewna, że się uśmiecha, mówiąc:

- Tę tajemnicę zabiorę ze sobą do grobu.

- Kogo udało się pani nakłonić do popełnienia tak wielkiej zbrodni? Czym pani tego kogoś przekonała? To był ktoś z lokatorów czy ktoś zupełnie obcy? Niech pani powie.

Hrabina zaśmiała się cicho i pieszczotliwym głosem zwróciła się do Romla:

— Maleńki, nie wyjawimy naszej tajemnicy. Dobrze mówię, nie wyjawimy.

- Czy to Robert ich zabił? Przekonała go pani tym pałacem? Obiecała pani, że zapisze mu ten pałac w testamentcie? On dla historycznej posiadłości mógłby zabić.

Hrabina wydawała się nie słyszeć moich pytań. Pieszczotliwym głosem wciąż przemawiała do kota. Ponownie

się odezwała, tym razem podniosłam głos:

— Pani będzie musiała powiedzieć prawdę! To się i tak wyda! Każdy, kto przyjdzie rozpaść pani w kominku, może  
232

zostać uznany za pani współnika, a na pewno będzie nim ten, kogo wyznaczy pani na swojego spadkobiercę.

Hrabina zamieniła się w zdziecinniałą staruszkę. Zepchnęła Romla z kolan i płaczliwie powiedziała:

- Ty niedobry, zadrapałeś mnie. Nie lubię cię.

Wstałam i bez słowa wyszłam z komnaty.

## Rozdział XIX

Pałac wydawał się opustoszały. Zza drzwi mieszkań nie docierały żadne odgłosy. Ucichły telewizory, dzwonki komórek, rozmowy, śmiechy, kroki. Nawet z mieszkania Miśiaków nie dochodziły pijackie wrzaski. Stałam na piętrze u szczytu schodów i wsłuchiwałam się w tę ciszę. Przyszło mi do głowy, że jest to cisza przed burzą, że zaraz coś się wydarzy. Otworzą się drzwi któregoś z dziewięciu mieszkań i na korytarz wyjdzie współnik hrabiny von der Groeben. Stałam i czekałam. Nikt jednak się nie pojawił. Wiedziałam, że powinnam kontynuować moje rozmowy z lokatorami, tylko one mogą mnie doprowadzić do mordercy. Postanowiłam pójść do najbardziej podejrzanego, czyli do Roberta. Weszłam na drewniane spiralne schody. Gdzieś na dole paliła się żarówka. W jej nikłym świetle widoczne stały się nieruchome cienie na ścianach. Lekko przechyliłam się przez poręcz i spojrzałam na zgromadzone na parterze graty. Wyglądały jak upiorne cmentarzysko. W tym cmentarzysku coś się poruszyło. W pierwszej chwili pomyślałam, że to Romel sobie wędruje. Po chwili dotarło do mnie, że to cień przesuwają się po meblach. Był to cień osoby  
234

idącej w górę po schodach. Zdziwiłam się, że nie słyszę kroków. Z powodu słabego światła nie mogłam dostrzec, do kogo należy ciemna sylwetka. Spodziewałam się, że zaraz zobaczę Roberta. To jednak nie był on. Po schodach w moją stronę szedł profesor Firlej. Rozpoznałam go po łysej czaszce i czarnym zaroście. Ciężko oddychał, wręcz sapał.  
— Dobry wieczór — rzekłam i uśmiechnęłam się.

Nie odpowiedział mi. Stał przede mną w rozpiętej kamizelce i białej koszuli. Jedną dłoń opierał na poręczy, drugą zaciśniętą w pięść trzymał na wysokości piersi. Patrzyłam na twarz profesora i wydawało mi się, że widzę maskę. Obfity zarost nie pozwalał dojrzeć mimiki, tego specyficznego napięcia włókien mięśni, które informują o emocjach. Chciałam go wyminąć, ale zagroził mi drogę. Poczulałam się niepewnie. Wokół mnie zaczynały dziać się rzeczy, których nie rozumiałam. Skąd ta dziwna, niepokojąca cisza?



— Panie profesorze, chce mi pan coś powiedzieć? - zapytałam.

- Oszukała mnie pani. Nas wszystkich pani okłamała.

- Ja? - zdziwiłam się.

— Tak, pani. Nowak wyjawiał mi, kim pani jest. Chyba powinniście go zaarrestować. On jest tak roztrzęsiony, że może sobie coś zrobić.

Dopiero teraz zauważyłam, że profesor jest w samych skarpetkach. To dlatego nie słyszałam kroków.

- Panie profesorze, wydaje mi się, że pan też nie panuje nad sobą. Zapomniał pan włożyć buty. Tak elegancki mężczyzna jak pan bez butów? Zapomniał pan również powiedzieć mi, że ten czerwony płaszczyk, w który pan mnie ubrał, należał do Soni. Zapomniał pan także rozpałić

235

dzisiaj w kominku pani Blumfeld. To pana największe niedopatrzenie. Powinien pan wiedzieć, że o starszą panią trzeba dbać, bo inaczej zezłości się i poskarży na pana przypadkowej osobie. Tak się stało, że tą przypadkową osobą dzisiaj byłam ja. — Wyminął mnie i ruszył do góry. Idąc za nim, mówiłam dalej: — Grzesiek Nowak nie jest głównym podejrzanym. Właściwie mamy teraz pewność, że to nie on zabił Wołodię i Ludmiłę.

Biegłam za profesorem wąskim, ciemnym korytarzem.

Obijałam się o meble i potykałam o wystające elementy.

Wreszcie zatrzymaliśmy się przed jego mieszkaniem. Otworzył drzwi i wszedł do środka, ja za nim.

Ada Firlej stała przed lustrem ze skrzypcami w dłoniach. Miała na sobie długą czerwoną suknię z niewielkim dekoltem i długimi wąskimi rękawami. Odwróciła się w naszą stronę i trochę zmieszana wyjaśniła:

— Właśnie przymierzałam nową suknię na koncert.

Musiałam sprawdzić, czy rękawy nie będą mi przeszkadzały podczas grania. Z długimi rękawami zawsze jest problem.

Gdy są za szerokie, zsuwają mi się aż do łokci. Z kolei zbyt wąskie nie pozwalają na płynne ruchy.

Schowała skrzypce do futerału. Uniosła głowę i spojrzała na swojego męża. Widziałam, jak uśmiech znika z jej twarzy. Profesor usiadł na skórzanej kanapie. Wciąż sapał. Na początku uznałam, że to sapanie jest efektem zmęczenia, ale była to raczej oznaka zdenerwowania. Jego czoło błyszczało od potu. Na stole stał laptop, lakier do paznokci, butelka wina i dwa wysokie kryształowe kieliszki. Nalał wina do jednego z nich i wypił jednym haustem.

— To dobry pomysł, żebyśmy poczęstowali naszego gościa winem — powiedziała Ada i wyjęła z szafki jeszcze

236

jeden kieliszek. — Proszę, nalej nam, kochanie — zwróciła się do męża.

Profesor napełnił trzy kieliszki. Ada usiadła na krześle

z wysokim oparciem i uniosła smukłe kryształowe naczynie. Czerwone wino, czerwony lakier na paznokciach, czerwona suknia i jej wielkie ciemne oczy, współczesna Mona Lisa. Profesor zaczął mówić:

-Jak idzie się na dno, to znajomi i rodzina najpierw ci współczują, potem cię ignorują, później się z ciebie śmieją, a na końcu wygrywasz. Gdy zbankrutowałem, moi współpracownicy z uniwersytetu zaczęli mnie lekceważyć. Ci sami, którzy klepali mnie po plecach i zapewniali, że są ze mną, nagle zapominali zaprosić mnie i moją piękną żonę na bankiet z okazji nowego stopnia naukowego. Podobnie zachowywali się znajomi z pracy żony i nasze rodziny. Któregoś razu niespodziewanie podszedłem do dwóch śmiejących się kolegów. Na mój widok od razu ucichli. Zrozumiałem, że śmiali się ze mnie. Prawdopodobnie wymieniali się najnowszymi dowcipami o filozofie robiącym interesy. Takie żarty zaczęły krążyć na uczelni. Mówiono, że znalazłem kamień filozoficzny, był ukryty w banku. Wie pani, o czym myślą astronom, fizyk i filozof? Otóż astronom myśli o gwiazdach, fizyk o naturze, a filozof o spłacie kredytu. Sekretarki szeptały, że noszę garnitur ze szmateksu. Studenci nazywali mnie profesorem Zabłockim. Gdyby to chodziło o mnie, zniósłbym wszystko, ale to również dotyczyło moją żonę i córki. Musiałem coś zrobić, żeby tę sytuację zmienić.

Ada położyła dłoń na ręce męża i powiedziała łagodnie:

- Kochanie, pani to nie interesuje. Nie zameczajmy gościa naszymi problemami.

237

— A ja sądzę, że panią bardzo ciekawi nasze życie, zwłaszcza nasze sekrety. Nie jest to bynajmniej ciekawość pisarska, lecz policyjna.

Ada zwróciła się do mnie:

— Niech pani wybaczy mojemu mężowi. Pani prawdopodobnie nie wie, ale po pałacu krąży plotka, że pani jest z policji, stąd ta uwaga Jerzego.

Profesor przerwał żonie, mówiąc:

— Wyobraź sobie, kochanie, że pani Ala odkryła, kim naprawdę jest nasza pani Blumfeld.

Ada zmarszczyła brwi, po chwili się uśmiechnęła i rzekła:

— Kto tak naprawdę wie, kim jest pani Blumfeld? Raz podaje się za Żydówkę, potem za hrabinę, jeszcze później za wielką śpiewaczkę operową. Wiecie, że ona powiedziała mi, że była kochanką tego włoskiego aktora Marcella Mastroianniego? Ja wszystkiego słucham, ale w połowę tych opowieści nie wierzę. Ta kobieta ma osiemdziesiąt lat, rzeczywistość miesza się jej z fikcją. Musimy wybaczyć starszce. Pani Blumfeld, mimo tych konfabulacji, jest urocza i kochana. Tyle w niej ciepła. Bardzo ją lubię.

Profesor złamał cienką nóżkę kieliszka. Pękła w jego silnych palcach jak zapalka. Resztką wina wylała mu się na spodnie. Sapiąc głośno, zaczął mówić:

— Urocza, kochana, ciepła? Przecież to wiedźma, prześlągnięta nienawiścią i złem. Opętała nas myślą o pałacu.

Pani Firlej wyjęła z dłoni męża resztki kieliszka. Poglaskała go po policzku i powiedziała:

— Kochanie, proszę cię, uspokój się.

— To też twoja wina, obie mnie opętałyście, złe kobiety.

Ada zwróciła się do mnie:

238

— Przepraszam panią, ale czy mogłaby pani już pójść.

Jerzy źle się czuje.

— Zostanę i do końca wysłucham tego, co pani mąż ma mi do powiedzenia.

Relacja profesora Firleja z mieszkania numer 6

Pani Blumfeld pewnego dnia pokazała nam swoją metrykę i inne dokumenty świadczące o tym, że jest hrabiną von der Groeben, dziedziczką tego pałacu. Nasza reakcja była naturalna, ogromne zdziwienie, wręcz niedowierzenie.

Pytaliśmy, dlaczego nie stara się o odzyskanie pałacu, dlaczego zgodziła się być jedynie lokatorem. Machnęła z rezygnacją ręką i oznajmiła, że szkoda fатыgi, jest przecież stara, nie ma dzieci, komu miałyby zostawić ten pałac.

Niech lepiej mieszkają w nim potrzebujący ludzie. Przez kolejne tygodnie zapewniała, że bardzo nas lubi, że Adę uważa niemal za swoją córkę. Raz napomknęła, że zostawiłaby nam pałac, potem przez wiele dni nie wracała do tego tematu. Stara wyrachowana wiedźma, dobrze wiedziała, co robi. Dała nam czas na to, abyśmy oswoili się z myślą o możliwości posiadania pałacu. Znała nasze problemy finansowe i wzbudziła w nas nadzieję na wyjście z tych kłopotów. A kłopoty nie były małe. Nie tylko w banku mieliśmy dług. Pożyliśmy kilkanaście tysięcy od bratanka Ady. Niech pani pamięta, że od rodziny nie należy pożyczać pieniędzy. Na początku lata bratanek zaczął domagać się spłaty należności. Niech pani sobie wyobrazi, że z odsetkami, takimi jak w banku. Oczywiście o żadnych odsetkach nie wspomniał, gdy dawał mi kasę. Pogoniłem smarkacza i powiedziałem, że poskarżę się jego ojcu. A ten

239

zaczął mi grozić, że obsmaruje mnie w Internecie. Wszyscy mieli się dowiedzieć, że jestem złodziejem. Bałem się, że to zrobi. Mój autorytet na uczelni bardzo by ucierpiał. Chciałem jak najszybciej spłacić tego cwaniaczka i mieć go z głowy. Ponadto pożyczaliśmy też pieniądze od Sophie. To nie był duży dług, ale mocno mnie uwierał. To Ada do niej zadzwoniła i poprosiła o niewielki kredyt. Sophie od razu się zgodziła, ale moja żona nie zdążyła powiedzieć, o jaką sumę chodzi. Myślała, że ustalą to przy kolejnej rozmowie.

Tymczasem Sophie przysłała nam pieniądze. Niech pani zgadnie ile. Całe tysiąc euro. Wielka hrabianka, niech ją diabli.

Myśl o posiadaniu pałacu powoli zawiązała się w naszym umyśle. Zaczęłam marzyć, że moje córki przyjeżdżają tutaj, do własnej posiadłości. Może w końcu stałyby się wesole i bez trosk. Nastolatki właśnie takie powinny być. Wyobrażałam sobie, że z żoną organizujemy na dziedzińcu przyjęcie dla naszych znajomych. Ada zaczęła wyszukiwać w Internecie antyki, którymi zamierzała umeblować pałac. Naszym ulubionym sposobem spędzania czasu stało się wspólne snucie planów. Ustaliliśmy, że sprzedamy sporą część lasu, aby mieć pieniądze na remont, poza tym chcieliśmy latem wynajmować pokoje.

Zaczęliśmy pracować nad hrabiną von der Groeben.

Byliśmy w stosunku do niej wyrozumiali i troskliwi. Rozpalałem jej w kominku i sprzątałem. Ada zabawiała ją rozmowami i grą na skrzypcach. Wydawało się nam, że kontrolujemy sytuację, że wszystko idzie po naszej myśli, ale wcale tak nie było. Hrabina miała nas na smyczy, na krótkiej smyczy i prowadziła w sobie wiadomym kierunku. Pewnego dnia oznajmiła, że chce rozpocząć formalne

240

procedury odzyskania pałacu. Obiecałem, że przywiozę prawnika, no i przywiozłem, ale pani Blumfeld nie chciała z nim rozmawiać. Wyjawiała mojej żonie na ucho, że boi się ujawnić swoją tożsamość, bo są źli ludzie, którzy za wszelką cenę będą próbowali nie dopuścić, aby pałac wrócił do rodziny von der Groebenów. Kilka dni później wyznała, że tymi złymi ludźmi są Reznikowowie. Uznaliśmy, że starsza pani ma swoje widzimisię, swoje fobie przynależne jej wiekowi. Mogła to być poważna przeszkoda w odzyskaniu pałacu i zapisaniu go nam, ale mieliśmy nadzieję, że ten problem uda się rozwiązać. Staliśmy się jeszcze bardziej troskliwi. Zapewnialiśmy ją, że przy nas może czuć się bezpieczna, że nikomu nie damy jej skrzywdzić, że Reznikowowie wcale nie są źli, że to zwyczajni ludzie. Hrabina uspokoiła się. Znowu zaczęła mówić, że kocha moją żonę jak córkę, że oprócz nas i Romla nikogo nie ma. Ada urządziła dla niej małe recitale. Ja i hrabina siadywaliśmy przy kominku, a Ada w czarnej sukni stała pośrodku komnaty i grała na skrzypcach. Starsza pani bardzo się wzruszała. Płacząc, mówiła, że Ada podobna jest do jej matki Grety. Całowałem hrabinę po rękach, a moja żona głaskała ją po siwej głowie. Uwierzyliśmy, że łączy nas coś niezwykłego z tą starą kobietą i z racji tej więzi należy się nam pałac. Podczas jednego z wieczorów zasugerowaliśmy hrabinie, że powinna rozpocząć proces odzyskiwania pałacu. Bardzo się zdenerwowała. Prosiła nas, żebyśmy nikomu nie wyjawiali jej prawdziwego nazwiska, bo jeżeli Wołodia się

dowie, że ona jest hrabiną von der Groeben, to ją zabije, jak jego ojciec zabił jej babkę. Opowiedziała nam wtedy, co się wydarzyło w 1945 roku. Powiedziała, że jej babka zapisała pałac w testamencie radzieckiemu oficerowi

241  
o nazwisku Reznikow, że Wołodia jest synem tego oficera i teraz to on jest w posiadaniu testamentu. Przekonywała nas, że Wołodia planuje przejąć pałac i zabije każdego, kto będzie chciał mu w tym przeszkodzić. Z odrobiną niedowierzania odnieśliśmy się do tej opowieści. Już wcześniej słyszeliśmy, że właścicielka pałacu została zastrzelona przez radzieckiego oficera, z którym wcześniej rozegrała partię szachów. Prawdziwości tego wydarzenia nie podważaliśmy, ale w całą resztę trudno było uwierzyć. Zadałem hrabinie kilka rozsądnych pytań. Skąd wie, że Wołodia jest synem tamtego oficera, może to tylko zbieżność nazwisk? Skąd wie, że Reznikow ma testament i zamierza urzeczywistnić jego zapis? Nie otrzymałem odpowiedzi. Hrabina zaczęła histerycznie szlochać. Usłyszałem jedynie, jak mówi, że już nikomu nie może ufać. Byłem niemal pewien, że część jej opowieści to starcza paranoja. Bardzo się zdziwiłem, gdy trzy dni później przekonałem się, że to wszystko jest prawdą. Wróciłem wtedy z Warszawy od moich córek, było już późno, na dole w holu natknąłem się na Wołodię. Był pijany, tak bardzo, że nie mógł wejść na schody. Złapałem go pod pachę i ciągnąłem do góry. Reznikow się rozczulił, dziękował mi za pomoc, chciał mnie całować. Obiecywał, że jak to wszystko będzie już jego, to pozwoli nam zostać. Wszystkich wyrzuci, ale my będziemy mogli dalej tutaj mieszkać. Potrząsnąłem go za ramię i domagałem się wyjaśnień. Próbując zapanować nad pijacką czkawką opowiedział o testamencie odziedziczonym po ojcu.

Było dla nas jasne, że lęki hrabiny są uzasadnione. Jednak uważaliśmy, że ze strony Reznikowa nic jej nie grozi. Gdyby dowiedział się, kim ona jest i jakie ma plany, najprawdopodobniej wycofałby się ze swoich zamiarów, ale

242  
hrabina miała prawo myśleć inaczej. Wpadliśmy z Adą na nowy pomysł. Skoro hrabina boi się ujawnić swoją tożsamość, to niech tego nie robi. Powinna jednak przekazać nam wszystkie rodowe dokumenty i sporządzić notarialny zapis na naszą rzecz. Po jej śmierci zaczniemy walczyć o pałac. Zdawaliśmy sobie sprawę, że może przyjdzie nam czekać jeszcze kilka lat, aż hrabina pożegna się z życiem, że w tym czasie Reznikow może otrzymać akt własności pałacu, ale zawsze było to jakieś wyjście. Poszliśmy do niej z tą propozycją. Wysłuchała uważnie tego, co mieliśmy do powiedzenia i zaczęła płakać. Powiedziała, że nie będzie narażać nas na niebezpieczeństwo. Gdyby zapisała nam pałac w testamencie, to ściągnęłaby na nas gniew Rezni-

kowa. Na nic zdały się nasze zapewnienia, że się go nie boimy. Z żalem uzmysłowiliśmy sobie, że pałac wymyka się nam z rąk. Od tamtego dnia stara wiedźma zaczęła mówić, że zapisze nam pałac dopiero wtedy, gdy całe plemię Reznikowów zniknie z powierzchni ziemi. Powtarzała to za każdym razem, gdy któreś z nas pojawiło się w jej komnacie. Mimo pięknej letniej pogody życzyła sobie, żebym każdego wieczoru rozpałał jej w kominku. Codziennie więc musiałem wysłuchiwać, jak złymi ludźmi są Reznikowowie. Snuła opowieści, jak to cała rodzina Reznikowów wsiada do łódki i wypływa na jezioro, nagle przychodzi szkwał i wszyscy toną. Wtedy ona odzyskuje pałac, przekazuje go nam i w spokoju odchodzi z tego świata. Innym razem uśmierciła Reznikowów w wypadku samochodowym. Wymyśliła też, że cała rodzina umiera od trujących ziół albo jagód omyłkowo zebranych przez Ludmiłę. Poleciała nawet mojej żonie sprawdzić, czy w okolicy rośnie coś trującego. Ada posłusznie przejrzała Internet

243  
i okazało się, że oprócz grzybów nie znajdzie się nic toksycznego.

Szukaliśmy jakiegoś rozsądnego wyjścia z tej sytuacji. Myśleliśmy o wynajęciu mieszkania w Olsztynie i przeniesieniu się tam z panią Blumfeld. Może, będąc daleko od Reznikowów, przestałaby się ich obawiać. Staruszka jednak kategorycznie oświadczyła, że nie opuści swej rodowej posiadłości. Zaproponowałem więc, że wykradnę Reznikowom testament. Sceptycznie odniosła się do mojego pomysłu. Twierdziła, że Wołodia pozbawiony testamentu może być jeszcze bardziej niebezpieczny. Jak tylko dowie się o naszym zamiarze odzyskania pałacu, to skieruje przeciwko nam całą swoją złość. Mimo to podjąłem próbę zdobycia tego przeklętego dokumentu, ale bezskutecznie. Zamiast wyłamać zamek w drzwiach ich mieszkania, jedynie go zniszczyłem. Stara wiedźma, zniecierpliwiona naszym pasywnym zachowaniem, sama znalazła rozwiązanie. Głaszcząc Romla i uśmiechając się, poleciała nam pójść do lasu po muchomora, Amanitę phalloides. Ona z niego przyrządzi pyszny sos i zaprosi nas oraz rodzinę Reznikowów na kolację. My podziękujemy za sos, a oni go zjedzą i w ciągu kilku minut zjedzą z tego świata. To będzie nieszczęśliwy wypadek, nikt nie poniesie konsekwencji. Powinniśmy z Adą wstać, opuścić mieszkanie tej złej kobiety i nigdy do niej nie wracać. My jednak zaczęliśmy ją przekonywać, że to jest zły pomysł, bo może Sonia nie będzie chciała przyjść, a może któreś z nich nie jada grzybów. Pani Blumfeld uderzyła ręką w poręcz fotela i tupnęła nogami jak mała dziewczynka. Piskliwym głosem wołała, że ona robi to wszystko dla nas, a my nie chcemy jej nawet pomóc. Wreszcie powiedziała, że sami mamy znaleźć sposób jak pozbyć się

Reznikowów, tylko szybko, bo ona czuje, że niedługo umrze. Mieliśmy z Adą tak podły nastrój, że przez kilka dni nie odzywaliśmy się do siebie. Nie miałem ochoty chodzić do pani Blumfeld, ale żona przekonała mnie, że nie powinniśmy jeszcze sobie odpuszczać. Hrabina jest przecież w podeszłym wieku, za kilka miesięcy może nie pamiętać, kim w ogóle są Reznikowowie. Dalej więc rozpalałem jej w kominku. Gdy tylko się pojawiałem, pytała, czy już wymyśliłem, jak pozbyć się Wołodii i jego rodziny. Zacząłem marzyć, że Reznikowowie giną w wypadku samochodowym i problem sam się rozwiązuje.

W końcu nadeszła ostatnia sobota sierpnia. Po południu mieliśmy jechać na Okęcie po nasze córki wracające z Francji od Sophie. Po śniadaniu wybrałem się jeszcze na przechadzkę po lesie. Zwykle spaceruję powoli, na kilka minut przysiadam sobie pod drzewem i obserwuję przyrodę. Tak też było tamtego dnia. Znalazłem spory kamień i przycupnąłem na nim. Za plecami miałem duże drzewo. Oparłem się o nie i przymknąłem oczy. Z zadumy wyrwały mnie czyjeś szybkie kroki. Miałem wrażenie, że ten ktoś idzie tuż obok, ale gdy się rozejrzałem, zobaczyłem przemierzającą się sylwetkę kilkanaście metrów dalej. Od razu poznałem Grzeska Nowaka, jego pochylone do przodu ramiona i chwiejny krok. Miał ze sobą koszyk na grzyby, ale ich nie zbierał. Wyglądało na to, że się gdzieś spieszy. Podniosłem się i ruszyłem za nim. Nie miałem zamiaru go śledzić. Szedłem wolno, szybko znikł mi z oczu. Po jakimś czasie usłyszałem dziewczęcy śmiech i męski głos. Zacząłem okrążyć miejsce, z którego te odgłosy dochodziły. Zbliżyłem się do kępy iglaków, rozchyliłem gałęzie i wyjrzałem. Zaskoczyło mnie to, co zobaczyłem. Pod drzewem

245

stał goły Grzesiek Nowak, na drzewie siedziała Sonia. Byłem za daleko, żeby słyszeć, o czym mówią. Nie ukrywam, że miałem ogromną ochotę dowiedzieć się, o co tu chodzi. Grzesiek zaczął szybko się ubierać. Pomyślałem, że może mnie wypatrzył. Cofnąłem się o krok i puściłem gałęzie. Sonia śmiała się głośno, coś mówiła, Nowak kłął. Nagle Sonia krzyknęła. Usłyszałem uderzenie. Od razu wiedziałem, że spadła z drzewa. Stałem odrętwiały przez parę sekund, potem wyszedłem zza iglaków. Nowak klęczał nad ciałem dziewczynki, potrząsał nią i kwilił jak małe dziecko. Zacząłem do nich podchodzić. Chciałem pomóc. Grzesiek zerwał się i rzucił się do ucieczki, nawet mnie nie zauważył. Jasne było dla mnie, że był w szoku. Poszukałem tętna u Soni, podniosłem jej powiekę. Nie żyła. Nie było mi przykro, nie czułem strachu. Stałem nad ciałem dziewczynki i myślałem, że właśnie realizuje się zamiar hrabiny von der Groeben. Adrenalina zaczęła toczyć moją krew. Chciałem

działać, chciałem realizować nasz plan. Usłyszałem, że ktoś biegnie w moją stronę. Schowałem się więc za kępę iglaków. To Nowak wrócił. Złapał swój koszyk i zaczął czegoś szukać w trawie. Podniósł mały, intensywnie różowy przedmiot. Domyśliłem się, że to komórka Soni. Odwrócił się i pobiegł.

Ukryłem ciało Soni kilkadziesiąt metrów dalej i wróciłem do pałacu. Opowiedziałem o wszystkim żonie. Przez długi czas milczeliśmy oboje, ale nie była to spokojna cisza, pełna zadumy i smutku po śmierci młodej dziewczyny. Nosiło nas. Ja chodziłem po pokoju, Ada czyściła lustro na drzwiach szafy. Chuchała na krystalicznie czystą powierzchnię zwierciadła i wycierała szmatką. W końcu zaczęła mówić, że największą tragedią jest śmierć własnego

246  
dziecka, że po takiej tragedii rodzice nie mają już po co żyć. Pomyślałem sobie wtedy o naszych dziewczynkach. Gdyby coś im się stało, wolałbym się o tym nie dowiedzieć. Wolałbym umrzeć, żeby tylko nie poznać strasznej prawdy. Usłyszałem, jak moja żona mówi, że pomożemy Reznikowom, że oni nigdy nie dowiedzą się, że Sonia nie żyje. Zapytałem krótko: „Jak to zrobimy?”. Ada uznała, że najpierw musimy lepiej ukryć ciało Soni, żeby nikt jej nie znalazł przynajmniej przez trzy dni. Tyle czasu nam wystarczy, by pozbyć się Reznikowów. Nie zaprotestowałem. Postanowiliśmy, że okolice kurhanu będą najlepsze do ukrycia zwłok. Oboje poszliśmy do lasu. Włożyłem ciało Soni do worka i zarzuciłem na plecy. Ada pilnowała, żebyśmy na nikogo się nie natknęli. W razie czego miała swoim urokiem odciągnąć uwagę od mojej osoby. Droga do kurhanu była drogą przez mękę. Słyszeliśmy kroki i głosy, ale nie widzieliśmy ludzi. Już myślałem, że ogromne napięcie wywołuje u nas omamy słuchowe. Przeniesienie zwłok, zakopanie ich i zatarcie śladów zajęło nam kilka godzin. Gdy wróciliśmy do pałacu, było już późno. Na podjeździe spotkaliśmy Roberta i Joannę, wybierali się do Pasłęka. Zapytali, czy widzieliśmy Sonię, bo rodzice jej szukają. Oboje pokręciliśmy przecząco głowami. Ada wyraziła nadzieję, że na pewno niebawem Sonia się znajdzie. Zdziwiła mnie opanowanie mojej żony. Gdy byliśmy już w mieszkaniu, poleciła mi zrobić kanapki dla małych Misiaków, bo ich matkę akurat tego wieczoru zabrano na izbę wytrzeźwień. Sama zadzwoniła do naszych córek i poleciła im przenocować w internacie. Nie były tym faktem uszczęśliwione. Nic dziwnego, stęskniły się za nami. Ada obiecała, że przyjedziemy po nie w poniedziałek rano. Potem żona poszła do Reznikowów. Trzeba

247  
było ich przekonać, że Sonia jest cała i zdrowa, żeby nie wszczynali alarmu. Gdy czekałem na jej powrót, myślałem, że wyjdę z siebie. Mam wrażenie, że właśnie wtedy moje



napięcie osiągnęło punkt kulminacyjny. Ada powiedziała Reznikowom, że nasze córki wróciły z Francji, że pojechały na domówkę do Morağa i zabrały po drodze Sonię, że Sonia nie odbiera komórki, bo boi się, że matka każe jej wracać do domu. Moja żona z uśmiechem zapewniała, że Sonia jest pod opieką naszych córek i ja osobiście po nie pojedę następnego dnia rano. Ludmiła była zła na córkę, ale uwierzyła we wszystko. Mieliliśmy pewność, że tej nocy Reznikowowie nie powiadomią policji o zaginięciu Soni. To, co działo się później, działo się poza mną. Brałem we wszystkim udział, ale dzisiaj mam wrażenie, że stałem jedynie obok i obserwowałem samego siebie. Brzydę się przemocą, nigdy nikogo nie uderzyłem, nawet jako chłopiec nie biłem się z rówieśnikami. Jestem wrażliwy, dokarmiam ptaki zimą, wiosną zabieram z drogi jeże, żeby nikt ich nie rozjechał. Wzruszam się, gdy ktoś przy mnie płacze. Nie mogłem zabić człowieka, bo nie jestem nawet w stanie uśmiercić karpia na wigilię. A jednak to zrobiłem, zamordowałem Ludmiłę i Wołodię. Potrafiłem zabić, ale nie potrafię z tym żyć. Pałac miał być zapłatą za zbrodnię, stał się jednak moim grobem. Żyję tu jak trup, bez radości, bez miłości, bez nadziei. Boję się zasnąć, bo męczą mnie koszmary. Śni mi się, jak zaciskam ręce na szyi Ludmiły. Czuję jej rozpaloną skórę i przyspieszone tętno. Jej gorący oddech owiewa mi twarz. Widzę przerażenie w tych jej dziwnych oczach. Gdy dusiłem ją w rzeczywistości, nic nie czułem, nic nie widziałem, a we śnie wszystko jest takie realne, zbyt realne. We śnie percepcja jest zwielokrotniona, podniesiona

248

do nieskończonej potęgi. W trakcie popełniania zbrodni trzeba czuć, cokolwiek czuć, może strach, może obrzydzenie albo podniecenie. Gdy się morduje, to nie można być obojętnym, odrętwiałym, bo te złe uczucia przyjdą później ze zwielokrotnioną siłą.

Ada wróciła od pani Blumfeld z planem zabójstwa. Ja niczego nie planowałem, ja byłem jedynie wykonawcą, biernym wykonawcą, który nawet nie polemizuje z wytycznymi. Moja żona przyniosła zabytkowy sztylet. Dobrze leżał w ręku, był ciężki i ostry. Przyniosła też gumowy fartuch, gumowe rękawiczki i kalosze. Ubrałem się i czekałem. Ada poszła do pani Blumfeld. Hrabina mieszka pod Reznikowami. Jej łazienka znajduje się pod ich łazienką. Co wieczór słyszała, jak Wołodia, biorąc prysznic, śpiewa. Przed północą Ada przybiegła i powiedziała, że mogę iść, bo Reznikow bierze prysznic. Poszedłem. Cicho zapukałem. Gdy Ludmiła otworzyła, od razu złapałem ją za szyję. Jakie to było proste i higieniczne zabójstwo. Nie zmęczyłem się i nie wybrudziłem. Zamknąłem drzwi na klucz i schowałem Ludmiłę pod łóżko. W łazience szumiała woda i śpiewał Wołodia. Wyjąłem sztylet i czekałem, niedługo, jakieś pięć

minut. Reznikow wyszedł opasany ręcznikiem. Nie uważał mnie, choć stałem tuż obok. Dopiero gdy uderzyłem sztyletem w jego plecy, odwrócił głowę i spojrzał na mnie zaskoczony. Jeszcze nie pojął, co się dzieje. Uśmiechając się, powiedział: „To pan, profesorze?”. Jakby zdziwił się, że przyszedłem tak późno i w dodatku w cudacznym przebraniu. Uderzyłem ponownie. Sztylet nie wszedł tak lekko jak za pierwszym razem. Wołodia odskoczył i zaczął się odbijać od ścian i mebli jak duża gumowa lalka na sznurkach. Ja usiłowałem trafić go nożem.

249

Pomyślałem, że to już trwa zbyt długo. Wołodia próbował odebrać mi sztylet, ale poślizgnął się na własnej krwi. Zamachnąłem się i z całej siły wbiłem mu ostrze w brzuch. Upadł. Schowałem sztylet do kieszeni. Wiedziałem, że na twarzy mam krew. Chciałem się wytrzeć rękawem gumowego fartucha, ale on też był upačkany. Pomyślałem, że to jednak nie jest czysta robota. Przez chwilę nasłuchiwałem, czy zza drzwi dochodzą jakieś odgłosy. Na korytarzu było cicho, wyszedłem więc z mieszkania Reznikowów. Kilka metrów dalej, przy drzwiach Nowaków, czekała na mnie żona z olbrzymim foliowym workiem. Bez słowa zdjąłem rękawiczki i wrzuciłem je do worka wraz ze sztyletem, to samo zrobiłem z fartuchem, na końcu zdjąłem kalosze. W skarpetkach bezszelestnie przemknąłem do naszego mieszkania. Ada wróciła godzinę później. Do dziś nie wiem, co zrobiła z tymi rzeczami, nigdy o to nie zapytałem. Gdy pojawiła się pani w pałacu z zamiarem napisania książki, postanowiliśmy pani pomóc i jednocześnie oddalić od siebie jakiegokolwiek podejrzenie. Tam, gdzie jest zbrodnia, musi być też zbrodniarz albo ewentualnie ktoś podejrzany, podsunęliśmy więc pani Grześka Nowaka. On doskonale nadawał się do tej roli, miał przecież na sumieniu śmierć Soni. Pod presją mógłby przyznać się też do zabicia jej rodziców. Nie ukrywam, że na to liczyliśmy. Powiedziałem pani, że Grzesiek wyrzucił komórkę Soni do jeziora. Przypuszczam, że właśnie w taki sposób się jej pozbył. To jednak nieważne, co zrobił z aparatem. Miała go pani jedynie nagabywać o tę komórkę. Drobną sugestią, że ktoś widział, jak ją wyrzuca, mogłaby go złamać. Myślałem, że pani pójdzie tym tropem. Może tak by się stało, gdyby pani faktycznie była pisarką, a nie policjantką.

Epilog

Profesor Firlej pochylił się i ścisnął dłońmi skronie. Trwał tak przez kilkanaście sekund, następnie zaczął się niepewnie rozglądać, jakby nigdy wcześniej nie widział swojego pokoju. Wyglądał na zmęczonego, zagubionego człowieka. Wyciągnął rękę w stronę żony, u niej szukał wsparcia. Ona jednak nie ujęła mężowskiej dłoni. Siedziała sztywno, z zaciśniętymi ustami, patrząc przed siebie.

- Pałac von der Groebenów to przeklęte miejsce, ludzie tracą tu rozum — wyszeptał profesor.

Ada nalała sobie wina, uniosła kieliszek i wykonała gest wznoszenia toastu. Zimnym głosem powiedziała:

- Te twoje cholerne wyrzuty sumienia. Wszystko układało się tak dobrze, ale ty musiałeś się przyznać. Może myślisz, że teraz będzie ci łatwiej? Mylisz się! Zapewniam cię, że się mylisz! - Wypiła wino i rzuciła kieliszek za siebie. Delikatne szkło roztrzaskało się na drobne kawałki. Mówiła dalej: - Mam nadzieję, że mnie nie pogrążysz. Chyba rozumiesz, że dzieci muszą mieć przy sobie chociaż jedno z rodziców. - Profesor zasłonił twarz rękami. Ada, patrząc z góry na męża, ciągnęła: - Czy pomyślałeś o swoich  
251

córkach? Czy dla nich nie warto było milczeć? W ogóle się dla ciebie nie liczymy.

Każde jej słowo przesyczone było pogardą i nienawiścią.

Podniosłam się i wyszłam bez pożegnania, rozgniatając butami resztki kieliszka. Pałac wciąż pogrążony był w nie-naturalnej ciszy. Idąc ciemnym korytarzem, pomyślałam, że nie mam utrwalonej w dyktafonie relacji profesora. Gdy niespodziewanie natknęłam się na niego na schodach, od razu poszliśmy do jego mieszkania, nie miałam kiedy włączyć nagrywania. To już jednak nie było takie ważne. Profesor wezwany do prokuratury zapewne wszystko powtórzy mojemu szefowi. Spakowałam się szybko i opuściłam mieszkanie numer 7. Spełniłam swoje zadanie, rozwiązałam tajemnicę pałacu von der Groebenów, mogłam wracać do domu, do ojca i męża. Wyszłam na dziedzińiec. Była zimna księżycowa noc. Dochodząc do bramy, obejrzałam się. Tylko w jednym oknie paliło się światło. Było to okno profesorostwa Firlejów. Zjeżdżając samochodem w stronę jeziora, obejrzałam się ponownie. Ciemne mury pałacu rysowały się groźnie na tle rozgwieżdżonego nieba.